

2 3 1
FRANCISZEK RAWITA-GAWROŃSKI

MONOGRAFJE Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO

1. ZYGMUNT SIERAKOWSKI
2. HENRYKA PUSTOWÓJTÓWNA
3. FRANCISZEK ROCHEBRUN

Z 3 WIZERUNKAMI



W A R S Z A W A
„KSIĘGARNIA POLSKA” TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ
1928

„KSIĘGARNIA POLSKA“

TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

WARSZAWA, WARECKA 15,

poleca następujące tanie książki **historyczne**:

	Zł. gr.
<i>Grabiec J.</i> O nasze granice. Zarys bojów polskich w latach 1918 — 1921. Z mapką.	— 32
<i>Kamiński S.</i> Lata walk i zamętu na Ukrainie (1917 — 1921). Z mapką.	5 —
<i>Kozicki St.</i> Sprawa włościańska w Polsce w XVIII w.	— 24
— Zjednoczenie Włoch.	— 80
<i>Kozłowski Wł. M.</i> Powstanie Wielkopolskie w r. 1848. Zarys historyczny. Wyd. 2-gie.	— 36
<i>Król K.</i> Jan Paweł Woronicz, znakomity poeta i mówca, wielki patriota polski.	— 44
— Krzyżacy w Polsce. Z 6 obrazkami i 2 mapkami. Wyd. 3-cie.	— 44
— Tatarzy a Polska. Wyd. 2-gie.	— 64
<i>Lewicki J.</i> Komisja Edukacji Narodowej w świetle ustawodawstwa szkolnego. Szkic historyczny.	2 —
<i>Mościcki H.</i> Jan Kiliński.	— 12
<i>Nowakowski J.</i> Historia włościan w Polsce.	— 96
<i>Nowicki W.</i> Dzieje Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie.	— 68
<i>Popławski J. L.</i> Kto to był St. Żółkiewski, hetman wielki koronny. Wyd. 3-cie.	— 20
<i>Rządkowski J.</i> Pierwszy Legjon Puławski. Z licznymi ilustracjami.	2 50
<i>Świeżyński J.</i> Stanisław Konarski.	— 12
<i>Walewska C.</i> Narcyza Żmichowska (Gabryela).	— 44
<i>Walewska M. z Przeddzieckich.</i> O Kornelu Ujejskim.	— 24
— Z dziejów powstania Styczniowego. Trzy wspomnienia.	1 20

FRANCISZEK RAWITA-GAWROŃSKI

MONOGRAFJE
Z POWSTANIA STYCZNIOWEGO

1. ZYGMUNT SIERAKOWSKI
2. HENRYKA PUSTOWÓJTÓWNA
3. FRANCISZEK ROCHEBRUN

Z 3 WIZERUNKAMI



W A R S Z A W A

„KSIĘGARNIA POLSKA” TOW. POLSKIEJ MACIERZY SZKOLNEJ

1928



SN 1703

029.94(438).07



WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

Druk J. Rąjskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

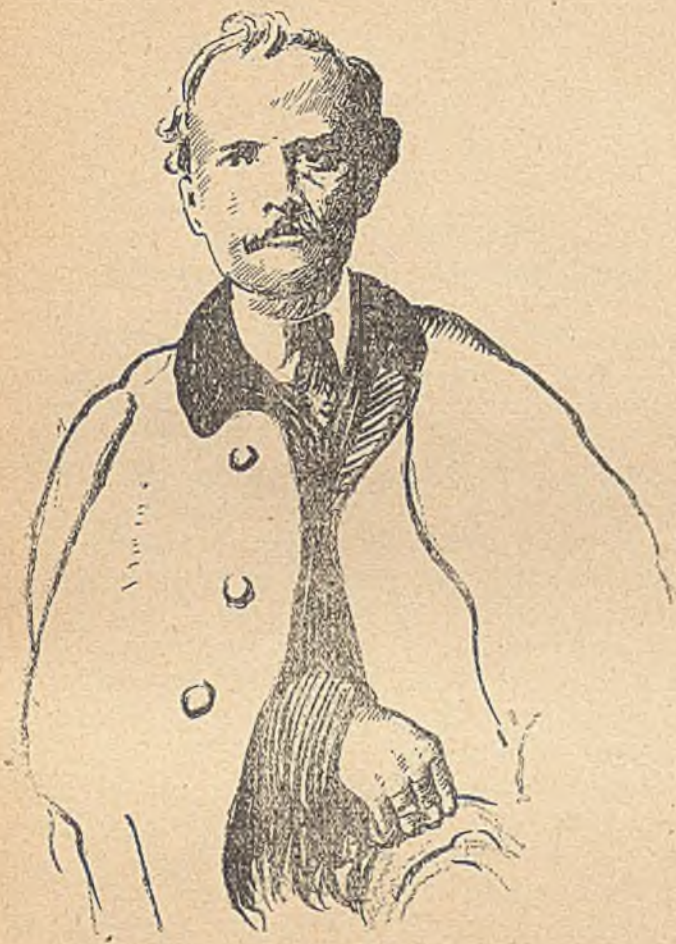
1958 D 968/14

I.

ZYGMUNT SIERAKOWSKI

Zarys monograficzny jego życia

1827—1863.



Kilka słów o materiałach do biografji Zygmunta Sierakowskiego.

Powstanie narodu polskiego w r. 1863 wysunęło na czoło wielu ludzi ambitnych, ale małych. Jedno z prawdziwie najwybitniejszych miejsc zajął Zygmunt Sierakowski ze względu na zdolności, charakter i los tragiczny.

Nasi pisali o nim mało, Rosjanie o wiele więcej. Z dawniejszych historyków najwięcej poświęcił mu miejsca przedwcześnie zmarły *Walery Przyborowski* („Dzieje 1863 roku“, T. III. Kraków 1902). Rozpatrywał działalność Sierakowskiego i udział tylko w powstaniu, a zbyt ufać źródłom rosyjskim, dał zupełnie fałszywą psychologiczną sylwetkę. *Jakób Gieysztor* („Pamiętniki Jakóba Gieysztora“, poprzedzone wspomnieniami osobistemi Tadeusza Korzonia; t. I—II. Wilno 1913), bliżej znający tę postać, dużo dorzucił szczegółów do biografji Sierakowskiego, faktycznych i pewnych. Nowa Reforma (krakowska) w trzech feljetonach p. t. „Zygmunt Sierakowski Dołęga. Wspomnienie w 56-ą rocznicę jego nieszczęsnego zgonu“ — poświęciła mu garść wspomnień osobistego charakteru, pisanych rozwlekłym stylem, mocno patriotycznie zabarwionym, nie przynosząc prawie nic nowego a dając charakterystykę bez ekspresji i błądą. W temże czasopiśmie jeden artykuł poświęcił Sierakowskie-

mu *S. R.* (ogięński) pod t.: „Ludzie wczorajsi — Zygmunt Sierakowski“. Pułkownik *Strus* („Ludzie i wypadki“ t. I) przytacza memoriał Sierakowskiego w sprawie polskiej, złożony Milutynowi w r. 1862. *A. Giller*, bardzo gadatliwy i pretensjonalny, poświęcił mu dużo miejsca („Historja powstania“ t. II). Wogóle, zarówno u *Strusia* jak u *Gillera* znajdujemy dużo ciekawych szczegółów, niezawsze dających się potwierdzić i sprawdzić.

Z polskich źródeł należy uwzględnić jeszcze *Laskarysa Jerzego* („Wyprawa Sierakowskiego na Kurlandję“, umieszczona w piśmie zbiorowem, wydawanem przez *Dzikowskiego* w Dreźnie, zeszyt 1), który zbyt może obiektywnie ocenia działalność Sierakowskiego, i *Wacława Koszczyca* („Naczelný wódz żmudzki w r. 1863“. Lwów 1891), szkic krańcowy w pochwałach, tak samo jak autor bywał zawsze krańcowy w naganach, pełen błędów, które, sprawdziwszy, odrzucamy.

Inne źródła, jak *Kolumna* („Pamiętka rodzin polskich“), powtarzają znane fakty lub znane bajki.

Autorów nie mających osobistej styczności z Sierakowskim pomijamy. Powołamy się na nich w tekście, gdy zajdzie potrzeba.

Wzmianki ludzi, stykających się z Sierakowskim w czasie wycieczek jego zagranicę, odnotujemy w tekście.

Z poważniejszych źródeł, z których wiele szczegółów czerpiemy, wymienić należy: *Benedykta Dybowskiego* „W imię prawdy“, sprostowanie faktów, dotyczących biografji Sierakowskiego, skreślonej przez autora „Historji dwóch lat“. *Dybowski* bardzo surowo i bezwzględnie obwinia *Przyborowskiego* o „fałszowanie“ faktów. Jeżeli można cokolwiek poczytać za winę *Przyborowskiemu*, to chyba tylko to, że zbyt ufał źródłom rosyjskim, nie licząc się z tem, że sposób oceniania zdarzeń i ludzi, jakoteż naszego cha-

rakteru narodowego, przez pisarzy, a tembardziej mężów stanu rosyjskich, bywał zawsze ujemny, nieścisty, niesłuszny, przesadnie niekiedy złośliwy. Wynikało to z różnicy między naszą psychiką i rosyjską. Ani szlachetności charakteru Sierakowskiego, ani jego duszy Rosjanie nie zrozumieli. Dla urzędników i zastępców cara na wysokich stanowiskach Sierakowski był tylko „zdrajcą“. Innego nie mogli sobie urobić pojęcia: rzekł się wielkiej karjery, pogardził łaską carską i przyłączył się do „buntowników“. Większej zbrodni w ich oczach nie mógł popełnić. Przyborowski, nasiąknawszy temi poglądami, nie zdobył się na samodzielną analizę psychologiczną człowieka wyjątkowych zdolności i szerokiej skali moralnej, jakim był Sierakowski. Dlatego też sylwetka tego niepospolitego człowieka wyszła w fałszywem oświetleniu. Przyborowski nie był fałszerzem faktów, ale fałszywym interpretatorem. I w tem właśnie tkwi jego wielka wina, jako historyka. Ten brak pogłębiania i wnikania w duszę ludzką odnosi się także do całego okresu powstania Styczniowego. Przyborowski, chociaż sam w szeregach powstańców walczył, nie rozumiał nastroju ówczesnej duszy narodu i potępił to, co było jej chlubą najwyższą.

Dybowski wydał również broszurę p. t. „Pamięci Zygmunta Sierakowskiego“ (Lwów 1906), w której pomiędzy artykułami, mającemi ideowy związek z powstaniem Styczniowem, umieścił także wspomnienia *Brontława Zaleskiego* p. t. „Zygmunt Sierakowski“ („Ojczyzna“ 1865 nr. 27, 28, 29, 30, 31). Jest to najpiękniejszy pomnik, jaki szczerą przyjaźń i bezstronna znajomość duszy ludzkiej mogła wystawić przyjacielowi. Zawiera dużo i cennych uwag, z których i Przyborowski w znacznym stopniu korzystał.

W tej samej broszurze znajdujemy „Wyjątek ze sprawozdania Zygmunta Sierakowskiego o pobyciu jego w Pa-

ryżu“ (str. 72 nast., po rosyjsku łacińskimi czcionkami); Memorjał p. t. „Kwestja polska“ (Polskij Wopros), złożony Aleksandrowi II. w r. 1862. (str. 76 nast., przekład z rosyjskiego). Sierakowski z nadzwyczajną śmiałością i szczerością wypowiada swój pogląd na rozwiązanie kwestji polskiej w duchu pojednawczym dla obu narodów. Stoi on na stanowisku wspólności państwowej z Rosją, nie na drodze podboju, lecz ugody dobrowolnej, i uzasadnia potrzebę takiej wspólności. Jest to memorjał o szeroko zakreślonych ramach. Autor ujmuje Polskę w granicach Rosji tylko, nie wspominając ani słówkiem o Wielkopolsce i Pomorzu, jakoteż o Galicji, nie ze względu wyrzeczenia się tych części Polski, lecz ze względów politycznych niewątpliwie. Polskę zaś rosyjską rozumie we wspólności historycznej z Rusią i Litwą, na zasadzie federacji Jagiełły i Zygmunta Augusta. Takie rozwiązanie nasuwało mu się jako możliwość — prawdopodobnie tymczasowa.

Wreszcie od siebie dodaje Dybowski jeszcze kilka słów p. t. „O cechach fizycznych osoby Zygmunta Sierakowskiego“ (str. 96 nast.).

Kilka ciekawych szczegółów znajduje się we „Wspomnieniach *Leonarda Sowińskiego*“ (Warszawa 1884).

Garść luźnych wiadomości, rozsianych po różnych pismach, jako mniej lub więcej fantazyjne przeróbki artykułów tu lub ówdzie czytanych, nie zasługuje zgoła na uwagę.

Pierwszorzędnem źródłem są wspomniane już „Pamiętniki Jakóba Gieysztorą“. Autor znał osobiście Sierakowskiego, był z nim w stosunkach przyjacielskich, porozumiewał się w okresie przedpowstaniowym i o ruchach jego był dokładnie powiadomiony, jako członek rządu litewskiego w powstaniu Styczniowem.

Więcej pisali o Sierakowskim Rosjanie. Podłym duchem nacechowana broszura jakiegoś *N. Cyłowa* („Sigismund Sierakowskij i jego kazń“ Wilno 1867) cytuje zeznania Sierakowskiego w Komisji. Biograf Nazimowa (Russkaja Starina 1885) rozpisuje się o zwiedzaniu twierdz przez Sierakowskiego. O nastroju społeczeństwa polskiego pisał *S. Bajkowski* („Polskaja młodzież“ w 1861 — 1863. Russkij Wiestnik T. 83). Według opowiadańjen. Ganeckiego kilka szczegółów napisał *I. Kornilow* („Iz razskazow gen. Ganekawo“. Russkij Wiestnik IX., 1889). *Mikołaj Berg* („Zapiski o powstaniu polskiem w r. 1863 i 1864“ t. III, przekład polski, Kraków 1899) nic nowego nie dają do naszego tematu.

Z pośród rosyjskich źródeł, odnoszących się bezpośrednio do Sierakowskiego, jest jedno niewyzyskane dotychczas i niewątpliwie nieznanie nawet tak skrupulatnemu znawcy roku 1863, jakim był Walery Przyborowski. Obejmuje ono okres czasu między rokiem 1857 a 1862 i nastroje społeczeństwa rosyjskiego w Petersburgu. Niezużytkowanie tego źródła wynika przeważnie z tego powodu, że ukrywa się ono pod zasłoną opowiadania, niby powieści. Do pominięcia go przyczyniła się niemało i ta okoliczność, że wydane zostało w Genewie, jakkolwiek na okładce napisano „Londyn“ — zwykły manewr konspiracyjki zacierania śladów przed rosyjską policją szpiegowską.

Mam tu na myśli dzieło p. t. „Prolog“ (Prolog), wydane bezimiennie, ale autorem był zdaje się *Czernyszewskij*. Dalszy tytuł uzupełniony dodatkiem: „Romans z początku szóstego dziesięciolecia, część I.“, poczem następuje drugi tytuł: „Prolog prologu. London. Wydawnictwo „Wpieriod“ 1877. Z dodatkowego tytułu widać, że autor zamierzał zanalizować nastrój i charakter rosyjskiego społeczeństwa

w okresie reform Aleksandra II., ale zdaje się zamiaru tego zaniechał, bo ukazał się tylko „Prolog prologu“ za granicą państwa, jako rzecz niecenzuralna. Był to okres gorącego agitowania na rzecz reform wojskowych i społecznych, — jedno zakończyły się zniesieniem kary cielesnej w wojsku, drugie — usamowolnieniem włościan. O tych dwóch tylko wspomina autor „Prologu“.

Autor znał osobiście Sierakowskiego, stykał się z nim, dyskutował i cenił wysoko, jakkolwiek z początku był do niego sceptycznie usposobiony. Jako jedna z najwybitniejszych osób działających, nazywa się on w opowiadaniu „Bolesław Iwanowicz Sokołowski“.

Fakty przytoczone z biografji Sokołowskiego: zesłanie do Orenburga, powrót, wstąpienie do akademji wojskowej, wreszcie agitacja jego w sprawie reform wojskowych i usamowolnienia włościan, stwierdzają niezbicie tożsamość osoby Sierakowskiego. Nadzwyczajnie trafna charakterystyka tegoż, zgodna z jego działalnością, jest jedyną syntezą osobowości tego niepospolitego człowieka. A ponieważ obejmuje ona działalność Sierakowskiego w okresie jego pobytu w Petersburgu, najmniej znaną, bo poniekąd konspiracyjną, przeto w odpowiednim miejscu będziemy z tego utworu korzystać.

Autor „Prologu“ przedstawia nam wiernie nietylko osobę Sierakowskiego, ale całą akcję jego agitatorską w najwyższych sferach owoczesnego społeczeństwa rosyjskiego. Na tle współczesnem „prądów liberalnych“, nurtujących Rosję, autor wprowadza Sierakowskiego w zetknięcie się z tymi ludźmi. Prawdopodobnie późniejszy wódz Żmudzi zetknął się w salonach dostojników rosyjskich i z Murawiewem Wieszatiewem, którego autor niezmiernie charakterystycznie a prawdziwie przedstawia na widowni salonowej jako hrabiego Czaplina.

Nie będziemy zastanawiać się nad odgadywaniem pseudonimów rozmaitych postaci, koło których kazał autor krążyć Sierakowskiemu. W pamiętnikarskiej literaturze rosyjskiej, o ile uratowaną została po rewolucji r. 1917, znajdzie się zapewne odpowiedź na to, kim była „Frejlina Taniszczewa“, która występuje jako zakulisowa protektorka Sierakowskiego, — kim był Niwolsin, a nawet Wołgin, w którym wolno się domyślać autora „Prologu“, albo wreszcie inne drugorzędne postacie.

Znając jednak nieco te koła rosyjskiego społeczeństwa w Petersburgu, wśród których obracał się Sierakowski, i charakter ich akcji, spróbujemy rozwiązać zagadkę niektórych pseudonimów. Prezesem Akademii Sztuk Pięknych był hr. Fiedor Piotrowicz Tołstoj, „schoengeist“ nastrojony liberalnie, przy którym skupiała się postępową część owoczesnego społeczeństwa petersburskiego. Jego to salon autor przedstawił prawdopodobnie jako „Riazancewa“. Żona jego była frejliną Marji Aleksandrówny. Być przeto może, że ona to występuje jako „frejlina Taniszczewa“, która tak gorąco popierała usiłowania Sierakowskiego. W postaci Saweljewa, który referował sprawę włościańską, autor „Prologu“ przedstawił zapewne Jakóba Sołowjowa, wyższego urzędnika, gorąco popierającego usamowolnienie.

U pisarzy ruskich znaleźliśmy także wiązanek wiadomości, dotyczących Sierakowskiego i jego stosunku do zesłanego poety *Tarasa Szewczenki*. Do tej kategorii materiałów należą listy Szewczenki do Bronisława Zaleskiego, pisane po rosyjsku (Piśma T. G. Szewczenka k Bronisławu Zaleskomu, 1853—1857, Kiew 1883). Oryginały tych listów zaginęły, wydane zaś zostały z własnoręcznej kopji Bronisława Zaleskiego, udzielonej Michałowi Dragomanowowi, który je wydrukował pod inicjałami M. T-ow (Titow) w „Ki-



jewskaja Starina". W monografji, poświęconej T. Szewczen-ce, napisanej przez Michała *Czatego*, eks-dyrektora gimna-zjum II w Kijowie, p. t. „Żiźń i proizwiedienia Tarasa Szewczenka“ (Kijew 1882) znajduje się jedyny znany nam list Sierakowskiego do Szewczenki.

Garść chudych bardzo wiadomości o Sierakowskim da się wyłowić także z biografji T. Szewczenki, napisanej przez Aleksandra Koniskiego („Taras Szewczenko - Hrusziwskij. Chronika joho žytia“, t. I i II, Lwów 1901).

Oto prawie wszystko, co nam się udało znaleźć w dru-ku o Sierakowskim. Zapewne niejedno wspomnienie o nim spoczywa jeszcze w rękopisie.

I. W Żytomierzu i w uniwersytecie.

Zygmunt Sierakowski, według Marjana Dubieckiego, urodził się w powiecie łuckim na Wołyniu 10 maja 1827 roku *). Metryki jego, któraby ustaliła datę urodzin, nie znamy, nie wiemy przeto, skąd ta wiadomość zaczerpnięta. W. Przyborowski mówi głucho: „w okolicy Łucka“.

Ojciec Zygmunta Ignacy i matka Fortunata z Morawskich należeli w tym czasie prawdopodobnie do ziemian wołyńskich w powiecie łuckim. Nie udało nam się odszukać wiadomości, czy Ignacy należał do posesjonatów powiatowych, czy też tylko „chodził dzierżawami“ — jak się mówiło. Nie wiemy, gdzie i czyją majątność dzierżawił, ani też jakiej rozległości, a to właśnie dałoby nam możność określenia niejako stanu zamożności rodziny. Nie da się także sprawdzić, czy wiodło mu się na dzierżawach, czy nie; bo jakkolwiek w roku 1830, może rok lub dwa przedtem, trzymał dzierżawą jakiś majątek nad Bohem na Podolu, z tego, że się przeniósł w okolice żyzniejsze, należałoby wnosić raczej, że zamożność rodziny wzmogła się. Brak nam także szczegółów bliższych co do tej podolskiej majątności. Na nowej dzierżawie zaskoczyło go powstanie

*) Benedykt Dybowski utrzymuje, że 19 maja.

roku 1830. Wziął w niem udział, walczył pod generałem Kołyszką pod Obodówką i Daszowem i poległ pod Lacyzowem. Z tej okoliczności wznosić można, że i majątność dzierżawna znajdowała się w pobliżu (może w powiecie humańskim), gdyż zwykle szlachta miejscowa (poza nią rzadko kto brał udział w walce o odzyskanie ojczyzny) przyłączała się dopiero do zbliżającego się oddziału.

W tym czasie Zygmunt mógł mieć rok piąty. Zapewne czas jakiś po śmierci głowy rodziny gospodarowała matka. Ciężka to była i pewnie nad siły praca, bo wkrótce znajdujemy rodzinę w Żytomierzu. Ale i tu dał ścisłych braknie. Zygmunt wychowywał się u babki Morawskiej, wdowy po żołnierzu kościuszkowskim, kobiety „wielkiego serca“ — jak zapewnia Dubiecki. W każdym razie tradycje rodzinne i wspomnienia, które często ożywiały życie szlacheckie, przyczyniały się niemało do rozbudzenia ducha poświęcenia się, miłości i ofiary dla ojczyzny.

Miał podobno dwie siostry, o których wspominają niektórzy, o bracie żadnej wzmianki nie znajdujemy. Między rokiem 1865 a 1890 starzy kijowianie pamiętają zapewne bardzo popularne w kolonji polskiej nazwisko Sierakowskiego Ignacego. Zdaje się, że był to, jeśli nie brat rodzony, to stryjeczny Zygmunta *).

*) Postać to oryginalna i smutna zarazem swoim losem. Znałem go osobiście bardzo dobrze. Gimnazjum ukończył w Żytomierzu, miał tam rodzinę, matkę — jak mówił — żyjącą w ciężkich materialnych warunkach. Nieszczęśliwa miłość zmąciła mu życie i umysł. Czuł się głęboko pokrzywdzonym przez najbliższą rodzinę ukochanej, żądał publicznie zadośćuczynienia, wydając dla usprawiedliwienia siebie broszurki po rosyjsku, nawiasem powiedziawszy, okropnym językiem pisane. Jako niespełna rozumu, nie mógł nigdzie znaleźć stałego zajęcia, pomimo że ukończył wydział filozoficzny w uniwersytecie w Kijowie. Ostat-

Niektórzy utrzymują, że majątek Sierakowskiego po roku 1831 skonfiskowany został. Nie mogło się to tyczyć chyba własności ziemskiej, skoro Sierakowski był tylko dzierżawcą. Mógł mimo to posiadać jakiś spłacheć ziemi własnej, która konfiskacie podlegała. Po rozpatrzeniu się w spisie skonfiskowanych majątków po roku 1831 — o ile one dla nas były dostępne — żadnego Sierakowskiego nie znajdujemy na Wołyniu. Z tegoby wnioskować można, że rodzina do współczesnych rodów wołyńskich nie należała. Ród Sierakowskich należał jednak niewątpliwie do starych rodów szlacheckich. Zapisał go Paprocki pod herbem Dołęga, że jest to „w gostyńskim powiecie ród starodawny“. U heraldyków litewskich, jak np. Kojałowicza, Sierakowskich niema wcale, coby dowodziło, że jest to ród rdzennie polski. W znanych nam spisach elektorów szlachty polskiej i elekcji od Władysława IV, Korybuta i Stanisława Leszczyńskiego przeszło 30 Sierakowskich z różnych dzielnic Polski bierze tam udział. Z tytułu więc swojego herbu, jak i z charakteru pełnego energii, Zygmunt żartobliwie mówił swoim orenburskim przyjaciołom, że nie należy do „niedołęgów“.

Obiegała pogłoska, że Sierakowski był wnukiem rzeźnika, współczesnego Kilińskiemu, z którym razem zawieruchę przeciw Moskwie wywołał. Bronisław Zaleski, kolega Zyg-

ni raz, jeśli się nie mylę, zetknąłem się z nim w r. 1899 na probostwie w Kijowie, gdzie na starość znalazł bezpłatny przytułek. Czekałem na księdza Ołędzkiego, który miał mi opowiedzieć o ostatnich chwilach przedzgonnych rozstrzelanych w Kijowie Polaków za udział w powstaniu. Wówczas spytałem Sierakowskiego, czy nie jest bratem Zygmunta. Powiedział — że jest. Ponieważ w tej chwili zaprosił mnie do siebie ksiądz Ołędzki, nie miałem czasu wypytać o dalsze szczegóły, a później nie widziałem już Sierakowskiego.

munta z wygnania za Uralem, słusznie utrzymuje, że rodzina jego była oddawna znaną i zasłużoną w Rzeczypospolitej. Ubożała w miarę tego, jak ubożała ojczyzna. Od kilkunastu pokoleń służyli jej. Jeden z Sierakowskich, Jan, kasztelan bełski, był ambasadorem w Turcji. Są Sierakowscy, posługujący się tytułem hrabiowskim, ale ojciec Zygmunta należał już do zubożałej gałęzi, która starym polskim zwyczajem nic sobie z tytułów nie robiła, stosownie do przysłowia: — „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.“

Dziedziczne tradycje wolności tkwiły więc głęboko w duszy dziecka.

Gdy Leonard Sowiński, późniejszy poeta, wstępował do gimnazjum w Żytomierzu do klasy 4-ej, Sierakowski już kończył gimnazjum. Ukończył je świetnie, bo ze złotym medalem. Mieszkał on w domu Albinostwa Piotrowskich, gdzie za wikt i mieszkanie udzielał pomocy w naukach synowi zamożnych obywateli wołyńskich. Było to wszakże już po ukończeniu gimnazjum. Pobyt w domu Piotrowskich miał na celu zebranie funduszu na wyjazd do Petersburga do uniwersytetu. „Był to wówczas — powiada pamiętnikarz — młodzieniec dziewiętnastoletni, powierzchowności niezbyt ujmującej, ale nakazującej szacunek. Z niezachwianą powagą łączył egzaltację niesłychaną, tak że czasami można go było wziąć za genialnego szaleńca, tembardziej że w rodzinie jego rys ten objawiał się dziedzicznie“. Nie wiadomo, skąd pamiętnikarz tę wiadomość posiadał. Zygmunt odznaczał się przedewszystkiem niezłomnością przekonań, które popierał wymową porywającą. Był naiwny jak dziecię i wierzył niezłomnie w wielkość powołania swego. Należał do tych, którzy mierzą siły na zamiary, a nie zamiary według sił.

O matce Bronisław Zaleski powiada, że była kobietą dużego hartu ducha, uwielbiającą syna i tak pewną, że imię jego znane być musi całemu światu, że, przedstawiając się ludziom obcym, mówiła: „jestem matką Zygmunta“.

Lata dziecinne Sierakowskiego upływały w atmosferze wysokiego napięcia patriotycznego i wczesnie rozpały umysł dziecka do szlachetnych czynów. Było to otoczenie rodziny matki. Jak wspomniano wyżej, po śmierci ojca chłopiec wychowywał się, czy tylko przez czas dłuższy przebywał, w domu babki swojej, wdowy po Wiktorze Morawskim, towarzyszu wszystkich walk kościuszkowskich. Najczulsze wspomnienia o niej zachował Sierakowski do końca życia... Od niej wyniósł i zaszczerpił w sercu swoim miłość ojczyzny, poczucie wobec niej obowiązku i pragnienie poświęceń.

Matka Sierakowskiego zamieszkała po śmierci męża w domu Kajetana Celermantha, wuja Zygmunta, który też opiekował się nim po śmierci babki. Był to stary żołnierz z pod Grochowa i Ostrołęki, który, osiadłszy na Wołyniu, w ciągłych był stosunkach z emigracją polityczną. Drugim wujem jego był Felicjan Koszkowski, jeden z bohaterów z pod Woli, gdzie siedem ran otrzymał i stracił palce prawej ręki. Gdy później Sierakowski widywał listy wuja, pisane lewą ręką, mówił do matki: „gdyby to mnie tak się zdarzyć mogło!“

Taka podniosła atmosfera panowała w życiu owoczesnego szlacheckiego społeczeństwa, które jeszcze żyło świeżą tradycją niepodległości ojczyzny.

Najświezsze wspomnienia dziecinne Sierakowskiego odnoszą się do nocy, w której ojciec wyszedł do powstania. Dziecko, jakby smutnem przeczuciem targane, długo zasnąć nie mogło. Prosił tak długo ojca, aby go okrył, aż

ojciec usłuchał, a przykrywając go kołderką, rzekł: „śpij teraz, odtąd własną pierśią będę cię okrywał“.

Z bujną wyobraźnią, o bystrym umyśle, wzrastał chłopiec w otoczeniu serc miłujących ludzi i ojczyznę. W tej atmosferze wyrabiał się w nim hart, siła, nieraz w upór i dumę przechodzące. Niezadługo miało się to sprawdzić. Gdy rozeszła się pogłoska, że rząd dzieci powstańców ma zamiar odebrać rodzinom i kształcić ich na przyszłych janczarów, matka postanowiła przebrać Zygmunta za dziewczynkę i kazała mu się nazywać Helenką. Chłopiec oparł się. Gdy rzeczywiście zjawił się w ich domu urzędnik — może nawet nie w tym zamiarze. — a matka oświadczyła, że jest to dziewczynka, chłopiec zaprotestował: „nie, jestem chłopcem, nazywam się Zygmunt Sierakowski!“

Tę odwagę chłopca matka okupiła resztkami sreber rodzinnych, które poszły na uspokojenie patryjotyzmu urzędnika rosyjskiego.

Gdy podrósł nieco, marzył o niewytkłym losie. Raz, zwiedzając ruiny zamku w Łucku wraz z matką, odłupał kamień, a dając go, rzekł: „Schowaj go, matko. Jeśli kiedy zasłużę i pisać o mnie będą, ten kamień będzie ci pamiątką“.

Z dużemi zasobami umysłu i serca pojechał do Petersburga, gdzie się zapisał w roku 1845 na studja.

Dlaczego, mając do wyboru bliższy Kijów, wybrał jednak Petersburg? Trudnoby na to pytanie odpowiedzieć, chociaż niewątpliwie w Kijowie, gdzie szlachta polska swoim funduszem dźwigała wszechnicę, łatwiej, niż w Petersburgu, mógłby znaleźć poparcie materialne. Nie odbyło się to zapewne bez narady z najbliższem otoczeniem. Kijów w owym czasie był małym prowincjonalnem miastem, bez znaczenia państwowego. Dopiero uniwersytet, przeniesiony z Wilna,

uczynił z niego stolicę całej Rusi południowej i ośrodek życia ośmiu prawie gubernij. Petersburg oddawna już, bo od końca XVIII wieku, począł ściągać ku sobie inteligencję, a nawet ziemiaństwo, z całej Polski. Tworzyło się tu szerokie ognisko intelektualne polskie, zarówno niezależne materjalnie, jak i zasilane wysoką biurokracją polską, rekrutującą się ze szlachty litewskiej i ruskiej, która w pobliżu świętego dworu carskiego szukała wyniesienia się i kariery. Wysyłanie synów do Petersburga, nie zawsze do uniwersytetu, stało się pewnego rodzaju modą. Tam tylko można było znaleźć drogę do wielkiej kariery w przyszłości. Nie byłoby przeto nic dziwnego w tem, że młody, zdolny i ambitny młodzieniec, jakim był niezawodnie Sierakowski, kierowany temi względami, do stolicy carskiej podążył. Nie przeszkodziło mu to zgoła stanąć tam w roli gorącego, zapalnego i szlachetnego młodzieńca polskiego.

Żytomierz, z którego Sierakowski na wielkie północne wody wypłynął, owo miasto-wieś, które długo jeszcze po nim zachowało swój wiejski charakter, w okresie szkolnym Sierakowskiego było miastem nawskroś polkiem. Nie było w owym czasie na Wołyniu jeszcze innej kultury oprócz polskiej, innej własności ziemskiej oprócz polskiej, a nawet innej biurokracji, jak polska. Rosjanie byli rzadkimi ptakami, którzy stadami zlatywali na ziemię wołyńską z każdym nowym gubernatorem i znajdując łatwość życia, osiadali z rodzinami, a dzięki poparciu i opiece rządu, tworzyli podkład pod późniejsze ziemiaństwo rosyjskie, wykluwające się z biurokracji. W czwartym dziesięcioleciu XIX wieku rusyfikacja nie zrobiła jeszcze wielkich postępów, charakter przeto miasta był nawskroś polski — z języka, z ducha, z tradycji. W takiej atmosferze formowały się pierwsze wrażenia, budziły się pierwsze uczucia młodzieńca, którego ojciec

położył głowę w obronie ojczyzny. Rosja panowała wprawdzie w owym czasie w t. zw. Kraju Zabranym, ale w duszach ówczesnego społeczeństwa polskiego żyła jeszcze Polska i rzadko kto mniemał, żeby utracona ojczyzna odzyskać się nie dała. Tym duchem i taką wiarą nasiąknięte żyło społeczeństwo wołyńskie wszędzie, a najżywiej może skupione w swojej starożytnej stolicy.

W wysokim nastroju patriotycznym przybył tedy młodzieniec do Petersburga. Na tym obcym i dalekim gruncie żyły dwa pokolenia Polski: stare, godzące się do pewnego stopnia z położeniem politycznym narodu, i młode, w którym tradycje przeszłości i życie tylko w sferze swojej rozbudziło świeże jeszcze dusze w kierunku narodowo najszlachetniejszym. W Petersburgu Sierakowski zbliżył się z kółtem literatów, między innymi z księdzem Ig. Hołowińskim, a bywał także gościem w salonach Henryka Rzewuskiego. Znał go z Wołynia. Magnat polski ofiarował pomoc w kształceniu się, ale poglądy polityczne obu ludzi były zbyt dalekie od siebie, i młodzieniec przyjęcia pomocy odmówił.

W chwili przybycia Sierakowskiego do Petersburga panowała tam wśród młodzieży uniwersyteckiej manja naśladownicza niemieckich burszowskich organizacyj, przeszczerpiona z Dorpatu. Ale odpowiadała ona tak mało składowi charakteru polskiego, że nigdy nie dosięgła tego stopnia koleżeńskiego dziwactwa i swawoli, jak w uniwersytetach niemieckich. Trwało to zresztą niedługo. Przybycie Sierakowskiego zmieniło radykalnie usposobienie młodzieży. Przyniósł on zupełnie inny powiew myśli, inny duch. Pozytywnie, ale szlachetnie usposobiony Jakób Gieysztor, umysł trzeźwy, zrównoważony, patriota z gorącym sercem, późniejszy członek rządu litewskiego, zaprzyjaźnił się z młodym entuzjastą. Dwa charaktery, napozór sprzeczne, ale

jednolite każdy w swoim kierunku, uzupełniały się poniekąd. „Na gruncie petersburskim ukazała się promienna, zapałem, poezją tryskająca postać“ — pisał Gieysztor o Sierakowskim. „Kto go znał wówczas, ten nie zarzuci mi, że przesadzam, zwąc go jednym z wybrańców Pańskich, którzy nie tylko pracą, nie tylko poczuciem obowiązku i gorącym sercem pracują na niwie ojczyznej, lecz i wyższym polotem ducha, pociągając bratnie umysły, unosząc je często w najpoetyczniejsze sfery. Staliśmy się jakby kierownikami opinii ówczesnej młodzieży, a często jakby przeciwnikami. Ja, do siwego włosa zachowując — jak mówią — duszę zapaleńca, nie mogłem być obojętny na słowa takiego wybrańca Pańskiego, lecz inne były nieraz moje pojęcia o naszym zadaniu. Wychowany, również jak i Sierakowski, na poezji Adama, a jeszcze bardziej Zygmunta Krasińskiego, przy wręcej krwi zachowałem t. zw. chłopski rozsądek. Nie spisków, nie form, ale dojrzałego zrozumienia posłannictwa i obowiązków własnych było nam potrzeba. Nie tworzyć spisków, nie rwać się do zewnętrznej walki, lecz przede wszystkim, idąc za tradycją Zana, wewnątrznie się odrodzić“.

Prądy, dążące do wewnętrznego uszlachetniania się, nurtowały wśród młodzieży polskiej w Petersburgu, do czego niemało przyczyniał się mglisty, pełen górnolotnych frazesów poemat Żeligowskiego (Sowy) p. t. „Jordan“. Ale ponad fantazją poetyckiego ducha unosiła się zawsze myśl o miłości ojczyzny i o służbie dla niej. W młodzieńczych marzeniach szukano rozwiązania zagadki przyszłości, szukano nowych sił, mających odrodzić i odbudować ojczyznę.

Gdy przeto z jednej strony Towarzystwo Demokratyczne, założone we Francji, głosiło zasadę zbyt skrajną: „Wszystko przez lud, dla ludu“, z drugiej strony sformułowaną została teza, jeśli nie mniej marzycielska, to jednak

bardziej słuszna, przez wielkiego poetę-filozofa: „Jeden tylko, jeden cud — z szlachtą polską polski lud“. Teza ta była osią demokratycznych przekonań Sierakowskiego. Szlachta w kilkakrotnych powstaniach złożyła dowody, że mimo największych wysiłków i poświęcenia się nie zdoła o własnych siłach odbudować ojczyzny.

Lud został przeto wysunięty jako nowa siła przyszłości; ale lud ten był jeszcze nieruchomą bryłą kruszcu narodowego, nie rozumiał prawie pojęcia szerokiej ojczyzny, złożonej z różnych uwarstwień, i do żadnych ofiar osobistych zdolny nie był. W jego imieniu trzeba było myśleć i działać. Mimo wszystko, rozbudzenie tej siły do życia narodowego napotykało na przeszkody wszystkich rządów zaborczych, które lud wiejski bałamucili i nastrojały wrogo wobec innych warstw, grając na strunie pańszczyźnianej zależności ludu od szlachty i jednocześnie nie pozwalając na dobrowolne zniesienie tej zależności i dobrowolne uregulowanie wzajemnych stosunków.

Ówczesne kółko młodzieży akademickiej wydało później kilkunastu dzielnych i zasłużonych ludzi, tych samych, którzy skupiali się koło Sierakowskiego. Między innymi byli tam: Bonifacy Krupski, Bolesław Świda, Aleksander Oskierka, Konstanty Gieczewicz, Wacław Przybylski i inni, a także łączyła się z nimi młodzież z innych zakładów naukowych, tworząc niejako jedną rodzinę.

Rzutki, ruchliwy, gorący, czynny Sierakowski musiał z łatwością wyszukiwać młodzież polską w różnych rosyjskich zakładach i szkołach i łączyć ją wspólnem ogniwem miłości ojczyzny. Ten związek młodzieży tworzyli głównie Litwini i niewielka grupka z Rusi. Była to przeważnie młodzież ziemiańska, z rodzin zamożnych, która w szkołach szukała nie drogi do kariery, lecz przygotowywała się do służ-

by obywatelskiej. Z Rosjanami łączono się mało. Nie było w tym braku ścisłych stosunków nienawiści, ale raczej nieufność i różne drogi w przyszłości, którymi ci i tamci kroczyć mogli. Nie brak było i takich, którzy jednak chętnie udzielali się towarzystwu rosyjskiemu, a nawet z pewnym niesmakiem uwielbiali różne drugorzędne wielkości społeczeństwa rosyjskiego stolicy. Do takich należał pamiętnikarz Tadeusz Bobrowski, który, nasiąknięty adoracją kultury petersburskiej, długi czas udawał na Ukrainie Kijowskiej, gdzie posiadał niewielki mająteczek, domorośłego lorda i trzeźwego polityka. Zapewne z powodu tej trzeźwości nie tylko nie zdobył zaufania brata Stefana w roku 1862, ale w okresie pobytu swego w Petersburgu i kółka zbliżonego do Sierakowskiego.

A kółko to rozszerzało się coraz bardziej, dzięki niezmordowanej ruchliwości i energii Sierakowskiego. Wkrótce znalazł się w niem Jan Baliński, znakomity psychjatra, Ignacy Zenowicz; z czasem i Różycki Edmund, późniejszy wódz powstania wołyńskiego w roku 1863. Różycki, syn generała wojsk polskich Karola, urodzony r. 1828, dzieckiem wywieziony w głąb Rosji, ukończył korpus paziów, a później akademię wojskową. Nie znał on języka polskiego, nie umiał nawet w owym czasie podpisać bez błędu własnego nazwiska, ale dźwięk mowy polskiej i ciepło polskiego serca wróciły go, oderwanego dzieckiem, na łono ojczyzny.

Jaki nastrój panował w tem gronie, dowiadujemy się z pamiętników Gieysztora. „W czasie świąt wielkanocnych — pisze autor — zebrało się u mnie liczne grono młodzieży uniwersyteckiej, lecz nie brakło i ludzi starszych, wojskowych, znanych z charakteru przeważnie zimnego. Rozpoczynając naszą ucztę, stanęliśmy wkoło, bo Zygmunt tak

chciał, i zanuciliśmy hymn.“ (Był to zapewne albo znany hymn „Boże, coś Polskę“, albo, co jest bardziej prawdopodobne, znany już wówczas chorał K. Ujejskiego „Z dymem pożarów“). „W połowie śpiewu — mówi dalej autor — jakby elektrycznym prądem rażeni, upadliśmy na kolana, a po skończeniu hymnu, nie było ani jednego suchego oka. Śpiewów więcej nie było, ale czuliśmy, żeśmy byli jakby wszyscy skuci jednym łańcuchem miłości dla kraju. Później nigdy już podobna chwila zachwytu ogólnego nie powtórzyła się.“

Oprócz tej garstki młodzieży, której przeznaczone było wziąć gorący udział w powstaniu Styczniowem, była w Petersburgu także grupa trzeźwych lub wytrzeźwionych Polaków, rzadko dopuszczająca do swego grona entuzjastów, dla których karjera osobista lub rzekoma trzeźwość nie przedstawiała się jako ideał życia. Była to grupka literatów i wysokich urzędników, bliższymi lub dalszymi stosunkami związanych z dawnym uniwersytetem wileńskim. Mieszkał tam: Szyrmer, pisujący pod pseudonimem kobiecym Eleonora; Fr. Malewski, niegdyś przyjaciel Adama Mickiewicza; Przećławski, pisujący później swoje wspomnienia po rosyjsku pod kryptonimem „Cyprynus“, chwalać się, że tak go niegdyś nazywał Mickiewicz, i inni. Wybitne stanowisko w prasie rosyjskiej i w literaturze zajął orientalista Sękowski, późniejszy baron Brombeus, człowiek zdolny, ale bez charakteru, który, oddalając się coraz bardziej od narodowości, oderwał się wkońcu od niej zupełnie.

Przemieszkował także w tym czasie w Petersburgu Henryk Rzewuski, złośliwy zacofaniec szlachecki z końca XVIII wieku, kpiący z własnego narodu, człowiek uchodzący za bardzo trzeźwego politycznie i narodowo, a w samej rzeczy obojętny na przyszłość ojczyzny. Mało w jego sa-

lonach gromadziło się młodzięży, a powiadają, że bywał także Zygmunt Sierakowski, który nie krępując się wypowiadał swoje ultra-demokratyczne przekonania. Rzewuski umyślnie podniecał młodego zapaleńca do mówienia, a wtedy z szyderyczym uśmiechem wskazywał go gościom, ażeby im przedstawić „w całej nagości“ okaz nowych doktryn społeczno-politycznych. „Teorje te — mówi W. Przyborowski — tak rozpowszechnione wśród inteligentniejszej młodzieży polskiej, uczącej się na uniwersytetach rosyjskich, zgubiły Sierakowskiego“. Niestety, nie wyjawil nam autor, jakie to były teorje: a ponieważ zbliżał się rok 1848, zwany powszechnie „wiosną narodów“, wolno domyślać się, że to były wspólne całej ówczesnej Europie marzenia na tle wolności politycznych i tak popularne w owym czasie idee Towarzystwa Demokratycznego, którego emisariusze gęsto krążyli po kraju, roznosząc światło nowych złudnych nadziei wydobycia ojczyzny z niewoli zapomocą tej biernej siły, którą powszechnie nazywano chłopem. Henryk Rzewuski zbyt jeszcze całą swoją umysłowością należał do większości szlachty polskiej z końca XVIII wieku, ażeby w skrajnych tezach Towarz. Demokratycznego mógł dojrzeć promień dalekiej nadziei. Utrzymywano jednak, że ten zacofany trybun szlachecki i obrońca patronatu nad chłopem, Jarosz Bejła, widząc ciężkie stosunki materjalne, w jakich żyć musiał Sierakowski, miał mu zaproponować pomoc pieniężną; młody akademik odmówił jakoby. Jeśli tak było w istocie, to zacofanie ukraińskiego i podolskiego magnata znajdować się mogło nieraz na wspólnej linii z socjologicznymi i politycznymi marzeniami ubogiego, ale szlachtetnego młodzieńca.

Nadszedł wreszcie rok 1848. Trudno mieć wyobrażenie, jak silnie musiał podziałać na młode umysły rozbu-

dzony ruch wolnościowy we Francji, a nawet w Austrii i Niemczech. W najbliższej nam granicy Austrii Węgrzy podnieśli broń przeciwko biurokratycznemu despotyzmowi. Mnóstwo młodzieży polskiej udało się na Węgry, a usiłując związać sprawę polską ze sprawą wolności Węgier, przedostało się potajemnie przez granicę i utworzyło polskie legjony. Nazwiska Bema i Wysockiego, owiane chwałą zwycięską, były na ustach całego cywilizowanego świata. Odbijały się ze wszech stron echa, że Galicja ma się lada dzień porwać do broni lub może nawet już za oręż chwyciła. Utworzenie we Lwowie gwardji narodowej można było uważać za wstęp do dalszej akcji. Wszystko to brano w rachubę, tylko nie uwzględniano przewrotności Austrii.

Przebudzenie się Europy do nowego życia politycznego, próba wydobycia się z więzów despotyzmu, nie mogły nie oddziaływać na gorącą duszę Sierakowskiego. Znał on niewątpliwie słynny manifest Tow. Demokratycznego, wysuwający do odbudowy Polski nową siłę — lud, i wróżył, że lud ruski także do wspólnej walki z Moskwą wraz z polskim pójdzie. To też w całym życiu Sierakowskiego dostrzega się nietylko sympatję dla sfer ludowych, ale i łaćtwość, z jaką umiał serce ludowe skłaniać ku sobie.

Już w okresie pobytu w uniwersytecie wymykał się w czasie wakacyj z murów miasta, ażeby tę lub inną pro-dawnej Rzeczypospolitej Polskiej poznać. W podró-zach tych poznał Litwę, Wołyń i Ukrainę Kijowską. Wszę-dzie umiał się zbliżyć do ludu i zjednać go sobie, co dzięki miękkiemu i szlachetnemu charakterowi przychodziło mu bardzo łatwo. Najprostszemi środkami jedną sobie zaufa-warstw najbliższych, upośledzonych i upokorzonych.

Z powodu wileńskich kolegów i przyjaciół, zbliżył się do Wilna. Na wsi brał chętny udział w pracach i zaba-

wach ludowych, nie lękając się nawet ręcznej pracy przy sianokosach lub zbiorach. W gronie chłopów czy rzemieślników, wszędzie w porywających słowach mówił o przeszłości i przyszłości, a szczerść, z jaką przemawiał, przechylała zawsze słuchaczy na jego stronę.

Na Wołyniu i Ukrainie miał wśród pasieczników wiernych przyjaciół i słuchaczy. Starych pasieczników lud niezwykłą czcią otaczał. Byli to filozofowie ludowi, w mniemaniu ludu znachory, wszytkowiedze, spojeni tajemniczym życiem z matką-naturą, a stąd wielki wpływ mający na lud wogóle.

„Tłum — mówi przyjaciel jego Bronisław Zaleski — zawsze go pociągał i jakby elektryzował, a wtenczas wydobywały się z jego duszy iskry, które w serca słuchaczy zapadały głęboko“.

Echa tego, co się działo na Węgrzech i w Galicji, przedostawały się do północnej stolicy carów i rozбивały się o granity jej wybrzeży. Narazie nie wiemy, jaki był nastrój młodzieży polskiej w Petersburgu, ale nie możemy wątpić, że wieści te przyjmowano z uniesieniem, a ukrywano w najgłębszych tajnikach duszy. Budziło się mimowoli pragnienie i potrzeba sprawdzenia wieści. Bardzo być przeto może, że myśl ta, nurtująca w duszy Sierakowskiego, stała się impulsem do czynu. Nie był to charakter utopijny, tonący w marzeniach, ale człowiek, acz młody, wyrobiony walką z życiem codziennem, idealista poniekąd, ale posiadający dużo w sobie rozwagi i zmysłu praktycznego.

Niema żadnych danych, na mocy których możnaby przypuścić, że wśród młodzieży uniwersyteckiej w Petersburgu istniał jakiś spisek, do którego i Sierakowski mógłby należeć; ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, biorąc pod

uwagę logiczny rozwój wypadków, że wśród tej młodzieży nurtowała myśl bliższego poznania prawdy, ażeby dopiero na tej podstawie zdecydować o możliwości lub niemożliwości wzięcia udziału w walce o wolność.

Wołyń był nietylko terenem najbliższym walki, ale i najlepiej znanym Sierakowskiemu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, sam on lub w porozumieniu z kolegami zapragnął pojechać na Wołyń i bliższych wiadomości zasięgnąć. Nie bez trudu przeto wyrobił sobie paszport i wyjechał. Dubiecki powiada, że, pragnąc przedostać się do Galicji, kupował ubranie wieśniacze i, zdradzony przez żyda, został aresztowany i przewieziony do twierdzy w Kijowie. Wersja mało prawdopodobna, gdyż sam fakt kupowania chłopskiego ubrania nie mógłby zwrócić na siebie uwagi policji, a gdyby nawet zwrócił, trudno przypuścić tyle naiwności u Sierakowskiego, aby się przyznał, w jakim celu je kupował. Musimy przeto szukać przyczyny bardziej prawdopodobnej.

Znajdujemy ją w opowiadaniu znajomego Sierakowskiego — w „Prologu“. Znajomość ta była dawna i oparta na wspólnej doli wygnańców. Otóż tam staruszek (autor „Prologu“ nazywa go Zielińskim: nazwisko może nawet zmyślane, — chociaż wśród wygnańców w Orenburgu powtarza się ono często) opowiada przyczynę zesłania Sierakowskiego do bataljonów orenburskich i parę szczegółów z jego życia. Szczegóły te, trochę fantazyjne, sprostowaliśmy już na początku*). Według opowiadań rzekomego

*) „Majętność jego ojca była skonfiskowaną — pisze autor „Prologu“ — w r. 1830. W tym samym czasie poległ na polu bitwy ojciec jego, który zebrał oddział powstańczy z włościan swoich i sąsiadów i na czele jego stanął“. („Prolog“, str. 134).

Zielińskiego, Sierakowski wyjechał na wakacje na Wołyń. Współkoledzy jego ojca zdołali uniknąć konfiskaty majątności, które leżały nad samą granicą galicyjską. „Sokołowski“ odwiedził jednego ze swoich krewnych, właśnie owego (tajemniczego) Zielińskiego, który później powtórzył autorowi „Prologu“ cały wypadek. Było to jakieś większe zebranie towarzyskie. Wprost z tego wieczorku Sierakowski — występujący stale jako Sokołowski — wyjechał do drugiego krewnego, wyjechał furką żydowską do granicy, w zamiarze przekroczenia jej, — tak samo zresztą w owe czasy podróżowali po kraju ludzie niezamożni. Inny żydek, będący z tamtym w nieporozumieniu, zrobił doniesienie do władzy, oskarżając go o zamiar przeprowadzenia przez granicę jakiegoś studenta. Żyda aresztowano, ale aresztowano także i Sierakowskiego, podejrzanego o zamiar przedostania się za granicę bez paszportu.

Inna wersja, dotycząca owego wyjazdu Sierakowskiego, zawiera więcej szczegółów i jest poniekąd rozwinięciem poprzedniej. Akcja i tym razem skupia się w domu owego Zielińskiego, ale posiada już tło szersze, nie osobiste. Wspomnieliśmy już o tem, że w r. 1848 Galicja wzięła udział w walce o wolność, która ogarnęła całą monarchję austriacką. Naród polski w swojej olbrzymiej całości, nie wyłączając zatem Królestwa Kongresowego i „Krajów Zabrzanych“, z każdym ruchem zbrojnym w Europie wiązał możliwość odzyskania ojczyzny, nie brakło więc nigdy ochotników do wzięcia udziału w walce. Nic przeto dziwnego, że ruch wolnościowy, który ogarnął Galicję, odbił się szerokim echem na najbliższym Wołyniu. Oczekiwano chwili wybuchu zbrojnego powstania za Zbruczem, ażeby je orężnie poprzeć. Komunikowano się z sobą często, organizowano się, gromadzono broń. Jednym z takich zbrojnych

punktów był dom Zielińskiego, krewnego Sierakowskiego. W czasie jednego z najtłumniejszych zebrań nadeszła wiadomość, że Galicja powstała. Wiadomość ta zelektryzowała zgromadzenie. Postanowiono udać się każdy w swoją okolicę, zebrać tam szlachtę i z bronią w ręku wystąpić. Gdy już decyzja powzięta została, Sierakowski-Sokołowski miał zapytać: czy to jest rzeczywiście prawda, że Galicja ujęła za oręż? Odpowiedziano mu, że prawda. Sierakowski wyraził wątpliwość. Nasuwało się pytanie: kto tam był i kto widział? Odpowiedziano mu ogólnikami: wszyscy wiedzą, wszyscy mówią. Brakło jednak wiarogodnego świadka. Zapał brał górę nad rozwałą. Sierakowski gorąco protestował przeciwko przedwczesnemu porwaniu się za broń. Po dłuższej dyskusji udało się Sierakowskiemu o tyle uspokoić wzburzone umysły, że zdecydowano się, ażeby on sam pojechał i przekonał się, jak rzeczy stoją.

Relacja ta pochodzi z drugiej ręki, od osoby, której nazwisko sprawdzić się nie da, ale posiada wszelkie cechy wiarogodności, zgodne z entuzjastycznym, ale ostrożnym i rozważnym charakterem Sierakowskiego. Nawet wyjazd do granicy furką żydowską, ażeby nikogo na podejrzenie wobec rządu nie narażać, nawet zawistny antagonizm żydowski znajduje tu swoje usprawiedliwienie.

Wobec tego, że od żadnej osoby stojącej bliżej Sierakowskiego i od niego samego nie posiadamy szczegółów, dotyczących tego wypadku, musimy poprzestać na powyższej relacji, która się wydaje najwiarogodniejszą.*)

*) Leonard Sowiński opowiada nieprawdopodobną anegdotę, jakoby Sierakowski na rynku w Krzemieńcu pytał Żydków-furmanów, którzyby z nich zechciał przewieźć go na stronę galicyjską. Żyd doniósł o tem policji, która aresztowała Sierakowskiego.

Taki fakt wydaje się poprostu nazbyt naiwnym.

Tak czy inaczej, wypadek ten nadał inny kierunek dalszemu życiu Sierakowskiego.

Odbywszy wędrówkę do twierdzy kijowskiej, Sierakowski, jako student uniwersytetu petersburskiego, został wysłany do Petersburga i tam oddany w ręce znanych w całej Rosji zbirów carskich: generałów Orłowa i Dubelta, tych samych, którzy badali sprawę Kostomarowa, Kulicza i Szewczenki, ukaranych za utworzenie federacji słowiańskiej pod protektoratem Rosji.

Faktycznych dowodów winy ze strony Sierakowskiego nie było. Ale opryszki carskie, znalazłszy się w posiadaniu tak cennego materiału politycznego, jakim był Sierakowski, przekonawszy się wkrótce, że winy w znaczeniu prawnem po stronie więźnia niema, wciągały go poprostu do szczerości w formie zwykłej towarzyskiej rozmowy. Doświadczeni w rzemiośle szukania win i badania więźniów, korzystali z młodzieńczo szczerej duszy Sierakowskiego i puszczali się na rozmowy polityczne. Sierakowski z łatwością przekonał swoich opiekunów, że gdyby nawet istotnie pragnął emigrować, to dowodów nie posiadają żadnych, tylko podejrzenia. Niepodobna było nie zgodzić się na to. Zmiarkowawszy, że mają do czynienia z młodzieńcem szlachetnym, szczerym i rozumnym, upewniali go pochlebnie, że zasłużył sobie na ich szacunek i pytali go naiwnie: „Powiedz nam pan, dlaczego nie wszyscy młodzi ludzie mają tak umiarkowany, piękny pogląd na rzeczy, jak pan? Jakie według pana sposoby postępowania byłyby najodpowiedniejsze, ażeby zapobiec nierozsądnym myślom wśród młodzieży?” Sierakowski począł tłumaczyć, że „prawdziwą przyczyną wrzenia wśród młodzieży jest brak oświaty, brak prawdy. Nauka i nauczanie skrzępowane, a młodzi ludzie nie mają nigdzie prawie możności zdobycia zdrowych przeko-

nań politycznych. Trzeba przedewszystkiem uwolnić myśl z więzów, a wówczas będzie ona spokojną i pojednawczą“.

Sierakowski odpowiadał szczerze, tak jak myślał, na stawiane mu pytania, a jego instygatorowie, chociaż byli ludźmi niewykształconymi, posiadali dość zdrowego rozumu i doświadczenia; nie mogli nie zrozumieć, że w słowach młodzieńca jest dużo gorzkiej prawdy, ale jednocześnie, że stanowiska carskich dozorców wolnej myśli, były to poglądy szkodliwe. Z taką samą szczerością, z jaką wyrażał się Sierakowski przed nimi, nawet niewątpliwie jeszcze jaśniej mówić z innymi... a zatem w ich przekonaniu był to człowiek szkodliwy. To też jako szkodliwego skazano go do bataljonów linjowych orenburskich.

Obie strony pomyliły się, uniosły się. Instygatorowie, zamiast dzikiego rewolucjonisty ujrzeni przed sobą człowieka-entuzjastę, szlachetnego, zupełnie umiarkowanych przekonañ; Sierakowskiemu, zamiast siepaczków, wydawało się, że widzi ludzi wcale dobrych.

Ostatecznie, jako „podejrzanego o zamiar emigrowania“ zagranicę, skazano Sierakowskiego jako prostego żołnierza do wojska, bez prawa wysługi — o setki mil od ojczyzny i od rodziny. Wyrok, ze względu na sformułowanie, wprost nie do uwierzenia idjotyczny. Autor „Prologu“ słusznie uważa, że gdyby było powiedziane: „po skombinowaniu różnych okoliczności, że wyjazd jego miał na celu emigrowanie“ — możnaby było widzieć w tem ślad winy, a zatem powód do ukarania, ale karać w tak okrutny sposób za „zamiar“ nieudowodniony — to zrozumieć trudno. Z polskich pisarzy jeden tylko Tadeusz Bobrowski, uchodzący za bardzo zrównoważonego i lojalnego bez potrzeby człowieka (prawnik uniwersytetu petersburskiego), napisał, że

Sierakowski „słusznie został zasądzony w żołdacy, bo winien był przestępstwa i to politycznego“.

O tematach rozmowy z Dubeltem i Orłowem daje pojęcie Bron. Zaleski, kolega z wygnania Sierakowskiego. Mówiono o wpływie powstrzymywania oświaty w Rosji, o Polsce. „Pozwólcie orłom latać!“ — wołał aresztowany w uniesieniu. Gdy Sierakowski począł bronić należenia Rusi do Polski, Orłow uniósł się i zawołał: „Jesteście tam garstką przybyszów. Dość jednego słowa cesarza, a lud was wszystkich wyrznie i to nas nic kosztować nie będzie“.

Była to zapowiedź tej socjalnej agitacji, przy pomocy której rząd rosyjski kształcił Rusinów. Rosja naszej doby zbiera teraz bujne owoce swego posiewu.

Rozczulony szczerością Sierakowskiego inkwizytor Dubelt nazywał go „kochanym synem“.

II. W bataljonach za Uralem.

Bobrowski powiada, że ówczesny kurator okręgu naukowego Michał Musin-Puszkina pozwolił zrobić składkę dla Sierakowskiego między kolegami i sam mu ją odwiózł.

Tę tylko ulgę zrobił „kochanemu synowi“ Dubelt, że go odesłał, zamiast piechotą, w kubitce w asystencji żandarma. Tego w czasie długiej podróży Sierakowski tak przywiązał do siebie, że nieświadomy niewolnik i sługa carskiego despotyzmu, rozstając się z nim, płakał.

Dowódca korpusu orenburskiego — opowiada B. Zaleski — generał Obruczew przeznaczył Sierakowskiego do 1-go bataljonu, stojącego w Uralsku, — do kompanji, stanowiącej załogę budującej się wówczas nowej twierdzy na wschodnim brzegu morza Kaspijskiego, na półwyspie Mangiszlak, zwanej Nowo-Pietrowsk.

W Orenburgu panowała cholera, Sierakowski wpadł w zapowietrzone miasto i zachorował, z tego powodu kilka tygodni przesiedział w szpitalu. Wyzdrowiawszy, dopiero w końcu sierpnia 1848 przybył na miejsce przeznaczenia.

Okolice Nowo-Pietrowska była zupełną pustynią. Wierzchni pokład półwyspu, złożony z muszlowca i kredy, żadnej prawie nie dopuszczał wegetacji. Forteczka, zbudowana na wzgórzu, o trzy kilometry oddalona od morza, w pobliżu miała tylko słone jezioro i rozrzucone po stepie kirgiskie cmentarze. Apropozycję dla ludzi i koni sprowadzało się morzem. Dwa razy na miesiąc przybywał z Gurjewa statek, który był jedynym łącznikiem załogi z Europą, ale i ta komunikacja w zimie przerywała się, gdyż brzegi morza zamarzały. Kompanja żołnierzy i sotnia kozaków tworzyły jedyne towarzystwo. Ale i tu czynny umysł Sierakowskiego znalazł dla siebie pole do pracy. Na szczęście jego, znalazło się tam dziecko, 14-letni chłopaczek, pasierb jednego z oficerów, a syn wygnańca z roku 1831, żonatego z Rosjanką. Sierakowski oddał się z zapałem wychowaniu chłopaka.

Oprócz tego kazano mu uczyć żołnierzy tak zwanej „literatury sołdackiej“, która składała się z kilkunastu przepisów, a każdy żołnierz obowiązany był znać je na pamięć. Ponieważ żołnierze byli prawie wszyscy analfabeci, jeden z umiejących czytać odczytywał je głośno, a wszyscy powtarzali, dopóki każdy nie nauczył się tej „literatury“ na pamięć. Wobec przełożonych trzeba ją było wyrecytować głośno i prędko; im prędzej kto recytował, tem większe pochwały zyskiwał. Jeden z artykułów głosił, że ażeby być dobrym żołnierzem, trzeba odrobinę („niemnogo“): kochać cesarza, Boga i ojczyznę. Sierakowski przecinek przestawił i cała kompanja powtarzała szybko, ku wielkiemu zadowo-

leniu wizytującego generała: ażeby być dobrym żołnierzem, trzeba odrobinę kochać cara, Boga i ojczyznę.

Półtora roku spędził Sierakowski w Nowo-Pietrowsku, poczem przeniesiony został do Uralska. Była tu już natura więcej ożywiona, świat bliższy Europy, komunikacja z nią łatwiejsza, a przytem było tam przeszło 20 kolegów wygnania. Dowódcą bataljonu w Uralsku był major Michajłow, gruby, nieociosany służbowy „stupajka“. Na „smotrze“ żołnierzy o smutnej twarzy walił pięścią w policzek i krzyczał: „patrzaj weselej!“ W ten sposób budził w żołnierzach wesole nastroje. Sierakowski i w tem bydlęciu zdołał obudzić szacunek dla siebie. Michajłow nie mógł zrozumieć, za jakie winy Polacy są karani. Zapytywał raz o to Sierakowskiego, który mu odpowiedział, że za „usiłowanie w celu podźwignięcia narodowości“. Było to określenie tak niedostępne dla umysłowości majora, że przez to samo budziło szacunek dla wygnańców.

Z Uralska przeniesiono Sierakowskiego do 2-go bataljonu, stale konsystującego w Orenburgu. Nosił wprawdzie i tutaj szary płaszcz żołnierski, ale spotkał już kilku dawnych znajomych, do których tęskniło serce jego.

Ogólne położenie wygnańców polepszyło się o tyle, że miejsce Obruczewa zajął Aleksander Perowski, człowiek szlachetny i wyższego umysłu, który rozumiał ciężkie położenie Polaków. Tu skupiło się koło Sierakowskiego całe grono wygnańców, a zgromadzenia te nazywano „wielkiem mlekiem“, gdyż zebranych mógł gospodarz tylko mlekiem uraczyć.

Poza służbowemi obowiązkami Sierakowski był pilnym czytelnikiem gazet, a czytaniu temu noce poświęcał. Gdy go zachęcano do odłożenia na jutro, odpowiadał żartobliwie: „a gdy jutro umrę, a Pan Bóg zapyta mnie, co się dzieje

na ziemi, co mu odpowiem?" Wyczytanych wiadomości udzielał kolegom. Niezwykłej rzutkości swojej i niezmordowanej energii używał zawsze na pożytek kolegów. Raz zdarzył się tragiczny wypadek. W Orsku, w jednej z forteczek kraju orenburskiego, komendantem był pułkownik Niedobrowo, który nienawidził Polaków i prześladował jednego z młodych wygnańców, Dobkiewicza. Spotkawszy go, począł o coś strofować i w gniewie zawołał: „podły jesteś, jak i cały twój naród“. Wzburzony Dobkiewicz położył topór na ziemi, a prętem trzymanym w ręku przez twarz uderzył pułkownika, wołając: „mnie można poniewierać, ale waram obrażać mój naród“. Skazany został za to na 6000 pałek. Rzadko kto tysiąc przetrzymywał. Było to więc skazanie słabego i wątpliwego Dobkiewicza na śmierć. Sierakowski zakrzętał się koło tej sprawy, zdołał ująć kompanję przeznaczoną do wykonania wyroku i Dobkiewicz wyszedł z ledwie czerwonymi plamami na plecach. Dumny młodzieniec nie wiedział o tych zabiegach. Gdy go lekarz w przeddzień egzekucji badał i zaopinjował, że kary nie wytrzyma, Dobkiewicz przerwał mu oświadczenie, że zdrow jest, — nie chciał się kłamstwem skalać. Ocalony w ten sposób młodzieniec wrócił później do kraju i rodziny.

W życiu żołnierskiem, przeplatanem pracą umysłową, zeszedł Sierakowskiemu czas aż do roku 1854, w którym został awansowany na podoficera i wysłany do zdobytej niedawno twierdzy kokańskiej Ak-Meczet, położonej o 500 kilometrów na wschód od morza Aralskiego, nad rzeką Syr-Darją. Leżała ona na drodze do Indyj. Przewana Fortem Perowskiego, miała być najmocniejszym punktem na nowej linii. Dla umocnienia go, wysłano inżyniera generała Burncaud, niegdyś kapitana w armji francuskiej. Sierakowski stał się prawą ręką tego ex-napoleońskiego żołnierza.

Znalazłszy się wśród Kirgizów, Sierakowski prędko wyczył się języka tamtejszego i pozyskał sobie zupełne zaufanie ludności miejscowej. Każdy, kto się zetknął z Sierakowskim, Ignął do pięknej duszy młodego Polaka. Jak na Mangiszłaku, tak i tutaj znalazł młodzieńca, syna kupca moskiewskiego, który się do niego przywiązał, a później korespondował.

Gdy po kilkunastu miesiącach Burncaud wrócił do Orenburga, a naczelnikiem linii kokańskiej został generał Fitinghoff, Kokańcy usiłovali odebrać Ak-Meczet. W potyczkach z nimi brał udział i Sierakowski.

Po śmierci Mikołaja, dzięki staraniom generała Burncaud i Perowskiego, Sierakowski został awansowany na oficera.

W tym czasie dużo Polaków tułało się po stepach kirgiskich. Jako żołdaci, skazani za miłość ojczyzny, pokutować musieli na wygnaniu bez jutra, w wyczekiwaniu jedynie amnestji, jako łaski carskiej. Ze starszej generacji pokutował tam dominikanin ksiądz Michał Zielonka, niegdyś prefekt szkół na Litwie, a od roku 1834 zesłany do Orenburga i stąd powszechnie zwany „ojcem prefektem“; z generacji 1848 roku przebywali tam: poeta Żeligowski-Sowa, Bronisław Zaleski, Ludwik Turno (który, wróciwszy do Warszawy, tu życie zakończył około roku 1892), Zieliński i wielu innych, mniej wybitnych. Z licznej kolonji polskiej nikt dotychczas pamiętników nie wydał, z których możnaby było stworzyć obraz ich życia i cierpień. Nieliczni z nich powrócili do kraju, a większość kładła swoje skolatane głowy na dzikich stepach zauralskich lub nadaralskich.

Śród tej gromadki polskich wygnańców znalazł się także znakomity poeta ruski Taras Szewczenko — zesłany do bataljonów linjowych za wszechstroniańskie marzenia na

temat bractwa św. Cyryla i Metodego*). Pamiątki i wspomnienia o nim, zebrane z pietyzmem przez biogratów poety, potrącają wielokrotnie w rozmaity sposób o zesłanych Polaków i o Zygmunta Sierakowskiego.

Szewczenko nie spodziewał się zapewne, że za Uralem znajdzie serdeczne przyjęcie wśród Polaków zesłanych do wojska. Buntowniczy jego kozacki duch, pełen szerokich wzlotów poetyckich, karmiony w. olnością kozacką, bliższym był zawsze polskiemu sercu, niż ludziom wychowanym w carskim despotyzmie. Nieszczęścia dziejowe i intrygi wspólnych wrogów rozdzieliły nas na długo, na zawsze może, ale, gdy się odezwie ze strony polskiej albo ruskiej szczerze, uczciwe słowo pojednania, niechybnie znajdzie właściwy odgłos. To też Szewczenko na swoim wygnaniu nie znalazł się zgoła tak odosobnionym duchowo, jakby się zdawać mogło. Nad stepami kirgiskich koczowników unosił się niewidzialny duch protestu przeciwko gwałtom i despotyzmowi carskiej Rosji, tłumiony przed zemstą, ale płonący ogniem miłości ojczyzny. W takiej atmosferze znalazł się Szewczenko.

Śród Polaków orenburskich nie był on obcym. Znano jego poezję i rozumiano jej ducha bez tego zabarwienia nienawiścią, jakie starali się nadać jego muzie wychowawcy moskiewskiej kultury politycznej. Między poetą ruskim a Polakami nastąpiło zbliżenie duchowe szczerze i serdeczne.

Polacy skupieni w Orenburgu, a między nimi Sierakowski, powitali przybycie Szewczenki składkowym wieczorem, na którym był także Karol Gern (zatrzymujemy piśmienną fonetyczną jego nazwiska), adjutant Obruczewa.

*) Pisałem o tem obszernie w dwutygodniku, wychodzącym w Poznaniu p. t. „Zdrój”, w artykule „Szewczenko i Polacy”.

Dzięki interwencji Polaków, Gern otoczył Szewczenkę swoją opieką.

Blizszych szczegółów stykania się Sierakowskiego z Szewczenką, tak samo jak pobytu poety ruskiego za Uralem, nie znamy. Wiemy tylko z listów Szewczenki do Bronisława Zaleskiego, że nawiązał się między Sierakowskim a Szewczenką stosunek serdeczny i szczerzy. Z listów tych dowiadujemy się, że Szewczenko był w korespondencji z Sierakowskim, listy jednak dotychczas do nas nie doszły. „Dlaczego Zygmunt do mnie nie pisze? — odzywa się Szewczenko w liście do Bronisława Zaleskiego (10 lutego st. st. 1855 r.) — gdzie on i co się z nim dzieje? Napisz bodaj od siebie słów kilka“. „List natchnionego Zygmunta — pisze w innym miejscu (25 września 1855 r.) — z rozkoszą przeczytałem. Nie odpisuję teraz, bo mam nadzieję, że wkrótce się z nim zobaczę w Ak-Meczet.“

Gdy Sierakowski został nareszcie ułaskawiony*), Szewczenko w liście do Bron. Zaleskiego (15 lutego st. st. bez roku, chyba nie z r. 1857, lecz z daty wcześniejszej) powiada: „Ucałuj Zygmunta ode mnie i złóż mu w moim imieniu życzenie najświetniejszej kariery na nowo-obranej drodze“. Odnosi też to zapewne do decyzji Sierakowskiego wybrania sobie na przyszłość kariery wojskowej.

Z tych krótkich wzmianek, jakieśmy przytoczyli, widać serdeczny i szczerością buchający stosunek poety ruskiego do Polaków zesłanych, a osobliwą cześć, jaką otaczał Sierakowskiego. Poeta czuł, że sercem i głosami swoich wygnańców przemawia do niego cała Polska, wszyscy, którzy gorąco pragnęli i pragną naprawienia wspólnych błędów przeszłości, ażeby, zapomniawszy o krzywdach, odbudować

*) Data amnestji nie jest ustalona, brak bowiem dokumentów.

na ruinach nowe życie. Rozumiano swoje czyste dążności, ale nie doceniano tej potęgi złego, jaką polityka i szkoła moskiewska potrafiła rozdmuchać w sercu ludu wiejskiego, a jego inteligencję napoić trucizną nienawiści. W chwili natchnionej wizji politycznej przyszłości swego narodu Szewczenko odezwał się szczerze do Bronisława Zaleskiego:

Podaj-że rękę kozakowi
I serce czyste jemu daj, —
A my imieniem Chrystusowem
Stworzymy znowu dawny raj.

Cała korespondencja z Bronisławem Zaleskim, którą, jak dotychczas, znamy częściowo tylko, świadczy najlepiej, jakie serdeczne zbliżenie istniało między wygnańcami polskimi a poetą ruskim, jakie bywały tematy rozmów i jakie bywały te rozmowy. Sierakowski, tak samo jak niegdyś w Żytomierzu, a potem w Petersburgu, był tą sympatyczną więzią, która wszystkich łączyła w jedno koło braterskie i opromieniała wspólną myślą.

Wychowaniec rosyjskiego systemu szkolnego i sam wychowawca młodzieży kijowskiej, Michał Czałyj (piszący te słowa był jego uczniem i złościwości jego względem Polaków doznał niejednokrotnie) nie rozumiał tego wysokiego nastroju duchowego atmosfery, w której żyli wygnańcy i w której Szewczenko znajdował ukojenie i równowagę. Stosunek przeto Polaków do Szewczenki, a osobliwie do Sierakowskiego, oceniał ze stanowiska policjanta moskiewskiego. Wyszedłszy z najniższej sfery społecznej, jak i Szewczenko, Czałyj pozostał w tej sferze ducha do końca życia. Nauka dała mu wiedzę, ale nie dała mu duszy zdolnej do zrozumienia innych form życia i myśli, niż te, jakie wsiąknęły w niego przez usta stupajków umysłowych, wbijających urzędowe myśli w głowę młodzieży.

Pisze on o Sierakowskim tak:

„Naśladując regułę jezuicką — nie gardzić żadnym środkiem, który do celu prowadzi, Sierakowski, korzystając z dobroduszości i zaufania Szewczenki, zamierzał wspólnie z Padlewskim *) użyć poety ruskiego jako sztandaru narodowego i owładnąć tym sztandarem. Z zaciętego wroga polskiej narodowości ledwie go nie przerobili na narzędzie „polskiej sprawy“.

Do sformułowania takiego sądu dał mu powód list Sierakowskiego do Szewczenki — jedyny, jaki znamy, — pisany w przededniu opuszczenia wygnania. List oczywiście był pisany po rosyjsku, gdyż Szewczenko tylko w tym języku korespondował. Czytamy tam dosłownie:

„Ba!ku! Przyszedeł rok radości i szczęścia; dziś słońce podniosło się do zenitu i szczęście nasze, o ile możliwe w Orenburgu, jest wielkie**). Bronisław (Zaleski) został zupełnie amnestjowany i najpóźniej 1-go czerwca wraca do domu — do naszej ziemi ojczystej. Oczekują jego przybycia i prawdopodobnie pojedą z nim razem lub może nawet wyprzedzą go [brak nazwisk]. Serce, rozum, Bronisław, którego słowo dla mnie święte, wszystko mówi: przedewszystkiem twoja sprawa, Ba!ku. Pan Bóg błogosławił moim zamiarom, On też je wzmocni i wykonać pomoże. Żyliśmy

*) Którym? ojcem, czy synem? Chyba o ojcu mowa, bo syn był jeszcze oficerem w wojsku rosyjskiem.

***) U Czałoga list nosi datę: „Orenburg 1855“. Jest to chyba omyłka, czego tekst listu dowodzi, bo pisany jakby w przededniu opuszczenia Orenburga, a zatem nie w roku 1857, kiedy Sierakowski był już w Petersburgu. Najwcześniej w r. 1856, gdyż znamy list Bron. Zaleskiego do Szewczenki z daty 18 września 1856, coby dowodziło, że Zaleski wyjechał z Orenburga nie razem z Sierakowskim, lecz wcześniej. W liście pisze, że „od sześciu tygodni jest w Raczkowiczach“.

z Tobą na wschodzie i rozumiemy dobrze znaczenie wyrazów: Ałła Ekber! Bóg wielki. W imię Boże jadę do Petersburga i nad brzegi Dniepru. Nie bój się: nie zapomnę. Dniepr przypomni mnie ciębie, Bat'ku. Pułk, do którego jestem przeznaczony, w zimie stacjonuje nad brzegami Dniepru, koło Jekaterynosławia, na ruinach Siczy. Gdy się tylko o tem dowiedział, napisałem postanie — w tym roku jeszcze otrzymasz je. Styl w nim słaby, ale myśl wielka. Myśl nie moja, uczucie — moje. Jest to myśl o potrzebie połączenia się braci z obu stron Dniepru. Bywaj zdrów!

P. S. Jadę pełen nadziei, że los Twój polepszy się. Bóg wielki, a car litościwy. Bat'kul Wielcy ludzie zawsze cierpieli wiele. Jedno z największych jest życie w bezbrzeżnej, dzikiej pustyni. W pustyni mieszkał śpiewak Apokalipsy, w pustyni i Ty teraz mieszkasz, nasz Łabędziu“.

Coby to było za „postanie“? może jaki uniwersał? — nie wiemy. Pamiętać jednak musimy, że w roku 1855 i 1856 były rozruchy w Kijowszczyźnie na tle „zapisywania się w kozaki“, a kozak w pojęciu ludu był synonimem człowieka wolnego, niezależnego. Rozruchy te zatem miały charakter protestu przeciw zależności pańszczyźnianej. Były usiłowania ze strony polskiej, żeby rozszerzyć ten ruch wspólnie przeciwko Rosji. Było to jedno z licznych marzeń naszych o możliwości współdziałania z chłopami ruskimi w imię wskrzeszenia kozaczyzny. Mgliste idee na ten temat plątały się w ówczesnem społeczeństwie polskiem na kresach ukraińnych i długo jeszcze, bo do ostatnich czasów, bałamuciły polską młodzież na Rusi.

Z listu Sierakowskiego wnosić można, że za Uralem w polskiej kolonji i z Szewczenką niezawodnie była mowa o kozaczyźnie i zapewne ten ruch włościański miano za-

miar wyzyskać. Czy domysł nasz ma trochę słuszności, czy Sierakowski i Szewczenko mieli pod tym względem jakie zamiary? Do rozstrzygnięcia w jedną lub drugą stronę tych pytań brak zupełny dowodów. Jeżeli podobny pomysł istniał, to odpowiadał on zupełnie zapalnej głowie Sierakowskiego i jego szlachetnym aspiracjom.

Rychłe uspokojenie „buntu chłopskiego“ szablą i bagnetem moskiewskich siepaków musiało położyć kres kozackim marzeniom. O Szewczence jednak Sierakowski i Zalesski nie zapomnieli, jak zobaczymy.

III. Po powrocie z wygnania.

Blisko w dziesięć lat po przybyciu za Ural i nad morze Aralskie Sierakowski znalazł się znowu w Petersburgu, w innych zupełnie okolicznościach, już jako mąż dojrzały. Autor „Prologu“, który w tym czasie znał już niewątpliwie Sierakowskiego i, jak widać z doskonale narysowanej sylwetki psychologicznej, był z nim w stałych stosunkach, powiada słowami Sierakowskiego, że miał on zamiar poświęcić się matematyce i wogóle pracy naukowej. Z tego możnaby wnosić, że uczęszczał na wydział matematyczno-fizyczny. Jest to wszakże domysł bez dostatecznego poparcia. Z naszych pisarzy żaden nie zanotował, na jakim był wydziale. Dałoby się to sprawdzić jedynie zapomocą spisu studentów uniwersytetu petersburskiego.

W gruncie rzeczy jest to sprawa małej wagi. Odwiedzwszy rodzinę na Wołyniu po powrocie z wygnania, jako oficer piechoty, Sierakowski znalazł się już na innej drodze życia. Nawrót był prawie niemożliwy. Do nowego zawodu wojskowego przyzwyczał się, zżył się z nim, pokochał nawet, sama siła rzeczy nakazywała mu poniekąd trzymać

się wytkniętej przez twardej los ścieżki. Ale dusza Sierakowskiego i życie nie mogło utonąć w codziennej szarzyźnie i pospolitości sołdackiej kariery czasów mikołajowskich. Pospolitość i brutalność tej sfery, połyskująca u góry błyszczącymi mundurami jenerałów, u dołu, wśród prostego żołdactwa, przedstawiała się jako nieskończone pasmo udręczeń ludzi oderwanych od rodziny, przeznaczonych na życie bez rodziny i na żywot beznadziejny aż do chwili niemocy, która ich wyrzucała z szeregów jako materiał niezdatny. Pamiętać należy, że były to czasy pańszczyźniane, kiedy każdy właściciel „dusz“ obowiązany był oddać pewną ilość „w sołdaty“. Z tej katongi pewnego rodzaju rzadko kto wracał do domu, nawet z nadwątlonymi siłami.

Z takim żołnierzem, bezdomnym i nieszczęśliwym, jak i sam, Sierakowski zetknął się, służąc długie lata, poznał jego życie i niedolę, — nic też dziwnego, że pokochał tych rozbitków, a dla ich losu głęboką litość zachował. W czasie tej ciężkiej służby wojskowej może już zrodziła się w nim myśl o potrzebie reform w armji i reform społecznych, któreby życie dla nich zrobiło litościwszem a niewolnych robotników przymusowej pracy uczyniło obywatelami państwa.

W ten sposób decyzja Sierakowskiego pozostania nadal w służbie wojskowej opromienioną byłaby tym szlachetnym celem, jaki w późniejszej jego działalności dostrzegamy. Był to człowiek z umysłem szerokim, przekonaniem wysoce humanitarnym i ambicją szlachetną. Wstąpiwszy raz na drogę wojskową i zdecydowawszy się iść nią dalej, nie uważał zwykłej drogi szablonowego awansu aż do stopnia jenerała za właściwą i najlepszą. Ażeby dobrze robić, trzeba mieć prawo i możliwość robienia; ażeby być słuchanym — trzeba mieć za sobą powagę siły i przekonania. Tego wszystkiego nie można było zdobyć w „armji“. Na-

leżało się wysunąć na czoło. Droga ta wiodła tylko przez akademię wojskową.

Zdaje się, że plan ten sformułował był sobie Sierakowski w ostatnich czasach pobytu swego za Uralem i z gotowym planem przyjechał do Petersburga. Przywiózł listy polecające do rozmaitych wysokich figur, a między innymi do „damy dworu Teniszczewowej“. Starzy mieszkańcy Petersburga i ludzie obznajomieni z biurokratycznym życiem wysokich sfer stolicy wiedzą zapewne, kim była owa „frejlina“. W życiu codziennym Sierakowskiego była ona niczem, a raczej była tylko echem bardzo głośnem, powtarzającym jego zamiary i cele. Po przyjeździe do Petersburga Sierakowski oddał listy polecające swoim przyszłym protektorom, a list do frejliny zlekceważył zupełnie. Zapomniał o nim poprostu. Wypadek z tym listem sam miał opowiadać z naiwnością prawie brutalną. Ów zlekceważony list stał się zczasem nieocenionym dla niego. W osobie frejliny, kobiety już nie pierwszej młodości i uważanej powszechnie za głupią gęś salonową, paplającą bezustanku rzeczy nie zawsze do rzeczy, znalazł panią ogromnie ustosunkowaną i bezbrzeżnie oddaną jego zamiarom i celom.

Ażeby móc łatwiej wstąpić do akademii wojskowej, Sierakowski zmienił mundur oficera piechoty i jako porucznik wstąpił do pułku Arzamaskiego dragonów. Dotarł do podwoi akademii, zdał świetnie egzamin wstępny, a jeszcze świetniej końcowy i wyszedł ze stopniem kapitana sztabu jeneralnego w roku 1859.

Obdarzony niezwykłą mocą jednania sobie ludzi, wymową łatwą, logiką argumentowania silną i mocnem przeświadczeniem o słuszności swoich celów, w krótkim bardzo czasie stał się popularnym w wysokich biurokratycznych sferach stolicy.

Otwierały się przed nim drogi do wielkiej kariery wojskowej. Ale był to umysł zbyt ruchliwy, zbyt szerokie obejmujący horyzonty, aby zasklepić się w jednym kierunku. Jak w okresie swego pobytu w uniwersytecie skupiał młodzież koło siebie i wskazywał jej cele idealniejsze, wnosząc do tej sfery uczucie miłości ojczyzny, tak teraz nawiązał stosunki z garstką młodej generacji, która już po roku 1848 napłynęła do stolicy. Byli to przeważnie młodzi oficerowie: Dąbrowski (późniejszy wódz komunardów paryskich); Padlewski, niezadługo członek rządu narodowego i dowódca powstania w Płockiem; Warawski i inni. Tworzyli oni polskie kółko oficerskie, schodzące się na gawędy i czytanie polskich poetów. Sierakowski rzadko się w tem kółku pokazywał, ale był niejako kierownikiem duchowym narad, odbywających się zwykle w mieszkaniu Warawskiego i Dąbrowskiego. Może, znalazłszy się na drodze do świetnej kariery wojskowej, zbyt często stykaniem się z kolegami nie chciał zwracać na siebie uwagi, ażeby mu to jego planom i zamiarom na przeszkodzie nie stało.

W powieści rosyjskiej „Prolog“, o której wspominaliśmy już parę razy, znajduje się, można powiedzieć, jedyny materiał poza urzędowym, który dotychczas dostępny nie był, oświetlający życie Sierakowskiego od chwili prawie zjawienia się w mundurze oficera dragonów aż do wypadków warszawskich w r. 1861. Może w tym materiale brakować szczegółów faktycznych, może brakować mniej lub więcej istotnej prawdy, ale nastrój psychologiczny Sierakowskiego, jego stosunki i działalność są przedstawione przez człowieka znającego go osobiście i bystrego obserwatora.

Źródło to nie było wyzyskane należycie. Z polskich pamiętnikarzy, piszących o Sierakowskim, wspomniął o nim

tylko S. R. (Rogiński?) w cytowanym już artykule. Tytułu „powieści“, jak nazywa źródło, nie pamiętał, a poznanie się Sierakowskiego z autorem „Prologu“ przytoczył z pamięci. „Odrazu zgadłem — miał pisać — że ten człowiek, choć poprawnie mówiący po rosyjsku, nie jest Rosjaninem. Zapytałem: kto on jest? odpowiedziano mi: to Polak Zygmunt Sierakowski“.

Sprawa zapoznania się miała się zgoła inaczej. Nie autor „Prologu“, lecz jeden ze znajomych „frejliny“ spotkał się z nim w towarzystwie Teniszczewowej na Newskim Prospekcie, przyczem nastąpiła wzajemna prezentacja. Osobę tę, prawdziwą czy zmyśloną, autor ukrył pod nazwiskiem Niwolsin. Sierakowski przedstawił się jako Sokołowski. Nazwisko Niwolsina było mu znane z prac naukowych z dziedziny matematyczno-fizycznej. Stąd rozmowa popłynęła żywszem tempem. W czasie tej krótkiej i przygodnej rozmowy zarysował się łatwy i szczery charakter Sierakowskiego, który niezmiernie ucieszył się nową znajomością. „Dobrzy ludzie powinni zbliżać się z sobą — mówił — to moja reguła“. Nie wdając się w szczegóły, Sierakowski z tem większą radością powitał nieznanego, że jako dawny wojskowy, mający sławę jednego z lepszych oficerów, mógł być wciągnięty „do akcji humanitarnej“. Nie wspomniał, jakiej. — „Ja pana z nią zapoznam. Opowiem panu, z jakiego powodu znalazłem się w Petersburgu. W młodości nie znałem Rosjan i nie lubiłem ich... — Pan nie jest Rosjaninem? A mnie wydał się pan prawdziwym Rosjaninem. — Nie. Jestem Polakiem. Ale prawda, że bardzo dobrze mówię po rosyjsku. Miałem dość czasu, żeby się nauczyć. Dość miałem czasu także, aby poznać i pokochać naród rosyjski. To dobry naród, sprawiedliwy. W młodości marzyłem o karierze naukowej. Ale los pokierował mną inaczej“.

Tak w kilku słowach wyglądało, według autora „Prologu“, przyznanie się Sierakowskiego do narodowości polskiej.

Autor z pewnem ironicznym i złośliwym zacięciem opisał postać Sierakowskiego. W dalszym ciągu jednak opowiadania, w miarę zapoznania się z nim, postać ta olbrzymieje, rośnie, śmieszności, rzucające się w oczy, zacierają się, a występuje natomiast coraz wybitniej entuzjastyczny, szlachetny charakter Sierakowskiego, jego gorące oddanie się sprawie obcego i wrogiego Polakowi narodu i niezmordowana energia, cechująca jego działalność.

„Pod rękę z oficerem od dragonów pędziła osoba przysadkowata, biała, różowa, ubrana z wykwinną elegancją w jasno-różową suknię, w sobolowej szubce, krytej białym ałtąsem, z całym ogrodem różnobarwnych róż, ulokowanych na jasno-szafirowym kapeluszu. Róże i kwiaty na kapeluszu trzęsły się, a poły szubki rozwiewały się od wiatru i szybkiego, zamaszystego kroku, jakim ciągnął tę kobietę za sobą mężczyzna“. Była to właśnie wspomniana już „frelina Teniszczewowa“. „Prowadzący ją mężczyzna miał około lat 30 i wydawał się niskiego wzrostu z powodu szerokości ramion, miał twarz szeroką, pleć blado-żółtą, podobną do żółtej barwy kołnierza jego munduru. W każdym razie najpiękniejszy mundur dragoński mało odpowiadał wspaniałej toalecie damy. A mundur oficera tak wyglądał, że wogóle mało nadawał się do spaceru po Newskim Prospekcie. Płaszcz na nim miał wprawdzie nowy kołnierz, ale był z najgrubszego sukna, tak wytarty, że ledwie nie przeświecał jako szara, zużyta szmata, — układał się na szerokich ramionach oficera, zapadając się w zagłębieniach między łopatkami i wystając pagórkowato na kościach. Z pod płaszcza wyglądał surdut, cerowany przy dziurkach od guzików. Niebardzo to wszystko godziło się z sobo-

łową szubą damy, niebardzo odpowiadało jego szerokiej twarzy, na której malowała się siła i energia, a jednocześnie zmęczenie. Szare jego oczy były głęboko osadzone, a od szerokich nozdrzy, trochę przysadzistego nosa ciągnęły się zmarszczki aż do kątów ust o ciemno-bladej barwie. Blade policzki były głęboko zapadłe i posiadały wydatne szczęki. Według tych szczęk i przysadzistego nosa sądząc, możnaby go uważać było za typ kałmucki, gdyby nie jasna bladeść skóry, niewielkie złociste wąsy i nie wiszące nad szerokiem czołem gęste, jasne brwi“.

Tak według opisu autora „Prologu“ miał wyglądać Sokołowski-Sierakowski. Jeśli opis ubrania mógł być bardzo prawdopodobnym, to cała postać, sądząc z posiadanego portretu, w opisie była albo rozmyślnie przesadzona, albo rozmyślnie skarykaturowana, gdyż przy jasno-złocistych włosach twarz Sierakowskiego odznaczała się regularnością i spokojną energją. Jeśli jednak, pomimo bardzo ubogiego munduru, Sierakowski miał wstęp otwarty do najzamożniejszych, a nieraz do najwpływowszych osób, świadczy to chyba najlepiej, że ceniono w nim nie dobrze uszyty i piękny mundur, lecz piękno jego charakteru, jego rozum, wykształcenie, gorąco uczuć humanitarnych i szlachetny zapach.

Sierakowski, jak się sam wyraził, szukał wszędzie „dobrych ludzi“ i umiał ich znaleźć.

Do Petersburga przyjechał już z planem gotowym. „Pragnę — mówił — zużytkować wszystkie siły swoje dla złagodzenia życia żołdaka rosyjskiego. Szczerze myślałem o tem, z jakiej strony wziąć się do tego, i przekonałem się, że pierwszą zasadniczą reformą powinno być zniesienie kary cielesnej. Dopóki będą w użyciu szpicruty i różgi, dopóty żołnierz nie może odczuwać w sobie godności ludzkiej i obywatelskiej; najwyższe władze wojskowe nie mogą być

obojętne, nierozsądne, nieludzkie, despotyczne, rozrzutne i niemoralne; żołnierze nie mogą być zesłańcami do ciężkich robót; oficerowie — tylko katami. Przedewszystkiem zatem trzeba dążyć do usunięcia tego barbarzyństwa; dopiero wtenczas możliwe będą inne, poważniejsze ulepszenia“.

Tak więc, krwawy los Polaka, nękanego na dalekich stepach zauralskich tęsknotą i niedolą, stał się impulsem do wniesienia do armji rosyjskiej promyka humanitarnej litości, mało znanego napółazjatyckiej społeczności rosyjskiej. Zdawałoby się, że w tym fakcie tkwi głęboka ironja losu: podniesienia na wyższy stopień kultury państwa rosyjskiego przez tych właśnie, których kulturę usiłowała Rosja wszelkimi sposobami obniżyć lub zniszczyć,

Byłaby to zatem reforma ze znaczeniem moralnem tylko, ale rosyjskie społeczeństwo najmniej było usposobione do niej. Jeszcze skorupa tatarskiej kultury była zbyt gruba, eszcze nie rozumiano, w jaki sposób można rządzić państwem bez dzikości, a rygor utrzymać w wojsku bez pomocy knutów. Innego stanowiska jeszcze nie rozumiano.

Sierakowski jednak dla urzeczywistnienia swoich zamiarów szukał zawsze pomocy „dobrych ludzi“. I zawsze prawie ją znalazł. Nawet gdy z początku natknął się na opór, energją, wytrwałością i wymową umiał go pokonać. Ażeby swój zamiar reform w wojsku doprowadzić do skutku, trzeba je było spopularyzować, a do tego oczywiście dziennik i dziennikarz przedstawiały się jako siły niezbędne. W tej sferze i Sierakowski szukał poparcia.

Jeden z wybitniejszych rosyjskich publicystów powiedział bez ogródki: „Co do współdziałania w dobrych zamiarach pana, powiem otwarcie, że nietylko sam pomagać i współdziałać nie będę, ale radziłbym, ażeby i pan dał spokój tej zabawie“.

Zdaje się, że w znacznej części wykształconego społeczeństwa rosyjskiego leżała ta niemoc, która poprostu nie chce walczyć, wierząc w bezcelowość walki. Skrępowana cenzurą myśl ludzka była podobna do niemego człowieka, nieumiejącego ani czytać, ani pisać. Energia rosyjska wyrażała się tylko w jednym kierunku i wtedy stawała się siłą kierowaną i działającą pod obcym naciskiem. „Wszystkie siły życia narodu rosyjskiego były złożone na ofiarę idei podboju, wszystkie były zużyte na służbę tej idei, całe społeczne i polityczne życie było podporządkowane potrzebom tej idei, skrępowane organizacją, nie dopuszczającą żadnych innych kierunków. Od stu pięćdziesięciu lat idea ta była dominującą w życiu narodu rosyjskiego i przyniosła świetne rezultaty. Przyzwyczajono się myśleć, że potęga i sława państwa — to jej następstwa, ale błąd łatwo dawał się usprawiedliwić: była ona następstwem stosowania w rozumowaniu fałszywej logiki zarówno wobec prostego ludu, jak i wykształconej części społeczeństwa rosyjskiego. System, który dławi wszelkie objawy życia narodu, zdawał się mówić: widzisz, dzięki mnie, ty słaby, przez wszystkich wyzyskiwany i pogardzany, stałeś się potężnym, niezwykłym, otoczonym chwałą“.

A czemże był ten system? Tyranja i despotyzm rządu, panowanie knutem, Sybirem, niewolą i ubóstwem ludu nad państwem i narodem. Cenzurą odgradzono go od świata, zamykając okno, przez które wpadało światło, i wmawiano, że jest to najlepsza straż przed zarazą „zgnitego Zachodu“.

W takich warunkach trzeba było niesłychanej odwagi, ażeby podjąć hasło reform i zacząć właśnie od armji, to jest od tej instytucji, która tylko siłą mięśni stworzyła potęgę państwa i zdawała się najlepszym dowodem doskonałości i niewzruszoności panującego systemu.

Walkę z tym systemem rozpoczął Sierakowski. Stała się ona początkiem całego szeregu reform administracyjnych, jurydycznych, społecznych, które następowały jedne po drugich. Zapomniano tylko, a raczej wstydzono się przyznać, że impuls do przebudowy Rosji wyszedł z wielkiego serca Polaka, umęczonego niedolą własnego narodu. Przyszły historyk dalekiej już zapewne od nas Rosji przyzna niewątpliwie ogromne znaczenie rozbudzeniu kolosu Północy do nowego życia i znajdzie dla Sierakowskiego nie słowa potępienia, lecz czci.

Było to wszakże ze strony polityków, a nawet publicystów rosyjskich, samołudzenie się rzekomą potęgą. Była ona naskroś zewnętrzna. Wojna Krymska świadczyła, że tej kolosalnej budowie brak mocnych fundamentów. Sierakowski próbował fundamenty te odnowić. Odnosiło się to nie tylko do reform wojskowych, ale i społecznych. Ruch nadany w tym kierunku już się powstrzymać nie dał. Sierakowski zginął. Zdołano założyć nowe fundamenty, ale założono je na topielisku społecznym, ręką złośliwą i w ten sposób przygotowano ruinę całego gmachu państwowego.

Ale to naszego tematu nie dotyczy.

Sierakowski nie należał zupełnie do typu reformatów-marzycieli i utopistów. Człowiek surowo wyćwiczony losem w życiu codziennym szukał dla urzeczywistnienia tych reform ludzi najlepszych w rosyjskim społeczeństwie, a urzeczywistnić je pragnął nie zapomocą zamachów rewolucji i spisków, lecz drogą legalną ustawodawczą. Pracował dla przyszłości Rosji szczerze, ale nie zapomniał nigdy, że naród jego własny jest podbity i upokorzony, przywiązany przemocą do wielkiego cielska Rosji i zmuszony żyć wspólnem z nią życiem. Zdawało mu się, przynajmniej w pierwszym okresie pobytu w Petersburgu, po powrocie z za Urału, że będzie mógł pogodzić swoje obowiązki Polaka z obo-

wiązkiem pracy dla Rosji. Trudności wywiązały się później z biegiem wypadków warszawskich.

Przekonawszy się raz, że bez wysokiego stanowiska fachowego, jakie daje tylko akademja wojskowa, nic nie zdoła uczynić, wyteżył siły, ażeby tego najbliższego celu dopiąć — i postawił na swoim. Zdaje się, że drogą przez frejlinę Teniszczewową trafił do ministra wojny Milutyna, którego autor „Prologu“ nazwał Ilatoncew. Wymową swoją, zapałem, entuzjazmem dla sprawy reform wojskowych podbił go zupełnie. To go zetknęło ze światem wysokiej biurokracji wojskowej i cywilnej w Petersburgu. Było to już zapewne po świetnem ukończeniu Akademji. Stopień naukowy, zdolności osobiste, wysokie ogólne i fachowe wykształcenie, a szczególnie salony Ilatoncewa, zetknęły go z najwyższemi sferami. Człowiek ubogi, bez znaczenia, nieznany, w ciągu trzech lat stał się jedną z tych ukrytych potęg, którym się przeznaczają wielką przyszłość.

W takich warunkach Sierakowski rozpoczął nowy okres życia.

Jeszcze za Uralem będąc, gdy mu się zrodziła myśl o potrzebie skasowania kary cielesnej w wojsku, począł nad tym tematem pracować. Kupował książki, czytał, dyskutował z kolegami służbowymi, ażeby się przekonać, jak oficerowie zapatrują się na reformy, jak w danym razie mogliby je wykonać. Wszystko, co można było przygotować w Orenburgu, przygotował. Przyjechawszy do Petersburga, przez pięć miesięcy pracował w archiwach wojskowych, uzupełniając materiały, których nie mógł zdobyć w Orenburgu. Akademja sztabu jeneralnego miała mu otworzyć wrota do dalszej kariery.

„Z trudem — pisze S. R. — zestawiał statystykę kar i przestępstw w różnych armjach i dowiódł, że: 1-o. Rosyjski

kodeks wojskowy karny, który za Piotra W. należał do najtańszych, obecnie wszystkie inne srogością przewyższa. 2-o. Ilość przestępstw w armji rosyjskiej, pomimo srogich kar, jest większa, niżeli w innych armjach“.

Były to ostateczne wyniki memorjału, złożonego ministrowi wojny Milutynowi. Odczytany w komisji, specjalnie utworzonej dla zbadania tej sprawy, memorjał spotkał się z ostrą opozycją, mimo to przez większość aprobowany został.

Podjęcie przez Sierakowskiego sprawy tak ważnej, jak reforma wojskowego kodeksu karnego, uczyniła imię jego głośnem i wysunęła go na czoło jako człowieka przyszłości. Prawdopodobnie ta okoliczność, jako też świetne zdolności, ujawnione przez Sierakowskiego, stały się impulsem, że Milutyn w roku 1861 wysłał go do Londynu; gdzie w owym czasie odbywał się kongres statystyczny. Polecono mu przytem, aby zwiedził Paryż, Turyn, Wiedeń i Berlin.

Był to właśnie czas, kiedy społeczeństwo polskie rozpoczęło uporczywą walkę ze zbyt ustępliwą polityką Wielopolskiego. Wychowane na wysoce religijnej, mistycznej i ogarniętej miłością ojczyzny poezji młode pokolenie ówczesne zaczęło myśleć o zbrojnej próbie wybicia się na wolność. Emigracja 1831 roku odegrała pod tym względem rolę bodźca. Sierakowski nie mógł pozostać obojętnym widzem wypadków, na które patrzył zdaleka. Pierwsza wy-cieczka jego do Londynu była pierwszym zetknięciem się z emigracją polską. Nie ulega wątpliwości, że w gorącym, szlachetnym umyśle Sierakowskiego zetknięcie się ze światem uczuć i myśli tak mu dobrze znanym i odczuwanym nie mogło nie pozostawić wrażenia i podniety. Osobliwie emigracja paryska, tchnąca nadzieją, że nowy cesarz francuski Napoleon III urzeczywistni zamiary swego wielkiego przod-

ka, była wojowniczo usposobiona. Nastrój dla Polski był wszędzie przychylny. Może chwila zetknięcia się z tym światem szlachetnego entuzjazmu rzuciła w duszę Sierakowskiego ideę — ojczyzna przedewszystkiem. Wysłaniec urzędowej Rosji, gorący zwolennik reform wojskowych i społecznych, znalazł się na rozdrożu.

Być może, że sprawy społeczne i narodowe własnego narodu poczęły brać górę nad pierwotną myślą zreformowania kodeksu karnego Rosji. Bliższą mu była własna ojczyzna, w której agitowała się sprawa pierwszorzędnego znaczenia dla przyszłości — reforma agrarna, zniszczenie zależności pańszczyźnianej, które wkrótce miało przybrać nazwę — usamowolnienia włościan. Reforma ta miała się odbyć w ramach państwowych Rosji. Rozwiązanie jej takie lub inne miało stanowić o przyszłości Polski. Idealizacja ludu, jego zadań i roli, jako przyszłego budowniczego Polski, stała się zasadniczą ideologją ówczesnego społeczeństwa. Próba wydobycia się na wolność w r. 1830 i 1831 przekonała, że siłami tylko inteligencji — ziemiaństwa, szlachty i mieszczan — cel ten urzeczystnić się nie da, — że trzeba do pracy i współdziałania pociągnąć lud wiejski, jako nową siłę społeczną, a wobec tego kwestja t. zw. włościańska i jej rozwiązanie stawało się pierwszorzędną sprawą, z innych tylko powodów, zarówno Rosji jak i Polski.

Ten взгляд niewątpliwie nasunął Sierakowskiemu myśl agitowania za sprawą usamowolnienia włościan. W karierze jego wojskowej była ona na drugim planie, w sercu jednak i w myśli Polaka zajmowała pierwsze miejsce. Jeżeli uda się rozwiązać sprawę włościańską pomyślnie, to niezawodnie uda się wtedy lud wiejski pociągnąć do powstania, a zatem zyskać nową, potężną siłę. Tak wielkie było złudzenie marzycieli o roli ludu w najbliższej przyszłości.

Jeśli wierzyć autorowi „Prologu“, to Sierakowski brał nader czynny udział w agitacji petersburskiego postępowego społeczeństwa w sprawie usamowolnienia włościan. Ścierały się wówczas z sobą dwie grupy: tak zwani progresiści i partja właścicieli ziemskich, a starcie się dwóch prądów utożsamiało się w zdaniu: uwolnić chłopów z poddaństwa z ziemią, czy bez ziemi? Jedni utrzymywali, że nadanie ziemi uspokoi chłopów, drudzy byli tego zdania, że uwolnienie bez ziemi wywoła jakiś powszechny bunt, jakąś nową „pugaczowszczyznę“. Takie czy inne rozwiązanie wywoła w państwie zamieszanie. Oczekiwano burzy w błocie — mówił obrazowo autor „Prologu“ — ale błoto było spokojne.

Wiemy, w jaki sposób została rozwiązana kwestja włościańska. Ani wezwania Rządu Narodowego, ani przymusowe odebranie ziemi właścicielom ziemskim i obdarowanie nią chłopów (inaczej tej osobliwej reformy nazwać nie można) żadnej „burzy w błocie“ nie wywołało.

Wracając z zagranicy, Sierakowski zatrzymał się w Warszawie. W tym właśnie czasie były minister Suchozanet objął wielkorządztwo w Królestwie. Dowiedziawszy się o przyjeździe Sierakowskiego, zapragnął się z nim widzieć. Sierakowski wymawiał się brakiem munduru galowego. Suchozanet miał odpowiedzieć: mnie nie mundur, ale głowa Sierakowskiego potrzebna. W dalszej drodze do Petersburga zatrzymał się w Wilnie, gdzie poznał rodzinę Dalewskich i przyszlą swoją żonę.

Milutyn wysłał go natychmiast do Francji dla zbadania organizacji bataljonów karnych.

Stosunki polityczne w Kongresówce zaostrzały się coraz bardziej. Z własnej inicjatywy, czy też pod wpływem nacisku sfery patriotycznego społeczeństwa, w r. 1862 Sierakowski złożył Milutynowi memorjał, dotyczący poniekąd

rozwiązania sprawy polskiej. „Dla historii stosunków polsko-rosyjskich — pisze S. R. — jest to z wielu względów dokument pierwszorzędnej wagi. Ułożony był przez człowieka dobrze znającego stosunki rosyjskie, zarówno ludzi jak i opinie sfer decydujących. Ułożony zaś był w myśli pojednawczej i politycznej. Dokumentu tego sądzić z dzisiejszego politycznego stanowiska nie można. Dużo w nim poglądów historycznych, których nauka dzisiejsza nie potwierdzi. Dużo optymizmu również, który stanowi największą wogóle wadę literatury memorjałowej. Ale bije z niego przekonanie, do dziś dnia u wszystkich spokojnych a szlachetnych ludzi obu narodów żywotne, że sprawa polska da się rozwiązać z korzyścią obu narodów na drodze spokoju i sprawiedliwości“.

Wszyscy nasi politycy do czasu Wielkiej wojny na sprawę polską patrzyli z trzech punktów bardzo różnorodnej wagi. W Kongresówce często zapominano o Poznańskiem, wogóle o Wielkopolsce, w Galicji zbyt często utożsamiano rozwiązanie sprawy polskiej z interesem Austro-Węgier. Stąd też całość interesów polskich schodziła do hasła, do sztandaru. Każdy z trzech odłamów Polski rozpoczyna walkę na własną rękę — i przegrywa ją. Publicystyka stała na stanowisku historycznej Polski, ale w praktyce, w rzeczywistości idea odbudowy całego państwa polskiego nie miała w polityce europejskiej trwałego oparcia. Napoleonowi III i Austrii chodziło więcej o szachowanie Rosji, niż o odbudowę Polski, a Prusy i tego stanowiska nie uznawały. Tak więc samą siłą rzeczy to, coby można w przededniu roku 1863 nazwać kwestją polską, dotyczyło głównie Kongresówki, a poniekąd Krajów Zabrzanych — Wołynia, Podola i Kijowszczyzny, zwanej powszechnie Ukrainą. Wielopolski ze swego programu usuwał nawet Kraje Zabrane, zadowolając się Królestwem Kongresowem i jego autonomją w formach, jakie ukute

zostały w czasie Świętego Przymierza. Może to był z jego strony nawet krok polityczny, bo dążył do wzmocnienia bodaj części dawnej Polski, robiąc z niej niejako zarodek nieznannej przyszłości; ale nastrój narodowy i pragnienia wyprzedzały jego politykę, rozszerzały jej ramy do granic i praw roku 1795. W ten sposób między rządem tymczasowym w Królestwie, reprezentowanym przez Wielopolskiego, a większością narodu powstał i pogłębiał się przedział, który musiał do konfliktu doprowadzić. Nie rozumiano się wzajemnie: Wielopolski, według powszechnego mniemania, żądał zbyt mało, opinia publiczna — zbyt wiele.

Nie znamy memoriału Sierakowskiego w całości i w oryginale, nie wiemy przeto, o ile to, co znamy, odpowiada rzeczywistości. Z przekładu jednak wnioskować możemy, że program jego Polski zamykał się jedynie w granicach Rosji. Jaki los byłby przy rozwiązaniu sprawy polskiej udziałem t. zw. Galicji i Wielkopolski, memoriał Sierakowskiego milczy; ale wbrew polityce Wielopolskiego, zajmuje się losem tak zwanego przez Rosję Kraju Zachodniego, t. j. Litwy i Rusi w granicach ostatniego rozbioru Polski.

Memoriał, o którym mowa, pod tytułem „Kwestja polska“ (Polskij wopros) tak rozpoczyna Sierakowski: „Gdyby do Rosji należało tylko tak zwane Królestwo Kongresowe, kwestja polska byłaby łatwą do rozwiązania. Po wojnach Napoleona Królestwo Polskie zabrane zostało siłą oręża i przyznane Rosji mocą traktatu Wiedeńskiego jako nagroda za pomoc przy obaleniu Napoleona I. Należy przeto do Rosji: 1-o prawem silniejszego i 2-o na podstawie umowy. Wskutek nowej wojny, na podstawie nowej umowy, Królestwo Polskie może być oddzielone od Cesarstwa. Jest to kwestja czasu i kombinacyj politycznych, nie przedstawiających żadnych powikłań“.

Głębsze wniknięcie w tę sprawę nasuwa wiele trudności do rozwikłania. Królestwo Kongresowe tworzyło historycznie tylko część terytorjum Rzeczypospolitej, a dwie inne części składowe, Litwa i Ruś, uzupełniały całość państwa polskiego. Tu tkwił węzeł gordyjski: Litwa i Ruś należały do Polski z mocy umowy dobrowolnej około trzech wieków, a mocą umowy innej, w Wiedniu (1815), przyznane Rosji wraz z milczącym uznaniem gwałtów zaborczych. Stąd płynęły pretensje Rosji. Były one oparte prosto na bezprawiu, nie mogły zatem ze stanowiska politycznego anulować, przekreślać praw. Trzymanie cudzej własności w garści nie jest jeszcze prawem.

Sierakowski usiłował rozwiązać ten węzeł.

Opierając się na federacji Jagiełłowej, pragnął utrzymać obie te prowincje przy Polsce — w granicach zapewne traktatu Andruszowskiego z r. 1667, — a cały obszar ziem polskich, będących w posiadaniu Rosji, miał nadać pozostawać pod wspólnem berłem carów. Powracał więc do dawnych a nieudałych prób związania obu sąsiednich państw, Rosji i Polski, wspólną dynastją. Prawo tego nowego organizmu polskiego (bez Galicji, Wielkopolski i Pomorza, o których przemilczał dyskretnie) do Litwy i Rusi popierał słusznie tem, że tam, pomimo mniejszości narodowej polskiej, panowała niepodzielnie kultura polska.

Pomijamy mniej lub więcej słuszne dowody i uzasadnienia historyczne autora, dotyczące przyczyn, które wywołały oderwanie się od Polski prowincyj litewskich i ruskich. Kultura polska i język na Białorusi i Rusi dziś jeszcze są dostępnejsze ludowi, niż rosyjskie.

„W Polsce — pisze autor memorjału — pierwszym warunkiem wszelkiej akcji było zabezpieczenie praw osobistych i dobrowolny współdział w sprawach, mających na

celu osiągnięcie zamiarów społecznych. W Rosji pierwiastek państwowy pochłaniał wszystko i dusił wszystko“. Polska miała zatem wysubtelnione prawa samodzielnosci, objawiające się w formie autonomij wojewódzkich — prowincjonalna w ścisłym znaczeniu nie istniała, — w Rosji natomiast pierwiastek państwowy ujawniał się w centralizacji, co jej dawało siłę i spójność. Połączenie tych dwóch zasad, dwóch pierwiastków państwowych, mogłoby być podstawą, według Sierakowskiego, do związku dwóch państw — Rosji i Polski.

Trzeba przyznać, że podstawa ta była o wiele szerszą, niż plan Wielopolskiego, zamykający się w Królestwie Kongresowem i kręcący się tylko koło traktatu Wiedeńskiego.

Jako fundament przyszłego wspólnego życia Sierakowski uważał równouprawnienie. Co do Królestwa Kongresowego, nie nastęrczały się tu żadne trudności. Co do prowincyj t. zw. Zabraných, czyli ściślej mówiąc Białorusi i Rusi, Sierakowski proponował jako wzór Szwajcarję. Przede wszystkim zastrzegął prawo swobodnego używania języka litewskiego, białoruskiego lub ruskiego na wszelkich zjazdach i zgromadzeniach. Urzędnicy sądowi obowiązani znać język ludowy, a przewód odbywa się w języku znanym stronom. Niższe szkoły w języku ludowym, średnie według większości narodowej. W wyższych zakładach naukowych, np. w uniwersytecie w Kijowie, wykłady mogą odbywać się w języku rosyjskim, polskim lub ruskim; egzamina kwalifikacyjne mają odbywać się w języku wybranym przez ucznia. Wogóle Sierakowski nie dopuszczał żadnego przymusu religijnego i językowego.

Sierakowski uwzględniał wewnętrzną formę rządu szwajcarskiego, ale nie brał zupełnie w rachubę różnic kulturalnych i dojrzałości politycznej materiału, jakim rząd wspólny

Rosji i Polski miał operować na Litwie i Rusi, — a jest to materiał bardzo niespokojny, w pragnieniach i dążeniach nieraz wygórowanych, niejasnych i mało realnych.

Rządowi centralnemu pozostawiał memoriał tylko sprawy zagraniczne, finanse, wojsko i flotę. W rządzie mają zasiadać reprezentanci krajów.

Streściliśmy w najogólniejszych zarysach memoriał Sierakowskiego, ale i to wystarcza, ażeby ocenić światło jego umysłu, prawość jego charakteru i wysokie moralne poczucie sprawiedliwości.

Gdyby stosunek obu państw według pomysłu Sierakowskiego dał się ułożyć, stałoby się to może zaczątkiem federacji słowiańskiej. Na drodze do tej federacji stała, stoi i stać będzie polityka zaborcza Rosji.

Jakkolwiek Sierakowski przyznawał się, że znał naród rosyjski dobrze, nie zdawał sobie dość jasno sprawy z ducha polityki zaborczej państwa i z charakteru jego władzy despotycznej, która każde ustępstwo prawne skłonna była uważać za uszczuplenie własnych praw, czy też przywilejów. Życie nie tylko całej Polski, ale nawet Królestwa Kongresowego, we wspólności państwowej z Rosją byłoby bezustannem targaniem się, nieustannem nieporozumieniem o zasadnicze podstawy państwowe dwóch odrębnych cywilizacji, dwóch kultur, dwóch systemów politycznych, w których oba państwa wychowały się: konstytucyjnego Polski i despotycznego Rosji. Pod tym względem lepiej ocenił sytuację Wielopolski, żądając dla Królestwa Kongresowego nie wspólności, lecz odrębności praw i życia kulturalnego. Stanowisko Sierakowskiego było raczej marzycielskiem, niż politycznem — w stosunku do Rosji.

Co do kraju Zachodniego, to jest Litwy i Rusi, Sierakowski uważał za niewłaściwe odrywać te prowincje od

całości historycznej Polski, ale w tej kwestji tkwił prawdziwy węzeł Gordjasza. „Kraj Zachodni — utrzymywał — stanowi pewnego rodzaju spójnię pomiędzy Moskwą a Warszawą. W tym kraju stykają się dwie cywilizacje, dwie narodowości. W obecnej chwili przedstawia on główną przeszkodę do rozwiązania kwestji polskiej. Moskwa i Warszawa, a przynajmniej wiele osób z Rosji i Polski, patrzą na ten kraj z pewnego rodzaju niewiarą i podejrzeniem. Nam się jednak zdaje, że gdyby zasada równouprawnienia i swobodnego rozwoju każdej narodowości była przyjęta i zastosowana do sprawy połączenia (z Polską, czy z Rosją?), wtedy Kraj Zachodni byłby służył za spójnię naturalną pomiędzy Moskwą a Warszawą, czyli pomiędzy Wielkorusją a Polską“.

„Kijów i Wilno mogą służyć jako łącznik daleko lepszy i szlachetniejszy pomiędzy Moskwą a Warszawą, niż obecne fortece i cytadele. Sądzę, że się samo przez się rozumie, iż tu wyrazów Wilno i Kijów dosłownie brać nie należy. Przez Wilno rozumiemy tę część Kraju Zachodniego, która jest związana z Polską, a przez wyraz Kijów tę część, która ciąży ku Rosji. Zważywszy, że obie te części kraju związane są z sobą węzłami ekonomicznymi bardzo ściśle, pomimo różnic w dążnościach politycznych, gdyby więc miały przytem każda z nich osobno zapewnioną możność rozwoju samoistnego, to sądzimy, że służyłby mogły za najlepszy łącznik pomiędzy Rosją a Polską“.

W praktyce — powiada S. R. — pragnąłby Sierakowski zasady szwajcarskiej federacji w sprawach narodowościowych. Jest więc w jego projektach uwzględnienie przez urzędy i szkoły wszystkich języków, jakimi mówi ludność miejscowa, a następstwem tego miałyby być na uniwersytecie kijowskim katedry rosyjskie, polskie i mańruskie.

Oto w krótkości plan Sierakowskiego rozwiązania kwestji polskiej w granicach państwa rosyjskiego.

Ze stanowiska narodowego byłyby to w kwestji ruskiej i polskiej postępy względnie do zabranych krajów wielki; pod względem politycznym jednak memoriał nabierał charakteru marzycielskiego, bo brał za podstawę przyszłych stosunków ideę federacji bez uwzględnienia nader niskiego stanu kultury politycznej, społecznej i państwowej Rusinów i Białorusinów. W projekcie tym błąkały się pomysły Kostomarowa o federacji — pod patronatem Rosji.

Co do Litwy, autor zajął stanowisko jasne — jest ona częścią Polski i jako taka traktowana być musi.

Milutin miał powiedzieć, że warto się nad tym planem zastanowić. Memoriał nie poszedł drogą urzędową i nigdy nie był wzięty pod obrady. Należy go przeto uważać jako osobistą opinię Sierakowskiego, złożoną pisemnie ministrowi wojny, jako życzliwie dla niego usposobionemu człowiekowi. W takim też charakterze powędrował do archiwum państwowego. Ani usiłowania Wielopolskiego, ani prywatna inicjatywa Sierakowskiego nie były w stanie zmienić biegu wypadków i losu narodu polskiego. Przeznaczenie wypisało na jej ziemi czerwonymi literami swój wyrok: krew.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, memoriał Sierakowskiego był złożony ku końcowi 1862 roku, po powrocie jego z zagranicy, i był może ostatnią próbą wybadania nastroju wyższych sfer urzędowych wobec zbliżającego się wybuchu; ale i to być może, że powstał jako następstwo zbadania stosunków i nastrojów zagranicznych względem Polski. Przekonawszy się, że zbyt wygórowane żądania partji rewolucyjnej, ujęte w aforyzm: „wszystko albo nic“, nie mają, jako skrajne, widoków powodzenia u wielkich państw Europy, ułożył swój memoriał w duchu pojed-

nawczym. Była to ostatnia próba z jego strony pogodzenia obowiązku uczciwego żołnierza obcego państwa z obowiązkiem obywatela własnego narodu.

Walery Przyborowski powiada, że Sierakowski w czasie swojej podróży zagranicę „jako dawny rewolucjonista“, zetknął się ze sferami rewolucyjnymi Europy i sfery te zapewne zdycydowały o porzuceniu przez niego „świetnej kariery“, którą wkrótce miał zamienić na złośliwy wyrok kata Litwy — Murawjewa. Nie wydaje się ten domysł słusznym, jeśli zwazymy motywy, które Sierakowskiego popchnęły do wzięcia udziału w powstaniu. Rewolucjoniści na Zachodzie mieli przeważnie na celu zmianę rządu i jego systemu, gdy Polska walczyła zawsze o odbudowę państwa utraconego, każdy więc rząd był dla niej zaborczym, wrogim i złym. Niewątpliwie Sierakowski stykał się z rewolucjonistami, ale chodziło mu nie o przewrót państwowy, nie o jakiś zamach ze sztyletem lub bombą w rękę, lecz o poparcie moralne, jakie dać mogli na wypadek powstania narodu polskiego i zasięgnięcia ich opinji. I to dodać potrzeba, że zetknięcie się, o którym mamy tylko bardzo ogólnikowe wiadomości, niezbyt pewne, miało cechę zupełnie osobistą. Urzędowa rola Sierakowskiego nie pozwalała na inną.

Tak więc w Londynie zetknął się z Hercenem, w Paryżu z Ledru-Rollinem i Mierosławskim, we Włoszech z Mazzinim i Garibaldim. Mówiono, że Garibaldi odwiedził na Caprerze. Giller dowiedział się nawet, o czem rozmawiano. Garibaldi zachwycał się jakoby zdolnościami Sierakowskiego, co mogło być prawdą, i przyznawał się, że wielką armją dowodzić nie umie, co również mogło być prawdą. Mniej natomiast prawdopodobnem wydaje się, ażeby zachęcał Sierakowskiego do pozostania przy jego boku, zapewne w roli szefa sztabu. Wodzowi niewypróbowanemu na woj-

nie i nieznanemu, może chyba tylko z dalekiej opinii, takiego stanowiska nikt nie oddaje.

Prawdopodobniejszem wydaje się zeznanie Sierakowskiego na śledztwie, że się zetknął z Napoleonem III. Jako specjalny wysłaniec rządu rosyjskiego, miał tę drogę otwartą. Gdy zdał Napoleonowi III sprawę ze swoich robót, cesarz miał być tak zadowolonym, że wyraził życzenie, ażeby Sierakowski ułożył, według zastosowanego schematu dla wojska rosyjskiego, także i dla wojska francuskiego taki sam plan reform. Wtedy to odbył także Sierakowski podróż i do Algieru, prawdopodobnie w tym celu, chociaż rząd rosyjski powierzył mu jako cel podróży zbadanie ustroju i organizacji bataljonów karnych.

W podróży swojej zagranicę Sierakowski zatrzymał się w Wilnie. Tu miał grono kolegów i najbliższych przyjaciół jeszcze z czasu pobytu w uniwersytecie w Petersburgu, a także ciągnęły go niewątpliwie i sprawy sercowe. W Wilnie przebywała z rodziną Apolonja Dalewska, siostra współwynańca Sierakowskiego za Uralem.

Po powrocie z pierwszej wycieczki zagranicę, przyjęty nader życzliwie przez ministra wojny, otrzymał już w lecie 1862 roku polecenie udania się powtórnie w celach specjalnie wojskowych. Tym razem nietylko nie ominął Wilna, ale zatrzymał się w celach matrymonjalnych. W tym czasie zetknął się z Józefatem Ohryzką. Gieysztor, co do udziału Sierakowskiego i udziału jego w powstaniu najbardziej wiarogodny, powiada, że wtedy właśnie odbywał się „zjazd“ w Wilnie. Nie pisze wprawdzie, coby to był za zjazd, ale z całości opowiadania wnosić można, że odbywały się wtedy narady późniejszego Wydziału Litwy, których treść nie była zapewne obcą Sierakowskiemu. Zbliżał się ślub — pisze autor „Pamiętników“ — z Apolonją Dalew-

ską, siostrą Dalewskich. Ślub ten odbył się w Kiejdanach, bo tam mieszkali Berkmanowie i cała rodzina tam przybyła. Ze strony Zygmunta był tylko Jakób Gieysztor i Staniewicz Jan. W starożytnej farze odbył się ten obrządek, przy nielicznej gromadce bliskich osób. Gdy orszak weselny wrócił i nie brakło życzeń, Gieysztor z ciężkim sercem stał na uboczu. Sierakowski, swoim zwyczajem, kładąc ręce na ramieniu, powiedział: A cóż, Kubo, ty mnie nic nie życzysz? Gieysztor wzruszony zwrócił mowę do obojga, życząc, by znaleźli w sobie nawzajem pociechę i siłę do walki z życiem.

W parę dni potem Zygmuntostwo przyjechali do Kowna i zatrzymali się w domu Gieyszтора, gdzie gościnnie podejmowani byli. „Z Zygmuntem — pisze autor „Pamiętników“ — dysputowaliśmy długo. On wierzył w życzliwość dla nas pewnych partyj w Rosji, w możliwość powstania z ich pomocą. Ja nie podzielałem tej wiary, zresztą zgadzałem się działać z nimi wspólnie, byle Rosjanie pierwsi zaczęli. Zygmunt miał mnie za niewyleczonego z uprzedzeń“.

Ze strony Sierakowskiego był to optymizm, charakteryzujący jego szlachetne serce i wiarę, ale oparty jedynie na osobistych sentymentach. Próba rosyjskiej niby rewolucji w r. 1825 powinna była przekonać go, że u Rosjan można liczyć na rzuty indywidualne, posunięte do najdalszych granic, ale nigdy na ruchy zbiorowe, zorganizowane planowo. Powstanie, a raczej idea powstania już wisiała w powietrzu. Niezwykle podniesienie ducha, nadzwyczajna jednolitość nastroju antirosyjskiego w całym narodzie, wypadki warszawskie roku 1861 i w następnym roku były zbyt widoczną wskazówką, że do orężnego starcia dojść musi. Rząd rosyjski zdawał sobie z tego sprawę i swoim zwyczajem półśrodkami próbował zażegnać burzę. Sierakow-

ski przed pierwszym wyjazdem zagranicę nie był zwolennikiem zbrojnego ruchu. W tym okresie, już jako kapitan generalnego sztabu i można powiedzieć zbliżony do osoby Milutyna, ministra wojny, częsty gość w jego salonach, musiał być niejednokrotnie świadkiem i uczestnikiem rozmowy na temat kwestji polskiej i możliwości powstania. Sierakowski najkategoryczniej zaprzeczał temu. „Utrzymywał — pisze Przyborowski — że ostatecznie kiedyś, w dalekiej bardzo przyszłości powstanie to niewątpliwie wybuchnie, ale dużo wody upłynie, nim do tego przyjdzie, a przez ten czas Bóg wie jakie zmiany w świecie zajść mogą i jak się rzeczy ułożą. Jednakże nie ukrywał tego i z uśmiechem szyderczym (z portretu nie można go dostrzec!), który zawsze na jego ustach błąkał się, napół serjo, a napół żartem twierdził, że jeżeli powstanie wybuchnie, to on rzuci wszystko i udział w niem weźmie. Milutyn słowa te przyjmował jako żart“.

Mogło to mieć miejsce chyba przed pierwszym wyjazdem Sierakowskiego zagranicę. Zetknięcie się ze światem rewolucyjnym Zachodu, a przede wszystkim z optymistycznie nastrojoną emigracją paryską, musiało wywołać pewne zasadnicze ewolucje w poglądach Sierakowskiego. Wysoce prawdomówny i uczciwy a szczery zawsze Jakób Gieysztor powiada, że Sierakowski w połowie lipca 1862 roku, gdy po ślubie bawił w jego domu, pochwalał czynność (zapewne nietylko organizacji litewskiej), ale uważał, że się idzie za powoli. Gieysztor zaś był przekonania, że „i tak za prędko“.

„Trzeba robić swoje, lecz jak najpowolniej — pisze pamiętnikarz — coraz więcej pociągać osób, szerszą dawać podstawę, a nie cieszyć się, choćby najzacniejszą, lecz drobną jeszcze częścią społeczeństwa i nadzieją, że ona zapałem swoim inne warstwy za sobą pociągnie“.

Miał głęboką słuszość trzeźwy umysł Gieysztor: większość narodu, lud, który był na ustach wszystkich jako siła przyszłości, drzemał jeszcze, a na dnie tej drzemki spoczywały pierwiastki raczej anarchji społecznej niż twardego obowiązku obywatelskiego.

W czasie pobytu w Wilnie Sierakowski zetknął się z komendantem Wilna generałem Wiatkinem, który tak był zachwycony pomysłami reform — a Sierakowski był wymownym i śmiałym ich rzecznikiem — że proprio motu, nie rozróżniając teorji od rozkazu, zniósł kary cielesne w więzieniach wileńskich. Wiatkin otrzymał naganę urzędową, ale „przy tej sposobności — dodaje S. R. — przekonano się, że więzienia mogą istnieć bez pałek i knuta“.

W czasie powtórnego pobytu Sierakowskiego zagranicą, osobliwie w Paryżu, stosunki jego z kołami rewolucyjnymi (Napoleon III był bardzo na punkcie „rewolucji“ drażliwy) zwróciły uwagę policji francuskiej, bardzo pod tym względem czujnej, bo i tron Napoleona III stał na wulkanie. Zawiadomiono przeto władze petersburskie o stosunkach, które wydawały się podejrzane. Milutyn, dowiedziawszy się z doniesień policyjnych o zachowaniu się Sierakowskiego, napisał list do Piotra Wittgensteina, który był wówczas attaché wojskowym przy ambasadzie paryskiej, z poleceniem, aby miał oko na Sierakowskiego i gdyby uważał, że zachowanie się jego jest istotnie podejrzane, aby starał się go skłonić do powrotu. Na szczęście Wittgenstein, urodzony z Radziwiłłówny, przychylnie był usposobiony dla Polaków. Pokazał tedy Sierakowskiemu list Milutyna i do większej ostrożności zachęcił.

Sierakowski uczuł się dotkniętym tą nieufnością i byłby może do Petersburga nie wrócił (robi słuszną uwagę Przyborowski, znający metody postępowania rządu rosyj-

skiego), gdyby nie wiadomość o chorobie żony, którą z zagranicy do domu wyprawił.

Zdecydował się tedy wrócić i wracał na Warszawę. Tu oczywiście zetknął się z rojowiskiem rewolucyjnym. A było to już pod koniec roku 1862. Podobno wtedy był przekonany, że powstania nie będzie. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby mu przedstawiono, co byłoby rzeczą zupełnie prawdopodobną, nie stan nastroju, ale stan faktyczny rzeczy: brak amunicji i broni, jako też brak wszelkiego poważnego poparcia dyplomatycznego — o innej interwencji i mowy być nie mogło — państw zachodnich. W tym samym prawie czasie wezwany na narady Zygmunt Miłkowski, jako człowiek wojskowy, także wypowiedział się przeciwko powstaniu.

Z polecenia ministra wojny, zapewne według instrukcji, wydanej przed wyjazdem zagranicę w lipcu 1862 roku, zatrzymując się w Wilnie, Sierakowski zwiedził twierdze wileńskiego okręgu wojskowego, jak Brześć Litewski, Bobrujsk i Dynaburg. Poznawszy dokładnie ich plany i położenie, miał na tem oprzeć przyszłą swoją akcję. Wogóle Nazimow, jako generał-gubernator, miał przyjmować Sierakowskiego nader uprzejmie w swoim domu i na obiady go zapraszać. Nicby w tem nie było dziwnego, jeżeli zważymy, że Sierakowski jechał z instrukcją ministra wojny i był specjalnym wysłańcem rządu. Nie można było przeto nie być uprzejmym wobec Sierakowskiego. Inny biograf Nazimowa twierdzi, że generał-gubernator nie miał do Sierakowskiego ufności, jako do Polaka, ale uprzejmość była niezbędną dla osoby wysokiego stanowiska i urzędowej.

W domu Nazimowa, tak samo jak u Milutyna, kwestja polska i bieżące wypadki były na porządku dziennym. Grając w bilard z generał-gubernatorem, w czasie rozmowy Sie-

rakowski miał się wyrazić: „Chcąc kraj uspokoić, trzeba z gruntu wyrwać element polski“. Był to niewątpliwie pogląd znacznej części owoczesnego społeczeństwa rosyjskiego i sfer wojskowych. Nic dziwnego, że w dyskusji mógł Sierakowski powtórzyć w formie warunkowej ten znany bardzo dobrze aforyzm biurokracji rosyjskiej, nadając mu cechę ironicznej uwagi. Człowiek przy zdrowych zmysłach, znający jako tako życie Sierakowskiego, a w piętnaście lat po powstaniu nie było ono już dla nikogo tajemnicą, nie mógł przecie przypuścić, ażeby słowa podobne na serjo mogły wyjść jako przekonanie lub obłuda z ust Sierakowskiego.

W parę tygodni później nastąpił jednak najmniej oczekiwany wybuch.

IV. Udział w powstaniu i śmierć.

Zbliżała się do rozwiązania zagadka trzyletniego prawie napięcia uczuć i nerwów narodu polskiego. W bardzo gorącym nastroju społeczeństwa wracał Sierakowski do Petersburga, ale wracał z tem przeświadczeniem, że powstania nie będzie.

Powstanie wybuchło wszakże, prawie przypadkowo, w sposób prawie nieoczekiwany. Już się krew lała. Już w tym krótkim czasie, dwóch miesięcy nieomal, powstała i upadła dyktatura Langiewicza, a Sierakowski stał na uboczu. Co ważniejsza, na Litwie, najbliższej mu sercem i terenem akcji, już się toczyła nierówna walka, a Sierakowski milczał, jakby zajmował stanowisko wyczekujące. Czy ochłonał może po paryskich rewolucyjnych wstrząśnieniach? Czy nastąpił jakiś nieoczekiwany zwrot w jego przekonaniach obywatelskich? Milczenie Sierakowskiego mogło dawać wiele do myślenia.

Tymczasem warszawski Rząd Narodowy, złożony prawie zawsze z ludzi najskrajniejszych przekonań i bardzo mało obeznanych z całością stosunków na wielkim obszarze Polski, będącym pod panowaniem Rosji, skutkiem nieobmyślanych, niedojrzałych a jaskrawych czynów, popełniał szeregi nieostrożnych błędów, które zamieszanie wywoływały i utrudniały akcję organizacyjną. Między innymi nadał Wydziałowi Litwy rozkaz podania się do dymisji wszystkich urzędników Polaków. Zapomniano o tem, że ci urzędnicy byli jednocześnie tajemnymi urzędnikami organizacji polskich, a nieraz członkami Wydziału Litwy. Nie dość tego, że, pozostając na swoim stanowisku, oddawać mogli sprawie polskiej wielkie usługi i zastępować tajemne organizacje, ale usunięcie się ich masowe zwróciłoby uwagę na ten fakt, a dymisjonowanych urzędników otoczonyby szpiegami. W ten sposób narażałoby się byt i osoby najpoważniejszych i najpotrzebniejszych ludzi bez żadnej korzyści dla sprawy polskiej. Wydział Litwy nadaremnie prosił Rząd o cofnięcie tego rozkazu. Odpowiedziano, że cofnięty być nie może. W ten sposób wprowadzono rozdźwięk i niezadowolenie do organizacji litewskiej, budząc nieufność do Rządu, posiadającego tak mało przezorności i doświadczenia.

Wytworzyła się nawet pewnego rodzaju agitacja przeciw tajemnym rządóm, domagająca się jawności, a tem samem większej odpowiedzialności moralnej przed opinią publiczną. Jeden z członków Wydziału Litwy, Fr. Dalewski radził pojechać do Warszawy i poznać skład Rządu. Sprzeciwił się temu Jakób Gieysztor. „Pojechać — mówił — i gdyby można było wyrzucić przez okno ludzi, nie znających potrzeb kraju, a innych postawić — to dobrze; gdy zaś zrobić tego niepodobna, lepiej niech będzie tajemnicą dla nas ten Rząd, niż odkryć może wcale nie zasługujące na zaufanie osobistości“.

Miał słuszną rację rozumny Litwin. Znaczna część tego nierządnego rządu znalazła się później na brukach Krakowa i Lwowa i dużo wody upłynęło, zanim fałszywą aureolę, jaką się otaczali ci panowie, oświetlić można było światłem prawdy historycznej.

Zbliżała się nareszcie chwila stanowcza. W marcu 1863 ukonstytuował się Wydział Litwy, na czele którego stanęli Jakób Gieysztor, Aleks. Oskierka i inni. Za pośrednictwem Przybylskiego porozumiewał się on z Warszawą. Powstanie zataczać zaczęło szersze kręgi. Myślano o wciągnięciu do walki Rusi i o tem, ażeby litewskiemu powstaniu nadać większy impuls. Oczy wszystkich zwrócone były na Sierakowskiego. Siedział on w Petersburgu i jakby czekał dalszego rozwoju wypadków.

Wydział Litwy postanowił wreszcie wezwać Sierakowskiego do czynnej akcji w powstaniu. Z wezwaniem tem w marcu pojechał do Petersburga Aleksander Oskierka. Według opowiadań żony Sierakowskiego, gdy ten ujrzał Oskierkę, zrozumiał, o co idzie, i powiedział, „że mu śmierć przynosi“. Sierakowski nie wahał się ani chwili i później mówił Gieysztorowi (któremu absolutnie wierzyć można): „z waszej strony nieprzyjęcie udziału w powstaniu byłoby dowodem braku patriotyzmu, z mojej — niczemnością“. „Wiedział on — dodaje Gieysztor — niewczesność wybuchu, wiedział, że idzie na pewną zgubę, lecz ani chwili nie wahał się“.

Wezwanie Sierakowskiego stało się bez wiedzy Rządu Narodowego i uprzedziło poniekąd wypadki. Bo gdy, jak się zdaje, na początku kwietnia przyjechał, z ramienia Rządu Nar., hr. Józef Zamoyski z rozkazem do Wydziału Litwy łączenia się z powstaniem, z niemałym zdziwieniem dowiedział się, że to już się stało.

Przyborowski powiada, że Sierakowski w połowie marca przybył do Wilna, byłoby to zatem już po wzięciu dymisji. Dobrze co do Zygmunta poinformowany Gieysztor głucho ten termin przenosi na „Wielki Tydzień“, dodając jednocześnie, że przyjechał razem z żoną i miał paszport zagranicę. Nie wyjechał jednak, jak wiemy. Ta okoliczność stawia w niewyraźnem oświetleniu jego dymisję i stosunek do ministra wojny. Struś powiada, że Sierakowski, wnosząc podanie o dymisję, poprzedził je prywatnym listem, w którym pisał, że dopóki mógł, służył rządowi uczciwie, na głos jednak ojczyzny, wołającej o pomoc, głuchym pozostać nie może, nie może więc dłużej pozostać w szeregach armji rosyjskiej, musi dzielić los powstańców. Z wszelkiem prawdopodobieństwem list taki mógł Sierakowski napisać — był on w duchu jego psychologii. Ale jeżeli po tym liście Milutyn wydał istotnie paszport zagraniczny Sierakowskiemu, to byłoby to czyn z jego strony rzadkiej szlachetności.

Po wysłuchaniu sprawozdania Wydziału Wileńskiego o stanie prowincji, Sierakowski przedstawił projekt działania. Plan ten — według Gieysztor — był następujący. Ponieważ w gub. Kowieńskiej usposobienie ludu było najlepsze (a dziś!), Sierakowski miał się tam udać, zorganizować w każdym powiecie osobne powstanie, na granicy pruskiej odebrać broń, na którą Wydział pieniądze już był wysłał, potem, zostawiając w każdym powiecie małe oddziały, na czele 5000 najmniej wkroczyć do gub. Wileńskiej, aby zkończyć i tu na większą skalę rozwinąć powstanie. Stosownie do tego planu, miano w innych województwach podtrzymywać powstanie, dopóki Sierakowskiemu nie uda się skuć większego oddziału.

Tak w głównych zarysach wyglądał plan powstania na Litwie.

W prywatnych rozmowach Sierakowskiego z członkami Wydziału często poruszana była sprawa Rządu Nar. Sierakowski wypowiadał się za rządem jawnym, dającym więcej gwarancji narodowi, wiedząc o tem, „jak nietrafne były rządy warszawskie“.

Przyborowski rozwija szczegółowo plan akcji na Litwie. Obejmować on miał trzy różne i oddalone od siebie punkty działania, w skrajnych dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej leżące, t. j. w Inflantach, w Kurlandji i Mohilewszczyźnie, i odpowiadał w zupełności żądaniu ministrów francuskich — rozszerzenia terytorjum walki. Co do Inflant, Sierakowski proponował, ażeby zająć podstępnie twierdzę Dynaburg, co oczywiście wywarłoby potężne wrażenie w całej Europie i świadczyłoby o wielkich siłach powstania w tych kresowych prowincjach. Uważał on, że zajęcie twierdzy nie było wcale rzeczą trudną. Opierał się na osobistej znajomości tej twierdzy, którą niedawno zwiedzał, i na jej bardzo lichym stanie. Załogę jej stanowił jeden bataljon rekrutów. Sierakowski proponował uderzyć na nią nie z zewnątrz, lecz z wewnątrz. W tym celu, pod pretekstem budowy kościoła, miano wprowadzić do fortecy powstańców, przebranych za robotników, którzy wspólnie z więźniami, znajdującymi się w t. zw. „rotach aresztanckich“, będącymi już w porozumieniu jakoby z Sierakowskim od czasu zwiedzania przez niego twierdzy, mieli napaść niespodziewanie na załogę, rozbroić ją i zaraz zająć się umocnieniem twierdzy. Zdobyć twierdzy miało się dokonać za pośrednictwem organizacji inflanckiej i oddziałów powstańczych, czynnych już na Żmudzi. Sierakowski miał te działania poprzeć.

Gdyby plan zajęcia Dynaburga udał się — do tej próby nie doszło wcale, — powstanie na Żmudzi zyskałoby punkt oparcia, a Sierakowski z większemi siłami, jakie miał

zgrupować, chciał zbliżyć się ku morzu i osadzić się w Połudzie, by w ten sposób umożliwić wyładowanie ludzi i broni. Uzbrojony oddział powstańców i trochę broni wioził właśnie z Anglii Łapiński.

W myśl potrzeby rozszerzenia powstania, zamierzano wywołać je także w Mohilewszczyźnie. Na czele miał stanąć rosyjski oficer Zwierzdowski, z oddziałem powstańców uderzyć na instytut rolniczy w Horyhorkach, połączyć się z młodzieżą, następnie z powstaniem chłopów w gub. Kałuskiej, gdzie jakoby włościanie z powodu ukazu o usamowolnieniu byli bardzo niezadowoleni.

Jeżeli wykluczmy z tego planu najprawdopodobniejszy do urzeczywistnienia, który wszakże nie udał się, połączenia się Sierakowskiego z Łapińskim w Połudzie, to zarówno zamiary wywołania ruchu zbrojnego w gub. Kazańskiej przez Kieniewicza, jak i nadzieje co do ruchu włościańskiego w gub. Kałuskiej były fantazjami Sierakowskiego, opartymi nie na faktach stwierdzonych nastrojów, lecz na pogłoskach, jakimi posługiwały się partje i koła postępowe w Petersburgu, w których obracał się Sierakowski. Łudzili się one lekkomyślnie. Złudzenia te udzielały się Sierakowskiemu, który w naturze swej, w charakterze i temperamentie posiadał obok trzeźwości sądu ogromną zdolność do samołudzenia się na tematy społeczne i polityczne. Urojenia i pragnienia własne brał za rzeczywistość i wierzył w nie jak w rzeczywistość.

Nie będziemy tu dotykać ani sprawy kazańskiej, ani horyhoreckiej, bo wychodzą one za obręb naszego szkicu monograficznego.

Nie przyszedł do skutku oczywiście plan zdobycia Dynaburga, gdyż prędzej on powstał w głowie Sierakowskiego, niż się zjawiła realna podstawa do jego urzeczywistnie-

nia. Plan był oparty na budowie kościoła, a tymczasem rząd pozwolenia na budowę nie udzielił, — plan zatem okazał się zbudowanym na piasku.

Planów tego rodzaju, obliczanych zarówno na zdobycie Dynaburga, jak i na łatwe a zawsze możliwe zawichrzenia na tle społeczno-ekonomicznem w Rosji, które dałyby się wyzyskać w celu osłabienia wewnętrznej budowy państwa, nie można oceniać skalą planu i taktyki regularnej wojny. Takiej wojny Polska w roku 1863 prowadzić nie mogła. Stąd nieraz zjawiały się pomysły fantazyjne, a niekiedy, jak u Mierosławskiego, dziwaczne (samokosy); w planach zaś Sierakowskiego było dużo fantazji, rewolucyjnego ryzyka, niedokładnej znajomości stosunków społecznych w Rosji i psychologii duszy rosyjskiej, ale nie było pomysłów nielogicznych. Były to raczej śmiałe próby zużytkowania na rzecz powstania najróżnorodniejszych warunków.

Już powstanie tu i ówdzie było wybuchło na Litwie, gdy Sierakowski zdecydował się wziąć czynny udział. Na początku kwietnia wraz z żoną wyruszył do Kowna i w mieszkaniu Jakóba Gieysztorza zatrzymał się, stamtąd do Poszumienia, majątności Wieliczki, skąd początkowo z kilkunastu tylko towarzyszami wyruszył w pole. Stałym jego towarzyszem był zacny dr. Trzaskowski. Od Wieliczki wyjechał wprost do miasteczka Szat, gdzie dotychczasowy wojewoda żmudzki Dłuski-Jabłonowski zdał mu swą władzę. Sierakowski, przybrawszy za pseudonim herb swój Dołęga, zwołał radę wojenną, na której przedstawił plan akcji militarnej.

Był to wtedy człowiek 36-letni z twarzą zwiędłą i bladą, z włosiem rzadkim niezdecydowanej barwy. Mimo pozornie kordjalnego obejścia i płynnej wymowy, mimo że do każdego przemawiał z litewską: „serce, bracie“, nie budził

on sympatji. Małe, szare, nieładne oczy, zawsze, gdy mówił, spuszczał, a zgryźliwy, szyderczy uśmiech na ustach, nie pociągał ku sobie. — Tak go charakteryzował Sulima na podstawie wrażeń rosyjskich pisarzy, pełnych zawiści i złośliwości zawodowej. Z naszego opowiadania łatwo czytelnik wysnuć może, jak małą dozą psychologii odznaczał się ten sąd. W samej rzeczy był to człowiek nieposzlakowanej szczerości i śmiałości przekonań.

Sucha ta i bardzo powierzchowna charakterystyka Sierakowskiego nie odpowiada rzeczywistości nawet pod względem zewnętrznego opisu, bo, o ile z portretu wnosić wolno, rysy twarzy miał piękne i czoło myślące, a ci, którzy przez czas dłuższy stykali się z nim bliżej i dłużej, piszą wprost z zachwytem. Był to mąż zacny — pisze o Sierakowskim J. Gieysztor, który znał go chyba najlepiej, — znany nie tylko w Rosji lecz i zagranicą (A. Giller, lubujący się w superlatywach, mówi „w całej Polsce“ — co prawdą nie było), jako młody, zdolny wojskowy, szedł na pewną śmierć, ale z głęboką wiarą. Kochał on lud nie słowy tylko, lecz całą duszą, nigdy nie dzielił go na stany, nie cierpiał demagogji. Biegły wojskowy, nie lękał się, że kijem i kosą zdobędzie armaty, lecz uszanował broń narodową — kosę, a ludu wiejskiego, garnącego się do niego, nie odpędzał. Sierakowski otaczał się uroczystością przy ogłaszaniu wolności ludu, a gdzie on przeszedł, tam imię jego zostało drogiem ludowi. Matki i starcy przyprowadzali do niego swe dzieci, a on z całą serdecznością wszystkich przyjmował. Siwobrodego starca - starowiera, który mu syna przyprowadził do obozu, prosił o błogosławieństwo, a całe jego postępowanie tak było szczere, że pozyskiwało ogólnie serca. W obozie dla żołnierzy był łagodny i wyrozumiały, przez szpary patrzył na drobne przewinienia. Zaprawdę było to

anielskie serce, a przytem wiedział on dobrze, że młodzież, która się do niego garnęła, było to czoło narodu. A młodzież ta szła na śmierć pewną. Umiała być swawolną, ale nie była dziką, jak żołdak moskiewski. Był wobec niej pobłażliwym, ale nie lekkomyślnym.

Wspomnieliśmy już o tem, że zamiarem Sierakowskiego było zbliżyć się do Poługi, ażeby powstanie umocnić na Żmudzi i posunąć ku Kurlandji. W Połudze miał wylądować Łapiński. W Angliji zebrano dla niego — pisze Przyborowski — 150 awanturników najrozmaitszej narodowości, kilkunastu oficerów, 1000 karabinów, 700 pałaszy kawalerskich, 200 lanc, sto tysięcy ładunków karabinowych, 50 centnarów prochu i dwa miliony kapiszonów. Do przewiezienia tej amunicji wynajęto statek parowy „Ward Jackson“ z kapitanem Weatherley. Przewiezienia tej ekspedycji (sądząc z doświadczeń poprzednich — podejrzanej ilości i jakości) podjął się Łapiński, znany na Kaukazie z walk z Moskalami jako Tefik-bej. Uchodził on za zwykłego kondotjera, nieposiadającego żadnych przekonań politycznych. Był to człowiek próżny i pyszny, samochwał, zarozumialec, a w czasie wyprawy okazał dużo nieudolności. Sam sobie zapewne, jak wielu emigrantów osiadłych w Galicji, nadał tytuł pułkownika, i z tym tytułem figurował na broszurze własnej, opisującej wyprawę na Litwę. Na pokładzie „Jacksona“ znalazł się także i szpieg moskiewski, żyd, *comme de raison*, z Warszawy Tugendhold, który się nazwał Polesem i został podniesiony przez Łapińskiego do godności osobistego sekretarza wodza tej wyprawy. Oczywiście, rząd rosyjski wiedział o każdym ruchu powstańców. Piękny duumwirat pułkownika ze szpiegiem powiększył kapitan okrętu Weatherley, który, jak się okazało, był handlarzem niewolników i zwykłym tchórzem. Poles-Tugendhold był

nie tylko szpiegiem, ale i zwykłym złodziejem, który skradł brylanty bar. Hamilton, aktorki duńskiej.

Szczytem zaś lekkomyślności było powierzenie wykonania tak doniosłego zadania ludziom tak niesłuchanie mało posiadającym zaufania. Dzięki składowi kierowników wyprawy, o każdym jej kroku wiedziano w Berlinie i Petersburgu. Prusacy i Moskale umocnili swoje wybrzeża, ażeby nie dopuścić do wylądowania Łapińskiego. Ale kapitanowi Weatherley nie zależało zupełnie na pośpiechu, przeciwnie, na zaniechaniu wyprawy i wycofaniu się z niebezpiecznej awantury. Oświadczył przeto Łapińskiemu, że woda na statku zepsuła się, musi zaopatrzyć się w inną. Po rozmaitych przeprowadkach i groźnych wiadomościach o krążących okrętach rosyjskich, postanowiono wylądować na wyspie Öland. Kapitan wraz z majtkami wycofał się z imprezy niebezpiecznej, Łapiński wynajął zagłowiec „Emilie“ i na nim miał zamiar dotrzeć do brzegów Żmudzi. Po rozmaitych próbach i planach Łapińskiego statek lądować nigdzie nie zdołał i musiał powrócić do wyspy Gotland, gdzie ładunek złożył, a Łapiński wraz ze swoimi ochotnikami znalazł się znowu w Londynie.

Nie jest naszym zamiarem opisywanie długiej i awanturycznej wyprawy Łapińskiego; musieliśmy wspomnieć o niej pokrótce dlatego jedynie, że na udaniu się jej opierał Sierakowski plan dalszej akcji powstańczej na Litwie.

Wróćmy tedy do Sierakowskiego.

Gdy w obozie pod Szatami odbywała się narada wojenna, wyprawę Łapińskiego już wówczas można było uważać za chybioną — chociaż jeszcze w rachubę wchodziła. W dalszym planie Sierakowskiego leżało wywołanie powstania w Kurlandji. Myślał on, że w tym celu należało skupić wszystkie siły już czynne na Litwie, a więc połączyć od-

działy Kołyszki, księdza Mackiewicza i Maleckiego w jeden wielki oddział i objąć nad nim naczelne dowództwo. Polecił zatem dowódcom oddziałów zebrać się w lasach w pobliżu Kiejdan, sam zaś udał się do Łanczanowa w towarzystwie sześciu ludzi, w tej liczbie dwóch oficerów rosyjskich, Antoniewicza i Ignacego Laskowskiego (12 kwietnia). W kilka dni potem, d. 18 kwietnia, nadciągnął Bolesław Kołyszko z oddziałem 200 ludzi, niegdyś uczni szkoły wojskowej w Cuneo. Tegoż dnia w nocy stawił się ksiądz Mackiewicz z oddziałem 70 ludzi. Miał nadejść także Kuszłejko, ale ten rozpuścił był swój oddział na święta wielkanocne, nie mógł go zatem zebrać tak rychło.

Do tej gromadki dołączyło się jeszcze trochę ochotników, tak że oddział, na czele którego stanął Sierakowski, mógł liczyć najwyżej 360 ludzi.

Dwóch uczestników tej wyprawy, Laskarys i W. Koszczyca, poświęciło jej pióra swoje, na nich tedy przeważnie opierać się będziemy, posiłkując się luźnymi uwagami innych, o ile na wiarogodność lub na oświetlenie faktów zasługiwały. Dodać wszakże na wstępie musimy, że opowiadania Koszczyca (Wołodźki) są albo powtórzeniem znanych faktów, albo pełnem błędów deformowaniem ich. Służą tylko jako materiał kontrolowy.

Jaki w tym oddziale był stosunek strzelców, t. j. ludzi posiadających broń palną, do kosynierów, niepodobna określić; to tylko pewna, że oddział składał się z trzech gatunków broni: posiadał 20 kawalerzystów, strzelców i kosynierów. Na czele kawalerji stanął oficer rosyjskiej artylerji Łabanowski, kosynierami dowodził Paweł Wiwulski, adiutantem wodza był Jarosław hr. Kossakowski, szefem sztabu Ignacy Laskowski, kapelanem ksiądz Dominik Peża, syn chłopca żmudzkiego, a stąd mający poważanie wśród chłopów,

doktorem i kasjerem powszechnie szanowany Ignacy Trzaskowski.

Po połączeniu się z Kołyszką i ks. Mackiewiczem i jakim takim zorganizowaniu się 19 kwietnia, oddział, po odbytej spowiedzi, złożył przysięgę na wierną służbę ojczyźnie; Sierakowski przemówił do żołnierzy słowami pełnemi zapału, poczem ruszono wielkim gościńcem do miasteczka Wodokt.

Pojawienie się zbrojnego oddziału jawnie na wielkiej drodze, w dzień, gdy dotychczas małe oddziały powstańcze odbywały marsze zwykle w nocy, a tułały się po lasach, wywołało duże wrażenie wśród ludności. Było to dowodem niejako siły powstania. We wsiach, przez które przechodzili powstańcy, odczytywano zgromadzonym włościanom rozporządzenia rządu, Sierakowski przemawiał z właściwym mu zapałem, często duchowieństwo katolickie występowało procesjonalnie wśród śpiewu „Te Deum“, a nawet kahał żydowski w Wodoktach witał powstańców chlebem i solą jawnie, a zdradą, jak zwykle, potajemnie. Trudno orzekać, o ile ten entuzjazm był sztuczny lub prawdziwy, lecz to nie ulega wątpliwości, że posiadał on ogromne strony dodatnie: dawał złudzenie zapału, podnosił siłę moralną żołnierza i na otoczenie działał porywająco. Jeśli na pochód Sierakowskiego patrzeć tylko ze stanowiska moralnego i narodowego, to Sierakowski miał słuszość, kiedy w przeddzień śmierci mówił do pilnujących go oficerów rosyjskich, że marsz jego był „pochodem triumfalnym“.

Oddział kierował się ku lasom rogowskim i rozłożył się obozem koło wsi Ginetynie.

Po pierwszej utarczce pod Ginetyniami, skąd Sierakowski wysłał z raportem do Wydziału Litewskiego Swolkienia, dowiedziano się — pisze Gieysztor — że Sierakowski przez

powiat wilkomierski śpieszy ku Birżańszczyźnie. Tak Sierakowskiemu, jak i innym dowódcom Wydział nigdy nie udzielał szczegółowych instrukcyj co do ich obrotów wojennych. Nie pochodziło to z braku wojskowego z wyższem wykształceniem, ale że sam rozum dyktuje, iż dowódcom partyzanckim trzeba zostawić wszelką swobodę działania. Sierakowski więc nie z rozkazu Wydziału, lecz z własnego przekonania, chcąc z dość licznem wojskiem wpłynąć na usposobienie niebardzo przychylnie ludu w tamtych stronach, tu skierował swoje siły.

Przyborowski, widząc marsz Sierakowskiego oddalający się na wschód od zamierzonej swojej podstawy, od morza, skąd spodziewał się posiłków w ludziach i amunicji, robi zatem niesłuszny zarzut, że — „już od początku kampanji dowiódł małych zdolności wojskowych, braku przezorności i umiejętności orjentowania się w położeniu“. Być bardzo może, że mało ufając w przybycie transportu z Anglii (w tym czasie już całą ekspedycję można było uważać za chybioną), Sierakowski dążył forsownie do zwiększenia swego oddziału, wiedząc, że się z przeważającemi siłami moskiewskimi wkrótce zetknąć musi. W puszczy rogowskiej miał niezawodnie zamiar wypocząć i oddział trochę wyćwiczyć.

Rosjanie jednak już wiedzieli o ruszeniu się oddziału Sierakowskiego i 22 kwietnia wysłano z Wilkomierza kompanję piechoty pułku newskiego i szwadron ułanów pod wodzą kapitana Kawera w kierunku Rogowa. Sierakowski, dowiedziawszy się o tym ruchu Rosjan, postanowił zrobić zasadzkę koło wsi Ginetynie. Na błotnistym klinie, przecinającym drogę, którą mieli przechodzić Moskale, ustawił strzelców z Kołyszka na czele, a sam z księdzem Mackiewiczem stanął na przodzie kosynierów, ażeby w ten sposób z dwóch stron zaatakować Moskali — z przodu i z tyłu.

Kawer nie spodziewał się zasadzki i podobno nie miał zamiaru bić się. Już był wieczór. Zdązał tylko na nocleg. Ledwie nieprzyjaciel wszedł na groblę, a powitany ogniem, cofać się począł, wpadł na kosynierów ks. Mackiewicza. Jakkolwiek Rosjanie zdołali przebić się z bagnetem w rękę, stracili jednak cały tabor i kilkudziesięciu zabitych — jedni mówią 40, drudzy 80. Potyczka ta zupełnie inaczej wygląda w urzędowym oświeceniu rosyjskiem. Komendant okręgu wileńskiego, generał Lichaczow donosił, że zadano powstańcom wielką klęskę i że zmuszeni zostali do ucieczki. Na polu bitwy paść miało 120 powstańców, a Rosjanie mieli tylko 6 zabitych i 7 rannych. I to za wiele, bo zwykle figurował — jeden kozak. Urzędowy raport twierdził, że powstańców było 2000.

Była to szczęśliwa potyczka, jak setki innych w powstaniu, bez żadnego znaczenia militarnego; ale niesłusznie z powodu jej ironizuje Przyborowski, bo wzmocniła ona ufność we własne siły, lud wiejski przekonała o możliwości zwyciężania Moskali i natchnęła dobrą otuchą obojętnych lub słabych.

Po potyczce ginetyńskiej Sierakowski nie opuścił jednak puszczy rogowskiej i stanął obozem pod Jasną Górką, gdzie przepędził dzień, a w nocy z dnia 23 na 24 kwietnia ruszył na północ ku puszczy karpiońskiej, zatrzymawszy się pod wsią Korsakiszkami. Tu już zastał oddziałek Lutkiewicza, a w parę dni potem nadciągnęła partja Stanisława Kozakowskiego z powiatu wilkomierskiego. W ten sposób urzeczywistniała się myśl utworzenia wielkiego oddziału. Miało to niewątpliwie dobre strony, bo można było skuteczniej opierać się naciskowi Moskali, którzy także prowadzili partyzantkę, ale regularnem wojskiem. W razie rozbitcia jednak takiej partji, zważywszy, że była ona w owym cza-

sie jedyną niemal siłą militarną, całe powstanie litewskie otrzymywało cios śmiertelny. Tak się też stało.

Kawer cofnął się po porażce do Poniewieża. Tu stał dywizjon ułanów petersburskich pod komendą majora Chitrowo i nieco piechoty. Połączywszy się, ruszyli śladem Sierakowskiego i pod Korsakiszkami d. 24 przyszło do zwawej utarczki, po której obie strony cofnęły się bez stanowczego rezultatu. Uczestnicy oddziału Sierakowskiego podają daty potyczki na 22 i 23 kwietnia. Przyjmujemy datę urzędową w tem przekonaniu, że w obozie nie bardzo może wiadano o prawdziwej dacie. Nie było czasu na taką ścisłość.

Sierakowski podążył dalej. W nocy opuścił las karpiewski, zatrzymał się w Worejkach, skąd odchyliwszy się na południowy wschód, podążył ku lasom andronickim, dokąd poszedł także i oczekiwał już przybycia Sierakowskiego Dominik Malecki, oficer rosyjski, ze swoją niewielką partją. Przyborowski w odchylaniu się od morza widzi niekonsekwencję naczelnego wodza, a pochód ku lasom andronickim usprawiedliwia poniekąd połączenie się z Maleckim w myśl swego planu — utworzenia innego oddziału.

Z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić można, że Sierakowski wiedział o przeszkodach, na jakie trafił Łapiński, i nie miał wielkiej nadziei co do wylądowania amunicji i ochotników, tem bardziej gdy już nie było tajemnicą, że dostęp do morza jest obsadzony przez wojsko moskiewskie. Wobec tego nasuwała się konieczność zwiększania obszaru powstańczego — i zwiększania oddziału.

Połączenie się Sierakowskiego z Maleckim nastąpiło w zaścianku zwanym Teresbor czyli Knebia o parę mil od miasteczka Onikszty. Do tego punktu dość dobrze wybranego pod względem militarnym poczęły ściągać oddziały

i ochotnicy, tak że w krótkim czasie oddział powiększył się do 2500 ludzi. Kilku dniowy wypoczynek w Teresborze użyty został na zorganizowanie oddziału. Podzielono go na dziewięć bataljonów, mniej więcej po 300 ludzi w każdym. Uzbrojenie oddziału było bardzo niedostateczne: mała część powstańców posiadała strzelby, przeważnie myśliwskie, reszta uzbrojona była w kosy. Pierwszy i drugi bataljon były pod komendą Żarskiego i Rogowicza, oficera rosyjskiego, i tworzyły partję Kołyszki, trzecim dowodził ks. Mackiewicz, czwartym Antoniewicz, piątym nie wiadomo kto, szóstym Kozakowski, siódmym Malecki, ósmym Gasparowicz, dziewiątym Staniszewski, niegdyś oficer gwardji rosyjskiej. W bataljonach tych było dużo chłopów żmudzkich. Oprócz bataljonu dziewiątego, posiadającego broń palną, reszta dźwigała kosy, które tak Sierakowski jak i przed nim Kniaziewicz uważali za straszną i potężną broń, wypróbowaną niejednokrotnie.

Na obszernej równinie teresborskiej w ciągu kilku dni odbywały się ćwiczenia.

Kosynierzy, przeważnie chłopci żmudzcy, nierozumiejący po polsku, ubrani w szare siermięgi, czarne czapki i skórzane pasy, mieli wygląd umundurowanego wojska i ćwiczenia wojskowe odbywali chętnie pod komendą Wiwulskiego, który naukę prowadził w języku litewskim. Nieliczną jazdą, bo złożoną tylko z dwudziestu kilku koni, dowodził stary Łabanowski wraz z Bilewiczem i Olszewskim. Sztab zatrzymał dawną organizację, do której przybył Jan Kupść jako adjutant szefa sztabu.

Folwarczek w Teresborze, wraz ze wszystkimi budynkami, zajęty został przez powstańców na koszary, a dworek przeobraził się w fabrykę ładunków. W śpichlerzu zakwaterował się sztab. Codziennie rano i wieczór odbywa-

ły się uroczyste modlitwy. Żołnierze, uszykowani w czworobok, klęczeli nabożnie, a piękna wiosenna pogoda nadawała wiele uroku i poezji tym jedynym jaśniejszym chwilom powstania litewskiego. Sam Sierakowski, w batorówce z zielonym wierzchem, w kapocie brązowej, w rosyjskich spodniach wojskowych, swemi mowami pełnemi podniosłego zapału, swą wiarą w powodzenie, świetnym obrazem szczęśliwości prawie nieziemskiej w przyszłej wolnej Polsce, jaki rysował przed oczyma słuchaczy, porywał niewątpliwie te smętne dusze litewskie i czcią i miłością ku sobie je napawał. Zwoływano chłopów z okolicy, a on odczytywał im manifest Rządu Narodowego o uwłaszczeniu, tłumaczył znaczenie ich obecnego położenia.

W oddziale nie było żadnych kar. Przeciwnik kary cielesnej, wierzył, że siłą moralną i łagodnością więcej zdziałać można. Nieraz z ojcowską łagodnością sądził i godził powaśnionych, z cierpliwością wysłuchiwał skarg i chodził po obozie z duszą i okiem w mglistą dał patrzącem, otoczony gronem chłopów, księży i szlachty, tłumnie do Teresboru się zjeżdżających, by obaczyć wojsko litewskie i wodza litewskiego. Wszystkim patrzącym na niego w cichym, ukołysanym szumem borów sosnowych zaścianku teresborskim wydawał się głęboko smutnym i melancholijnym.

Posunąwszy się wgłąb Litwy, w celu zwiększenia sił zbrojnych i rozszerzenia powstania, wysłał jednak Dłuskiego-Jabłonowskiego w stronę Połagi, nie tracąc może nadziei i spodziewając się ciągle przybycia długo oczekiwanych ochotników i amunicji. Nie wiedział tylko, że w czasie, kiedy odbywały się ćwiczenia wojskowe w Teresborze, ekspedycję Łapińskiego już można było uważać za chybioną zupełnie.

„Sen nocy żmudzkiej“ — jak się wyraził Przybowski — zbliżał się ku końcowi.

W czasie pełnego poezji i marzeń wypoczynku w Teresborze, Wydział Litwy, dowiedziawszy się za pośrednictwem księdza Aleksandrowicza i innych, o gromadzących się przeważających siłach moskiewskich, zawiadomił o tem Sierakowskiego przez Swolkienia. Ale Swolkień, zamiast pojechać do Teresboru, wrócił do swego folwarku, wręczwszy depezę pani B., która jednak nie zdołała wczas odzukać oddziału i depezę wręczyła Laskowskiemu już po klęsce birżańskiej.

Echa o gromadzeniu się sił powstańczych w Teresborze dosięgły i Wilna. Gdy jenerał Ganecki, dowódca pułku strzelców finlandzkich, tropił oddziały Wystoucha i Kierzagajły, dnia 2 maja doszedł go rozkaz jenerał-gubernatora Nazimowa, ażeby zbadał, czy rzeczywiście w okolicy Wiłkomierza znajdują się powstańcy, jak mu donoszono, w sile 20 tysięcy. Według rozkazu, Ganecki miał natychmiast przez Wiłkomierz dotrzeć do miasteczka Oniksztzy, gdzie ma obozować główna siła powstańcza.

Ganecki miał pod swojemi rozkazami trzy kompanje strzelców finlandzkich, czyli 500 — 600 bagnetów, pół szwadronu kozaków gwardji i 50 Dońców. Wobec wiadomości, udzielonej przez Nazimowa, o 20 tysiącach powstańców, Ganecki, przenocowawszy w Wiłkomierzu, wziął z załogi w tem mieście jeszcze dwie kompanje linjowe pułków Sofijskiego i Narwskiego, szwadron ułanów i setkę Dońców. W ten sposób posiadał około tysiąca piechoty i jazdy. Sierakowski posiadał tylko dwieście kilkadziesiąt strzelb — myśliwskich.

Spędziwszy noc z 4-go na 5-go maja w Wiłkomierzu, Ganecki wyruszył ku Oniksztom. W drodze dobiegały go bardzo niepokojące wieści. Już wiedział, że na czele powstańczych sił zbrojnych stoi Dołęga, nie wiedział tylko, że

to był Sierakowski. Liczbę powstańców obliczano na 10 tysięcy, rozprowadano dużo o energii i zdolnościach Dołęgi. Opowiadano nawet, że ma działa w swoim oddziale. Jeśli wierzyć urzędowym sprawozdaniom, ludność ze łzami miała prosić Ganeckiego, aby ją uwolnił od powstańców. Żydzi podobno zachowywali się neutralnie, strasząc generała, że powstańców jest bardzo dużo i z tak małymi siłami nie zdoła ich pokonać.

Ganecki, stanąwszy wieczorem w Oniksztach, ściągnął z Rogowa półtorej rotę pułku Kópowskiego i 70 kozaków pod wodzą majora Merlina, tak że posiadał razem 1500 bagnatów i szabel. Nie mógł wprawdzie dowiedzieć się, kto się ukrywa pod nazwiskiem Dołęgi, ale dowiedział się, że na folwarku Teresborze nad rzeką Świętą znajduje się wielki obóz powstańczy i że tam odbywają się ćwiczenia wojskowe. Ale w tym czasie Sierakowskiego w Teresborze już nie było. Czy dowiedział się istotnie o ruszeniu się przeciwko niemu Ganeckiego, czy też dalej wykonywał swój plan, dość, że 3-go maja opuścił Teresbor i skierował się do Kurlandji.

Oddział swój podzielił na trzy kolumny — skrzydła i środek; lewym skrzydłem dowodził Kołyszko, mając pod sobą pierwszy i drugi bataljon czyli około 500 ludzi i pomaszerował w kierunku Birż. Środek, którym dowodził sam Sierakowski, tworzyły bataljony 4, 5, 7 i 9; ten ruszył w kierunku Dynaburga na Subocz, Komaje do Bopiel. Prawe skrzydło pod Mackiewiczem, 3 i 6 bataljon, pomaszerowało ku Rakiszkom. Wszystkie trzy kolumny miały się zejść pod Madejkami w okolicy Birż.

Podział na trzy kolumny wyglądał napozór w sprzeczności z pierwotnym planem Sierakowskiego utworzenia wielkiego oddziału. W samej zaś rzeczy był to podział je-

dynie dla ułatwienia marszu, a jednolitość oddziału w niczem naruszona nie była, gdyż miał się on zjednoczyć pod Birzami. Fałszywa demonstracja przeciwko Dynaburgowi mogła także odciągnąć od linii działania Ganeckiego, gdyby rygor wojskowy nie nakazywał mu bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom.

Marsz swój z Teresboru pod Birze nazwał Sierakowski „pochodem triumfalnym“. Odbiega on bardzo daleko od urzędowych wiadomości, jakieśmy niedawno przytoczyli. Gdzie była szczerłość uczuć — trudno określić. Chowa się ona zwykle zbyt głęboko w duszach ludzkich i rzadko się daje odgadnąć. Z opisów jednak pochodu Sierakowskiego wnosić można, że życzliwe manifestacje, jakie go spotykały, nie wypływały z pobudek obłudnych.

Zbliżając się do jakiej wsi lub miasteczka, wysyłano najprzód kawalerzystów, by zawiadomić mieszkańców o zbliżaniu się oddziałów. Uderzano w dzwony w kościoły, proboszcz występował odziany w szaty uroczyste, a za nim tłum ludu procesjonalnie, z chorągwiami. I gdy z tą procesją, której towarzyszył jęk rozkołysanych dzwonów, Sierakowski spotkał się, zsiadał z konia, klękał na drodze a za nim cały oddział. Sztandar wojskowy poświęcał ksiądz i błogosławił wojsko. Wśród płaczu kobiet i błogosławieństwa ruszono do kościoła, gdzie zwykle uroczystem *Te Deum* witano powstańców. Sierakowski, zawsze dierzając sztandar w rękę, zbliżał się do ołtarza, całował jego podnóże, a potem klękał przed miejscowym proboszczem i prosił o błogosławieństwo.

Nie będziemy spierać się z autorem „Dziejów 1863 roku“, czy to była sztuczna afektacja, czy wiara w szczerłość uczciwych zamiarów i pokora przed niewidzialną Wszechpotęgą, kierującą tajemniczą ręką losami ludzi i narodów. Dzięki temu uczuciu, które poruszało serca ludzi prostych, lud

wiejski nieraz takie urządzał przyjęcie swemu „smętnemu hetmanowi“, jakie urządza królom, świętym lub „śpiewaczkom“ — — dodaje złośliwie Przyborowski. W Sołach dziatwa wiejska otoczyła dowódcę i sypała mu pod nogi dzikie kwiaty wiosenne, a drogę jego ścieliła zielonym tatarakiem. W Skopiszkach cała wieś wystąpiła na drogę i śpiewano starą pieśń kościelną: „Bóg naszą ucieczką“. Wszędzie doń zbiegała się ciżba ochotników, których on po największej części odsyłał do domów, nie mając czasu uzbroić ich, pomimo że kosy po drodze skupywał i na broń wojenną przerabiał.

Gdy się znaleźli na granicy kurlandzkiej, ludność kalwińska witała ich chłodem, a baronowie niemieccy często uzbrajali ją nawet przeciwko powstańcom.

Z Kōmaj nawrócił Sierakowski nagle ku Birzom. W ten sposób zmienił się front linii pochodu: Kołyszko stanowił straż przednią, Sierakowski środek, a ksiądz Mackiewicz — straż tylną. Kołyszko przeto był najbliżej od Birz, a ksiądz Mackiewicz najdalej. Kołyszko zatem znalazł się najbliżej pościgu Ganeckiego, który, dowiedziawszy się od starowierców, że powstańcy ruszyli na Szymańce, podążył na pomoc Merlinowi, znajdującemu się już na linii marszu Kołyszki. Tu dowiedział się, że Kołyszko, przechodząc, żądał od proboszcza powitania oddziału. Proboszcz, mimo gróźb, odmówił, zasłaniając się brakiem rozkazu od biskupa. Czyn ten bohatersko-lojalnego księdza, którego nazwisko wymknęło się z pamięci współczesnych, tak zachwycił Ganeckiego, że mu osobiście złożył wizytę, „ażeby okazać swój szacunek“. W Poniedziału były już zamówione podwozy pod wojsko moskiewskie, ażeby prędzej ścigać powstańców.

Major Merlin d. 7 maja dopadł Kołyszkę pod Madejkami. Powstańcy, oparci o lasek, rozpoczęli utarczkę, któ-

ra byłaby się może skończyła niczem, gdyby nie ta okoliczność, że powoli poczęły nadciągać bataljony środka, któremi dowodził sam Sierakowski. Merlin, straciwszy podobno około 150 ludzi, pod osłoną nocy cofnął się do Madejek.

Na wiadomość o zbliżaniu się Ganeckiego, Kołyszko, jak twierdzą zgodnie współcześni, radził uprzedzić Ganeckiego i napaść na niego, korzystając z osłabienia i rozdwojenia jego sił. Ale Sierakowski zgodził się raczej przyjąć bitwę. Ponieważ jednak pozycja pod Madejkami nie wydawała się dogodną, cofnął się pod wieś Gudziszki, gdzie się obozem rozłożył.

Ganecki, nocujący w Szymańcach, otrzymawszy wiadomości o starciu się z powstańcami i prośbę o posiłek, wyruszył natychmiast, wsadził żołnierzy na furmanki w Poniedziału i około południa był już w Madejkach. Z Madejek wysłał mały oddział dla odcięcia odwrotu powstańcom, a sam z pięciu kompanjami i kozakami postanowił zaatakować ich, ruszywszy ku Gudziszkom.

Sierakowski wiedział o zbliżaniu się Ganeckiego, ale chciał wprzód rozbić do reszty Merlina, a dopiero potem uderzyć na tamtego. Ponieważ oddział, zmierzający do odcięcia mu drogi, był niewielki, trzeba go było usunąć z drogi, aby mieć wolne ręce wobec Ganeckiego. W tym celu zajął dogodną pozycję w głębi boru, koło polany, obok gąszczu leśnego, gdzie stały zabudowania leśniczego. Czoło oddziału zasłaniał błotnisty strumień, a skrzydła i tył zabezpieczone były gęstwiną leśną. W tem miejscu postanowiono przyjąć bitwę, w nadziei, że lada chwila nadciągnie oddział księdza Mackiewicza. Tymczasem ujrzano łańcuch tyraljerów Ganeckiego, który na podwodach zdołał już nadciągnąć. W nadziei rychłego nadejścia Mackiewicza, Sierakowski zdecydo-

wał się przyjąć bitwę. Jakkolwiek tyraljerka Ganeckiego nie była oczekiwana, oddział powstańców, osłonięty błotnistą doliną, sprawiał wielkie szkody Moskalom, ale po przejściu grząskiej drogi Moskale, dobrze uzbrojeni, już byli panami sytuacji. Po kilkugodzinnej walce, w której często przychodziło do ręcznego starcia, postanowiono cofnąć się w głąb lasu, gdzie Ganecki byłby za nimi nie podążył z pewnością, zwłaszcza że zmrok zapadał i puściła się wiosenna śnieżycą. Pod wieczór jednak, około godziny 5-ej, gdy Sierakowski wydawał rozkazy, ranny padł na pobojowisku, ugodzony kulą w krzyże.

Wiść o tem nie mogła pozostać bez wrażenia wśród powstańców. Sierakowski nie stracił wszakże przytomności, kazał się posadzić na ziemi, uspokajał otaczających go i zapewniał, że go inni zastąpić potrafią. Jakoż natychmiast Laskowskiego, szefa sztabu, zamianował swoim zastępcą. Dziękował potem wszystkim oficerom i żołnierzom, zalecając posłuszeństwo nowemu wodzowi.

Zabrano go z pobojowiska, a powstańcy pod naciskiem nieprzyjaciela, zbliżającej się nocy i szarugi śnieżnej cofać się poczęli.

Pod Birzami — powiada Jakób Gieysztor — zginęła wyborowa nasza młodzież i wielu ze znaczniejszych wojskowych. Montwiłła kula nawskroś przeszła, Chrypcewicz z Wodykt miał całą twarz poranioną, padł Antoniewicz, ugodzony kulą w szyję, zabity Żarski, Wiwulski, dowódca 7-go bataljonu był ciężko ranny. Wieczorem dopiero nadciągnął Mackiewicz, ale nieprzyjaciela już na placu boju nie było, a w obozie panował nieład, tak że przybycie tego oddziału nie mogło już poprawić zadanej klęski. Gdy mu robiono zarzuty, że nie stawił się wcześniej, usprawiedliwiał się tem, że od Sierakowskiego otrzymał rozkaz w nocy

z dnia 7-go na 8-go maja, aby się stawił na placu boju o godz. 6-ej, nie wcześniej, że przybył o 5-ej, pomimo że nie mógł znaleźć przewodnika. Słyszał wprawdzie huk strzałów, ale błądził w lesie.

Na prostym wozie, słomą wyłożonym, leżał Sierakowski, oczekując na powóz, pełen smutnych przeczuć. Żegnał i ścisnął otaczających go, mówił, że wkrótce umrze, zalecał na przyszłość wytrwałość w ogniu, ostrożność i wiarę w pomyślność sprawy polskiej. Gdy nadeszła wiadomość, że na folwarku niema koni, zdecydowano się przenocować we dworze. Umieszczono się w dwóch izbach. W alkierzu na łóżku położono Sierakowskiego, a reszta asysty, w liczbie 21 osób, między nimi Kołyszko i Kossakowski, pokładli się pokotem w pierwszej izbie.

W nocy zjawił się podjazd rosyjski pod wodzą porucznika Wanga. Powiadają, że ktoś ze dworu skrobiskiego zawiadomił Moskali. Rzecz prawdopodobna, bo podjazd szedł jakgdyby na pewną zdobycz. Ktoś jakoby, otworzywszy okno, rzekł do Wanga: „bądź pan łaskaw nie hałasuj, tu leży ranny generał Sierakowski“. Mogło się to stać bez złej woli, gdy wśród ciemnej nocy przypuszczano, że zagląda ktoś z ciekawych lub rozbitków. Trudno wszakże przypuścić, aby wymieniono nazwisko Sierakowskiego, bo nikt w domu prawdziwego nazwiska rannego prawdopodobnie nie znał. Cyłow w swoim pamflecie powiada, że Sierakowski sam jakoby, wezwawszy do siebie Wanga, przyznał się kim jest — wersja jeszcze mniej prawdopodobna.

Wang natychmiast zawiadomił o wszystkim generała Ganeckiego, konsystującego w Madejkach. Było to 10 maja pod wieczór. Ganecki, wracając z pogrzebu swoich żołnierzy, którzy w ostatniej potyczce padli, spotkał idących na przeciw niemu kilku oficerów, którzy krzyczeli radośnie:

„ural Sierakowski wzięty do niewolil“ Ganecki wysłał zaraz pluton strzelców finlandzkich do Skrobiszek z porucznikiem Tannerem, który zabrał wszystkich jeńców i o 5-ej godzinie rano stawił się w Madejkach.

Usprawiedliwienie się Mackiewicza nie zasługuje na wiarę. Sierakowski rozumiał doskonale, jak wielką pomocą byłby oddział Mackiewicza, bo zdecydowawszy się przyjąć bitwę, umyślnie w nocy ruszył ku Gudziszkom, aby się zbliżyć do Mackiewicza.

Wiarogodni świadkowie stwierdzili, że ksiądz Mackiewicz i St. Kozakowski doskonale słyszeli strzały, a Kozakowski, jako wojskowy, koniecznie nalegał, aby iść z pomocą. Mackiewicz jednak rad podwładnego nie uwzględnił. Z tego powodu słuszne robi uwagi autor „Dziejów 1863 roku“: gdy się słyszy huk strzałów, odgłos jest najlepszym przewodnikiem. W takim położeniu każdy żołnierz obowiązany jest iść tam, gdzie się biją, czego ks. Mackiewicz nie uczynił; winien jest przeto w części przegranej birżańskiej. Postępowanie jego jest zwykłym w tej wojnie objawem działania na własną rękę i unikania wszelkiej władzy nad sobą*). Według wszelkiego prawdopodobieństwa, Mackiewicz, nie wierząc w możliwość zwycięstwa nad Ganeckim, nie chciał narazić swego oddziału na wspólną z Sierakowskim klęskę i nie stawił się na placu boju, niby nie mogąc doń trafić.

*) Jak klęska birżańska stała się początkiem końca powstania na Litwie, tak bitwa pod Radziwiłłowem zadała ostatni cios powstaniu na Rusi. Miniewski, skutkiem niedołęstwa, nie stawił się naczas pod Radziwiłłowem na wyraźny rozkaz generała Wysockiego, a skutkiem tego przyczynił się do przegranej bitwy, jak tego dowiodły późniejsze materiały i świadectwa.

Nie będziemy dalej śledzić losów powstania litewskiego, gdyż ono już się nie wiąże z losem Dołęgi. Ganecki, nasłuchawszy się mnóstwa wiadomości o Dołudze i wielkiej liczebności jego oddziału, miał to przekonanie, że zetknął się tylko z przednią strażą powstańców. Rozesłał więc podjazdy kozackie po okolicy dla zbadania jej i wyszukania przewodników. Jeden z takich podjazdów schwycił dowódcę 9-go bataljonu Staniszewskiego, który odrazu przyznał się, że brał udział w bitwie, kim jest i że naczelnym wodzem jest Sierakowski.

Ganecki, znalazłszy nareszcie przewodnika, ruszył na przód i pod Sznurkiszkami zaatakował Mackiewicza. Zmęczony, niewypoczęty i zdemoralizowany do pewnego stopnia wskutek przegranej bitwy żołnierz już tylko słabo się bronił, a wkrótce, opanowany paniką, rzucił się do ucieczki. Moskale zdobyli cały tabor, kasę oddziału, dwa sztandary szyte złotem i jedwabiem, wzięto do niewoli Łabanowskiego, dowódcę jazdy i 60 powstańców.

Takie było zakończenie klęski birżańskiej.

Sierakowski, ciężko ranny, jadąc na wozie, gdy pod Sznurkiszkami Ganecki zaatakował powstańców, leżąc na wozie, wydawał jeszcze rozkazy. Ale panikę już trudno było powstrzymać. Rannego wodza zdołano uprowadzić w głąb lasu.

Jedną z największych klęsk po birżańskiej porażce było ogólne przygnębienie, wywołane stratą najliczniejszego oddziału.

Ciężko rannego Sierakowskiego przywieziono w nocy do majątku Skrobiszki, Komorowskich. Właściciele nie było. Napróżno Jarosław Kossakowski i kilku innych, a także stary sługa Syruciów Leopold, nalegali na niego, by uciekał, lada chwila bowiem czekano nadejścia Moskali.

Sierakowski był zmęczony i ciężko ranny, a żadnego powozu w Skrobiszkach nie było. Posyłano dwa razy do Kościałkowskich, ale daremnie, gdyż jednym powozem, jaki posiadali, odjechał był właśnie dr. Kościałkowski na poszukiwanie Zygmunta. Niestety chciało, że go właśnie w drodze aresztowano.

Według opowiadania Kornitowa, jeden z jeńców, zbliżywszy się do Tannera, przedstawił mu się jako Kołyszko. W sąsiedniej izbie leżał Sierakowski w otoczeniu dwóch lekarzy i spał — według przypuszczenia świadka — udawał, że śpi. Tannerowi przedstawił się Kossakowski jako adjutant, któremu Tanner powiedział, aby śpiącego obudził, i dodał, że ma rozkaz natychmiastowego zabrania go. Kossakowski zauważył, że jest to niemożliwe, bo generał chory i w drodze może umrzeć. Nic nie pomogły perswazje. O godzinie 2-ej rano Tanner wsadził wszystkich na wozy i ruszył do Madejek.

Znamy wyłącznie prawie tylko rosyjskie relacje o tym wypadku.

Tanner siadł na bryczkę obok Sierakowskiego i miał mu oświadczyć, że gdyby próbowano go odbić, nie puści go żywego. Na uwagę Sierakowskiego, że zabicie bezbronnego jeńca byłoby wprost morderstwem i hańbą dla oficera, Tanner odpowiedział, że ma taki rozkaz i spełnić go musi.

Gdy w Madejkach Sierakowski stanął przed Ganeckim, wymienił swoje nazwisko, a wskazując na młodego, stojącego obok, rzekł: to mój adjutant, hr. Kossakowski. Ganecki rozpoczął rozmowę: „Pan jesteś Dołęga?” — pytał. „Nie, ja jestem Sierakowski” — była odpowiedź. Na pytanie generała, dlaczego zatrzymał się pod Madejkami, zamiast cofać się dalej, Sierakowski odpowiedział, że chciał mu wydać bitwę. Ganecki był tego zdania, że byłoby ko-

rzystniej prowadzić partyzantkę, zamiast bawić się w regularną wojnę. Sierakowski nie usprawiedliwiał się, a przegraną bitwę tłumaczył tem, że za późno rzucił swoich kosynierów na lewe skrzydło Moskali. Na uwagę zaś Ganeckiego, że tam przez błoto trudne było przejście, zauważył, że przeszedł je ze swoim oddziałem, nie straciwszy ani jednego żołnierza.

Gdy się okazało, że rozbity został największy oddział powstańców, Ganecki, jako przypadkowy tryumfator, mógł powrócić do Wilna. 12-go maja wyruszył w asystencji jeńców i Sierakowskiego. Jechał na koniu na czele swojej kolumny i kazał rozwinąć sztandar polski, zdobyty pod Sznurkiszkami. Muzyka poprzedzała ten marsz tryumfalny. U rogatek witał go Nazimow, otoczony rodziną i świetnym orszakiem. Osobliwą radość okazywali żydzi, którzy tłumnie zgromadzili się na to widowisko. Szpalerem ustawione wojsko wrzeszczało swoje przeraźliwe „ura“, muzyka grała skoczego marsza, tylko z okien przyglądały się temu napół dzikiemu pochodowi smutne twarze polskie. Ten tryumf był klęską polskich nadziei i marzeń. Nazimow publicznie ucałował Ganeckiego i wysłał uroczysty raport do cara.

Takie były relacje rosyjskie.

Jedyny zaś obecny areztowaniu Sierakowskiego świadek bezsprzecznie wiarygodny, dr. Trzaskowski opowiadał Benedyktowi Dybowskiemu w Irkucku, że towarzyszyło rannemu tylko 10 szeregowców. Niedaleko Skrobiszek komisarz obozowy Józef Kościałkowski miał brata przyrodniego Ildefonsa. Do niego wysłał powstańca z prośbą o powóz i konie. Gdy żona odmówiła, Kościałkowski sam udał się i powóz i konie zabrał przemocą. Rozgniewana pani Ildefonsowa zawiadomiła Moskali o miejscu pobytu Sierakowskiego. Gdy konie i powóz nadeszły, Sierakowski spał. Dr. Trzaskowski nie chciał go budzić — stąd opóźnienie.

W czasie oczekiwania na przebudzenie się Sierakowskiego, Ganecki wysłał na znany już sobie punkt porucznika Tannera, który przybył około północy i kazał natychmiast wynieść do powozu rannego. Owiniętego w płaszcz wyniesiono. Obok usiadł dr. Trzaskowski. Więźniowie szli pieszo. Tanner wydał rozkaz wymordowania ich w razie napadu lub oporu. W Madejkach oddano Sierakowskiego pod straż lekarza pułkowego. Żadnej rozmowy między Ganeckim a Sierakowskim nie było. Sierakowski był w gorączce i miał wypieki na twarzy. Na głowie nie miał wcale cylindra, jak pisali rosyjscy pamiętnikarze.

Ganecki całą rozmowę, jaką wiódł jakoby z Sierakowskim, przed Kornitowem zmyślił poprostu. A Przyborowski z dobrą wiarą ją powtarzał. Na usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, że nie znał relacji Trzaskowskiego.

Według opowiadań d-ra Trzaskowskiego i dziennika żony Sierakowskiego, rzecz przedstawiała się w ten sposób. Do Wilna przywieziono go 11 maja w nocy, wioząc okólnymi drogami, wprost do szpitala św. Jakóba i umieszczono w pokoju parterowym; pod drzwiami w korytarzu i pod oknem postawiono po dwóch żołnierzy. Reszta straży z oficerem mieściła się w pokoju sąsiednim. Oficer dozoruujący co chwila wchodził do pokoju rannego i stale dozorował żołnierzy stojących na szyldwach. We drzwiach wiodących do szpitala żadnego okienka nie było. Wkrótce po pierwszej operacji przeniesiono jeńca na pierwsze piętro. Chory ruszać się nie mógł, leżał obandażowany, w stałej gorączce. Po wyjęciu zgruchotałych kości rana zabiłżniać się poczęła, lecz wkrótce rozpoczęło się ropienie na nowo, co wymagało nowej operacji i ponownego unieruchomienia.

W tej chwili jednak los Nazimowa już był rozstrzygnięty. Był on człowiekiem zanadto powolnym, zanadto

miękkim, urzędnikiem zbyt uczciwym i sprawiedliwym. Taki człowiek, według teorii carskich rządów, nie nadawał się do roli bezwzględnego kata. Takiego kata trudno było jednak znaleźć — nawet w Rosji. Ale kamaryla carska poszukiwała odpowiedniego i znalazła. Był to dawny gubernator kowieński, generał Michał Mikołajewicz Murawjew. Prawie w tym samym czasie, gdy Ganecki zmagał się z Sierakowskim, idąc śladami jego aż do Madejek, w Petersburgu myślano o zamianie Nazimowa i o obsadzeniu stanowiska generała gubernatora wileńskiego człowiekiem „silnej ręki“, to jest głupim, ambitnym i bezwzględnym w wykonywaniu swojej władzy. Generał Ignatjew napomknął carowi o Michale Murawjewie, który zdołał przekonać cara, że tylko okrwawioną pięścią można uspokoić Litwę.

14 maja Murawjew przyjechał do Wilna i natychmiast rozpoczął swoje dzikie rządy na podstawie „zupełnego zaufania“, jakim go car obdarzył. W dwa dni po przybyciu rozstrzelał księdza Iszorę za odczytanie w kościele manifestu Rządu Narodowego o usamowolnieniu włościan. Potem odbywały się egzekucje księdza Ziemackiego, Laskowicza i innych.

Rozpoczęło się barbarzyńskie znęcanie się nad t. zw. „Krajem Zachodnim“. Zewnętrznie postać gubernatora odpowiadała zupełnie dzikiej drapieżności charakteru. Był to straszny, mongolski, nawet w Rosji — pisze o nim Rosjanin współczesny - rzadki typ jakiegoś Kamczadała, Czuwacza, Eskimosa lub Samojeda, któregoś z tych mieszkańców głębokiej północy, którego matka, zamiast starożytnych posągów klasycznej piękności, miała przed oczyma psy morskie, wieloryby i białe niedźwiedzie. Portret jego przypominał przedewszystkiem buldoga. Jakże mieli — pisze dalej — nie trwożyć się ludzie, gdy naraz rozniosła się

wieść, że ten zapomniany już przedstawiciel dawnego porządku rzeczy znowu się odnalazł i wypłynął na widownię działalności państwowej *).

*) Autor cytowanego już przez nas „Prologu” przedstawia Murawjewa jako hr. Czaplina w okresie agitowania się sprawy włościańskiej, którą społeczeństwo rosyjskie w Petersburgu było głęboko poruszone. Murawjew należał wówczas do grupy „pańszczyźniaków”. Starano się go zjednać dla idei „wolności ludu”, ale nadaremnie. Jakkolwiek nie mamy dowodów, ażeby Murawjew znał osobiście Sierakowskiego, jednak wydaje się to rzeczą bardzo prawdopodobną ze względu na to, że Sierakowski był nader czynnym agitatorom na rzecz usamowolnienia włościan i miał przed sobą otwarte salony wyższych sfer społeczeństwa rosyjskiego, w których obracał się i Murawjew.

Autor „Prologu” w ten sposób opisuje Murawjewa jako hr. Czaplina.

„Jeszcze w przedpokoju słyhać było, że gość stąpa z takim hałasem, jakiego nie mogą sprawiać nawet buty petersburskiego muzyka, gdyż są one za lekkie. Ażeby tyle hałasu narobić, potrzebne są chyba dwupudowe buty wlejskiego muzyka. Temu hałasowi wtórowało dziwne sapanie i chrapanie, aż wreszcie we drzwi wsunęła się jakaś masa cielska na podobieństwo człowieka. Podnosił on wysoko każdą nogę do góry, a potem w bok odchyłał, pracując jednocześnie i rękami sterującymi daleko od korpusu, jakgdyby pod pęczę z każdej strony chował arbut. Poruszał się całym ciałem, wysunawszy brzuch naprzód. Z obu stron policzków wisiły mu dwa kawały mięsa prawie aż do ramion. Szedł z otwartymi, zaślinionymi ustami, które przy każdym sapaniu lub chrapaniu otwierały się i zamykały się jakby machinalnie. Oczy miał małe, zażawione i zapłynięte prawie tłuszczem.

Bez najmniejszej wątpliwości był to przebrany rzeźnik. Widać to było odrazu z całej twarzy. Nie było wprawdzie na niej wyrazu drażnienia i dzikości, ale też żadna ludzka myśl nie spoczywała na niej — żadna, nawet idyotyczna, gdyż i na twarzy idjoty zabłąka się czasem ślad jakiejś myśli, a twarz hrabiego wyrażała zupełną bezmyślność, krowią bezmyślność.

Był to poprostu rzeźnik, który nie widzi przed sobą ani ludzi, ani natury, tylko bydło rzeźne. Tylko twarz rzeźnika mogła posiadać taki wyraz”.

Po przewiezieniu do Wilna Sierakowskiego umieszczono w szpitalu św. Jakóba w wolnej celi na wysokim parterze.

Już z chwilą, kiedy Sierakowski padł ranny na polu bitwy, powstała myśl przewiezienia go zagranicę. I byłoby to może stało się, gdyby nie brak powozu, którymby można było przewieźć rannego. Po umieszczeniu go w szpitalu robiono starania w dwóch kierunkach: albo ucieczki, albo ułaskawienia. Co do ucieczki, była to rzecz wręcz niemożliwa skutkiem rany, która utrudniała Sierakowskiemu poruszanie się. Starano się też, aby w przebraniu żołnierza mógł wyjść ze szpitala, ale nie miał siły zejść ze schodów. Zorganizowaniem ucieczki zajmował się Michał Podbereski, ale z braku sił rannego okazała się ona niemożliwą. Jako dowódcę, czekała go kara śmierci. Chodziło przeto o złagodzenie jej. Pod tym względem robiono starania w Petersburgu w wysokich sferach, starając się wywrzeć wpływ na Murawjewa. Ale zdaje się wywoływało to odwrotny skutek: dziki ten kałmuk czuł się obrażonym w swojej dumie wszechmocnego satrapy, że ktoś śmiał przemawiać do jego uczuć, obniżyć niejako powagę jego władzy.

Po umieszczeniu Sierakowskiego w szpitalu, jeszcze przed przybyciem do Wilna Murawjewa — powiadają rosyjscy pamiętnikarze — Ganecki zapragnął widzieć się z Sierakowskim. Oficer, stojący na straży, oświadczył jenerałowi, że ma rozkaz nie dopuszczać do niego nikogo. Ażebym zaspokoić ciekawość, Ganecki zbliżył się do małego okienka w drzwiach celi, w której umieszczony był chory, i ujrzał go jakoby stojącego przy oknie i patrzącego na ulicę. To nasunęło mu domysł, że przygotowuje się ucieczka. Pojechał więc do Nazimowa i wypowiedział swoje wątpliwości. Nazimow niechętnie przyjął te informacje, oświadczając, że przed dwoma godzinami widział go leżącego w łóżku. Mai-

twiło Ganeckiego to, że lekarz i felczerzy w szpitalu byli Polakami. Dla uspokojenia go, Nazimow delegował dla dozoru swego doktora — nawiasem powiedziawszy Niemca — i felczera Rosjanina. Ów doktor Stakman okazał się godnym swego stanowiska.

Z naszych źródeł wiadomo, że Ganecki nie widywał się z Sierakowskim w szpitalu, a okienka w drzwiach szpitalnych nie było wcale. Są to więc fantazjowania na tematy znane ze słyszenia, z plotkarskiego opowiadania w klubie oficerskim.

Sierakowski uchylał się od dawania zeznań przed sądem, tłumacząc się, że jest chory, od dłuższego czasu nie sypia wcale i czuje chwilami, że ma umysł zmęczony. Nie jest przeto pewny prawdziwości swoich zeznań. Czy tak było w istocie? Może być. Ale może być także, iż umyślnie działał na zwłokę, aby dać czas swoim petersburskim przyjaciółom wstawić się za nim. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, porozumiewał się z członkami Wydziału Litwy, o ile wnosić można ze starań Podbereskiego, wiedział o zabiegach w Petersburgu. Istotnie, zdołano wydstać list od Garibaldiego z oświadczeniem, że demokracja europejska stanie w obronie Polski; ale większe mogły mieć znaczenie starania robione przez Suworowa, generał-gubernatora petersburskiego, o złagodzenie kary. Dr. Stakman oświadczył jednak, że Sierakowski jest w stanie zupełnej świadomości i zeznania składać może. Wobec naporu ze wszystkich stron na Murawjewa, chodziło mu także o to, ażeby sąd przyspieszyć.

Podobno nawet królowa angielska interwenjowała w sprawie ułaskawienia Sierakowskiego, starając się przez lorda Napiera i jego żonę wpłynąć na cesarżową rosyjską. Wiadomość ta pochodzi od Ganeckiego, który miał ją z oburzeniem powtórzyć Murawjewowi, żądając kary na oficera, któ-

ry złamał przysięgę i stał na czele buntowników. Murawjew miał odpowiedzieć: „wiem o tem wszystkim, bądź pan spokojny“.

Jeśli odpowiedź ta jest prawdziwa, to wyrok śmierci na Sierakowskiego był już wydany. Trzeba go było tylko wykonać. Dn. 23 czerwca, w środę (według dziennika żony Sierakowskiego, 24), była w celi Sierakowskiego po raz ostatni komisja śledcza. Murawjewowi i sędziom nie chodziło wcale o winę jeńca, wina ta była, według rosyjskiego kodeksu karnego, jawna; szło o to, ażeby coś wydobyć o organizacji powstańczej, aby mieć bodaj kilka nazwisk, jako nitkę do dalszych badań. Ale na tym punkcie Sierakowski był nieugięty: nic nie powiedział, ani jednego nazwiska nie przytoczył. Unikał odpowiedzi. Mówił o podróży swojej do Paryża, o zetknięciu się z Napoleonem III, z Garibaldim; o ludziach i rzeczach dotyczących powstania milczał.

Dla sprostowania wielu błędów lekkomyślnie lub złośliwie powtarzanych przez pisarzy rosyjskich, posiadamy listy własnoręczne Sierakowskiego, pisane do żony i ogłoszone przez Bened. Dybowskiego.

Po przyjeździe Murawjewa zwiększono czujność. Pragnął on za wszelką cenę wydobyć od Sierakowskiego zeznania co do składu Rządu Narodowego i Komitetu Wileńskiego. W tym celu przysłał księcia Szachowskoja, krewnego swego a kolegę z Akademji Sierakowskiego, obiecując za zeznania życie i „łaski Cesarza“, i żądał napisania memorjału o obecnem położeniu i uwag, co czynić należy, ażeby przekonać Najjaśniejszego Pana, że „Wielopolski jest zdrajcą, a ksiązę Konstanty chytry i nieszczerzy“.

26 czerwca pozwolono żonie widzieć się z mężem. Zastała go leżącego na łóżku, z głową ostrzyżoną, odrzuconą wtył, z gorączkowemi wypiekami na twarzy. Lica i ręce pałały ogniem gorączkowym. Obok łóżka stał stół, przy

nim siedział komendant Witkin i członkowie sądu, u drzwi stało sześciu żołnierzy. Na rozmowę przeznaczono tylko kwadrans czasu. Po przywitaniu zawołał Zygmunt: „Polciul Wczoraj podpisałem wyrok śmierci na siebie: oświadczyłem, że nic nie wiem, a gdybym nawet wiedział, to nie byłbym powiedział“. Po tych słowach żona zemdląła i upadła. Podniesiono ją, zemdląłą wsadzono do powozu, gdzie dopiero odzyskała przytomność.

Tegoż samego wieczora na kartce, wyrwanej z Biblii, Sierakowski pisał: „Boże! Widzę, że Ciebie nikt nie przygotował, nie uprzedził, iż po raz ostatni widzieliśmy się ze sobą. Aniele mój! Dowiedziałem się wczoraj, że żyć mogę i być wolnym, pod jednym wszakże małym warunkiem, ażebym wydał osoby, mające wpływy. Uniesiony gniewem powiedziałem, że gdybym znał nawet, tobym nie wydał. Dano mi do zrozumienia, że podpisałem wyrok śmierci. Trzeba więc umrzeć. Umrę czysty i niepokalany. Powiedz mi sama, czy mogłem zrobić inaczej? Ja Ciebie kochać będę i czuwać nad tobą i niemowlątkiem, a potem połączę się z Tobą w niebie“.

Sąd skazał Sierakowskiego na szubienicę, a Murawjew, po widzeniu się, to jest 27 czerwca, kazał wyrok wykonać. Ale wyroku skazanemu nie zakomunikowano.

Wczesnym rankiem 27 czerwca zjawił się w jego celi szpitalnej ksiądz Juljan Syrukowicz dla udzielenia mu ostatnich pociech religijnych. Na propozycję księdza odbycia spowiedzi Sierakowski odpowiedział, że nie jest przygotowany, ale na naleganie księdza ubrał się, zmówił pacierz, odbył spowiedź i komunikował się. Ksiądz przed odejściem nie chciał go utrzymywać w złudzeniu i otwarcie powiedział, że trzeba się pojednać z Bogiem, zanim odejdzie na wieczną wędrówkę. Po odejściu księdza wszedł generał Szaruszin,

który miał polecenie objąć dowództwo nad wojskami, mającymi asystować egzekucji. Na uwagę, aby się zebrał do wyjścia z nim razem, Sierakowski odpowiedział nie bez irytacji, aby mu dano spokój, bo czuje się chory. Na to Szaruszin uwiadomił go o wyroku i oświadczył, że zaraz ma być wykonany. Sierakowski na chwilę zamknął, ale potem rzekł spokojnie z uśmiechem: „Rozumiem, czas już odegrać komedię wyroku — i miał jakoby dodać — i ułaskawienia“. Trudno przypuścić, aby była jeszcze wiara w możliwość ułaskawienia. „Ha, cóż? Jedźmy!“ — zakończył. Wsiadł do dorożki z księdzem i komendantem placu i w zbrojnej asystencji żołnierzy udał się na plac tracenia. Tłum ciekawych towarzyszył temu smutnemu widowisku. Tego rodzaju wyroki wykonywano zwykle na Łukiszkach, dokąd też podażył cały hałaśliwy tłum, przyzwyczajony już do krwawych widowisk. Sierakowski jechał stojąc przez cały czas, oparty ręką jedną o ramię księdza, drugą o plecy furmana.

Powiadają, że „spojrzenie miał dzikie i mętne, a na twarzy malowała się trwoga“. Należy to nie tyle uważać za prawdę, ile traktować jako licentia poetica rosyjskich pamiętnikarzy, którzy zdaleka widzieli to, co im się prawdą zdało, bo nie mogli inaczej wyobrazić sobie skazańca w obliczu śmierci, jak tylko — z mętym wzrokiem i z trwogą na twarzy. Nogi mu drgały — co jest zupełnie zrozumiałe wobec tego, że miał w kłębie ranę niezagojoną. Stojąc, oczy miał wlepione w tłum, jakby szukał kogoś.

Od samego rana — pisze Gieysztor — ruch w mieście niezwykły. Postawienie szubienicy zwiastowało nowe widowisko, nic przeto dziwnego, że w ten sposób podnieconą była ciekawość publiczna. Muzyka wojenna z piszczalkami oznajmiała Wilnu egzekucję. Rodzinę i żonę Sierakowskiego na ten dzień zatrzymano w domu.

Gieysztor, stojący przy jakimś płocie, miał przed sobą tłumy, zalegające plac. Wojsko pod bronią otaczało szersze pole pod szubienicą w środku. Obok władze z audytorem. Rozległy się głosy: „jedziel jedziel“. Od Pohulanki, drogą wiodącą ze szpitala, wieziono Sierakowskiego. Był blady i szukał w tłumie znajomych. Gdy wjeżdżał już w sam środek smutnego placu, oczy jego zaświeciły. Ręką i głową przesłał powitanie. Nie będąc panem siebie — pisze dalej Gieysztor — gdy podjeżdżał i patrzył w moją stronę, stojąc na płocie, chustką dałem mu znak. Wzrok nasz się spotkał, ale w tejże chwili uczułem silne targnięcie i po chwili byłem już daleko od tego miejsca, popychany coraz dalej.

Wyroku słuchał roztargniony, mając ciągle oczy w tłum wpatrzone. Gdy usłyszał wyrok na powieszenie, wykrzyknął: „protestuję przed Rosją i Europą przeciwko temu wyrokowi!“. Miał podobno żądać, aby go rozstrzelano, jako żołnierza. Ale warczenie bębnowe zagłuszyło mowę — zwykła metoda moskiewska, zamykająca usta ostatni raz przed śmiercią. Zbliżył się kat ze śmiertelną koszulą w rękę i nieostrożnie manipulując, dotknął niezagojonej rany. Sierakowski krzyknął przeraźliwie z bólu i zawołał: „jak śmiesz dotykać mnie, durniul“ — i odepchnął go. Urażony tem kat począł się brutalnie zabierać do delinkwenta. Sierakowski szarpał się, krzyczał, protestując przeciwko takiej karze śmierci, zerwał koszulę, ale uległ przemocy. Zdołano go nareszcie opanować, związano i bezwładnego pociągnięto pod szubienicę, ze stryczkiem na szyi, gdyż z powodu rany stanąć na tragicznym stołku nie miał siły. Ostatnie słowa, jakie z ust jego słyszano, były: „bądź wola Twoja!“.

To szarpanie się z katem wstrząsające wrażenie sprawiło na patrzących. Czy to była ostatnia walka o życie?

Nie. Sierakowski był zbyt rozumnym człowiekiem, ażeby nie wiedział, że walka z katem pod szubienicą nie może mieć na celu obrony życia. Była to ostatnia walka z ideą przemocy, z ideą gwałtu, z ideą niesprawiedliwości, ubranej w formułę prawa. W sumieniu swoim czuł się niewinnym, bo stawał w obronie najwyższego dobra, jakie ludzkość w ciągu długich wieków zdobyła — idei wolnego państwa i narodu, nad którym dopuszczono słą zbrodni. Walka pod szubienicą to może najcharakterystyczniejszy rys jego niezależnego charakteru i mocy przekonań. Był to ostatni protest przeciwko bezprawiu. Służył Moskwie, dopóki miał nadzieję być pożytecznym ojczyźnie; w chwili, gdy tę nadzieję stracił, gdy go ojczyzna do służby wezwała — stanął bez wahania. On nie uciekał przed śmiercią, ale jej szukał na stepach kirgiskich i tatarskich, tak samo, jak pod Birzami, gdy szedł na czele kosynierów.



Na zakończenie dodać należy jeszcze kilka słów, dotyczących cech fizycznych osoby Sierakowskiego. Widzieliśmy, jak ona przedstawiała się odmiennie w oczach ludzi, którzy się z nim stykali. Nawet zewnętrzne rysy jego przedstawiły się różnym ludziom odmiennie. Zależało to nieraz od stanu duszy samego widza.

Pułkownik Stella-Sawicki (pseud. Struś), który go znał po powrocie z Orenburga, tak go opisuje:

„Na kształtnem czole widać było długich myśli pracę; choć młode jeszcze, już się pofałdowało od ciężkich dumań. Włosy miał zwykle w nieładzie wtył zarzucone. Szare jego oczy, dość głęboko wpadłe, latały niespokojnie, błyszcząły ogniem i zdawały się chcieć wszystko objąć i pochwy-

cić, ogarnąć. Miał on wydatne policzki, nos nieco zadarty, usta szerokie, ale pełne wyrazu dobroci. Cała twarz nie była piękną, lecz bardzo znaczną i jaśniała szczerością i serdecznością“.

Takie było wrażenie widza, odbite przez pryzmat jego psychiki i umysłowości.

Benedykt Dybowski, który znał osobiście i dobrze Sierakowskiego, taką kreśli jego sylwetkę fizyczną. Wzrost Zygmunta wynosił 172 centym. Ta cyfra przy pomocy dobrej fotografii pozwoliła mu ustalić według formuły Fritscha, że wysokość twarzy wraz z czołem wynosiła 22 centym. Sierakowski nadawał się przeto do typu krótkogłowego. Wskaźnika szerokości nie zapamiętał Dybowski. Czoło miał wysokie i szerokie, ze słabo wystającymi guzami czołowymi. Łuki brwi zaznaczone, ale nie silnie rozwinięte. Nos równy, prosty, u nasady zagłębienie słabe, u nozdrzy dosyć szeroki, ale nie zadarty. Kości policzkowe mało wystające, Żuchwła krótka. Podbródek miernie szeroki, naprzód podany. Włosy ciemno-blond, nadzwyczaj cienkie i delikatne. Brwi jasne. Rzęsy ciemne. Oczy jasno-niebieskie, wzrok nadzwyczaj silny. Legenda gimnazjalna głosiła, że mógł czytać druk średni przez całą długość sali wykładowej. Zarost na twarzy słaby, barwy jaśniejszej od włosów na głowie. Wąsy nie gęste i nie długie. Szyja krótka. Ciało proporcjonalne. Ruchy żywe. Wyraz twarzy zmienny, lecz nigdy nie odbijał się na niej wyraz gniewu. Łagodność charakteru jakgdyby była wypisana na jego twarzy, zwykle bladej, bez rumieńców, o delikatnej skórze i nieco niezdrowej cerze. Skłonności do tycia nie miał.

Jest to chyba najlepszy i najdokładniejszy szkic osoby Zygmunta Sierakowskiego.

II.

HENRYKA PUSTOWÓJTÓWNA

Sylwetka biograficzna

1838—1881.





Po wydaniu „Roku 1863 na Rusi“ (T. I.: „Ruś Czerwona i Wschód“ w r. 1902 i T. II.: „Ukraina, Wołyń i Podole“ w r. 1903) pozostał mi obfity materiał, nieużytkowany wcale lub bardzo mało z powodu zbyt ściśle określonego planu mojej pracy. Pozostało zatem dużo jeszcze ubocznych niejako tematów, które domagały się specjalnego opracowania. Powziąłem był zamiar wydania zarysów biograficznych kilku wybitniejszych postaci z ostatniego powstania — Sierakowskiego, Bobrowskiego i in. Czy kiedy zamiar mój wykonam? Nie wiem i wątpię.

Drukując teraz sylwetkę biograficzną Henryki Pustowójtówny, wywiązuję się bodaj częściowo z przyjętego wobec siebie samego zobowiązania. Niełatwe to było zadanie ująć w pewną całość rozproszone i zatarte nieraz barwy, potrzebne do zapoznania czytelnika z tą postacią niewątpliwie piękną, ciekawą i charakterem swoim wybijającą się z pośród zwykłych szeregowców, a niekiedy i wodzów roku 1863. Walki nasze wysuwały nieraz na czoło postacie niezwykle, świadczące najlepiej o tem, jak głęboko w dusze naszego społeczeństwa przenika idea poświęcenia się i obowiązku. W szeregach zbrojnych stawali młodzieńcy, którzy kładli życie swoje bez szemrania, a słabe dłonie niewiast nie wahały się brać szabli do ręki.

Gdy jedne niosły pracę swoją i zdrowie tam wszędzie, gdzie jaśniejsza błyszczała nadzieja, drugie stawały w sze-

regach walczących. Imiona niektórych zanotowały tylko dzieje — jak Dębickiej, Zborowskiej, Pruszyńskiej, Ogińskiej, inne otoczone zostały legendą bohaterstwa i poezją sławy. Do tych należała Emilia Platerówna.

Z liczного szeregu niewiast, których uczucie patriotyczne dosięgło wysokiego napięcia, Henryka Pustowójtówna nie ostatnie zajęła miejsce.

Daję czytelnikom jej sylwetkę.

Niech ona się stanie przykładem poświęcenia się i obowiązku wobec ukochanej idei dla tego pokolenia, któremu przeznaczyły losy w ciężkiej a wytrwałej pracy odbudowywać przyszłość lepszą i jaśniejszą, niż teraźniejszość.

Autor.

(Przedmowa do wydania pierwszego r. 1910).

I.

Niezwykłe zdarzenia wysuwają naprzód niezwykłych ludzi. Słowa te mogą wydać się paradoksem, ale nim nie są. W tym wypadku przynajmniej nie może być mowy o jakimś genjuszu, który błysnął nad narodem jak jasna gwiazda i smugę światła po sobie zostawił, — bo niezwykłość w lepszym znaczeniu tego wyrazu polega także na wysunięciu się naprzód drogą poświęcenia, odwagi, charakteru. Przymioty powyższe posiadała niewątpliwie Henryka Pustowójtówna, której imię od r. 1861 stało się głośnem i popularnem w całej Polsce. Do rozgłosu przyczyniła się niemało i ta okoliczność, że jako kobieta stanęła z bronią w rękę na twardym i ciężkim posterunku narodowym, kładąc na szali nietylko życie, lecz i dobrą sławę kobiety. Stąd też imię jej i pamięć otaczają z jednej strony lekceważenie lub nawet oszczerstwa, a z drugiej — legendy idealnego poświęcenia się i bohaterstwa. Wszystko to spletało się w węzeł zagadek, tem bardziej zagmatwany, że należała do rodziny, w której polska krew mieszała się z rosyjską.

Urodziła się ona w czerwcu, (26 nowego st.) roku 1838, jak się zdaje, w pobliżu Żytomierza. Wiadomość o tem podaje Mikołaj Berg według opowiadań osób znających Pustowójtównę, a nawet jej koleżanek z pensjonatu. Po rewolucji roku 1830 — 1831 na Wołyniu, w okolicy Żytomie-

rza, konsystował pułk koporski piechoty, w którym majorem był Teofil Pustowojtow, natura — jak się u nas mówi — „szeroka“, nieokiełznana, gwałtowna, lubiąca grę w karty i wino. Przy tych wadach był to mężczyzna piękny, roztropny i mający powodzenie na salonach polskiego obywatelstwa. Bliższych szczegółów o nim nie posiadamy. Wśród ćwiczeń salonowych poznał się z Polką — Kossakowską, która mu tak zaproszyła oko, że postanowił się z nią ożenić. Powiadają, że kupił pod Żytomierzem wieś Wierzchowiska i tam z młodą żoną osiadł *). W rzeczy samej zaś Pustowojtow nie miał za co kupić majątku ziemskiego, a owe Wierzchowiska były własnością hr. Kossakowskiej i leżały pod Lublinem. Pani Pustowojtow była właścicielką części wsi kolokacyjnej Synhury pod Żytomierzem i tu zapewne czas jakiś rodzina przemieszkiwała. Pan major, ożeniwszy się, nie zmienił swego usposobienia, ani charakteru, ani upodobań; grywał i hulał po dawnemu do tego stopnia, że doszło do nieporozumienia z pułkownikiem i z tej racji, jak się zdaje, Pustowojtow przeniósł się do pułku irkuckiego.

Nierówny i ciężki charakter ojca był niewątpliwie przyczyną nieporozumień rodzinnych, a wkońcu rozstania się małżonków. Tak przypuszczać należy, gdyż potomstwo, składające się z dwóch sióstr i brata, zostało na opiece babki Kossakowskiej, mieszkającej w Lublinie. Pustowojtow odewłał się od rodziny, wyjechał do Petersburga i w randze generał-majora jeszcze przed powstaniem życie zakończył.

Jakiej religji była Pustowójtówna i jak jej było na imię?

*) M. Berg (O polskich zagovorach i wozstaniach t. III. 26). Tego nazwiska wsi jednak pod Żytomierzem ani w najbliższej okolicy niema. Jest tylko W i e r z c h n i a R u d n i a pod Trojanowem.

Podnoszę tę sprawę dlatego, że tutaj następują się wątpliwości trudne do rozwiązania. Rosjanie uważają ją za prawosławną, na tej zasadzie, że już w r. 1836 istniał ukaz, mocą którego dzieci urodzone z mieszanych małżeństw powinny być ochrzczone według obrządku wschodniego. Sama miała się za Polkę wyznania katolickiego, jak świadczy wypis z metryk konsystorza łucko-żytomierskiego, potwierdzony przez biskupa Borowskiego, ale cofający datę urodzenia Pustowójtówny aż do r. 1832, t. j. do czasu, gdy jeszcze dzieci z mieszanych małżeństw szły: córki za religią matki, synowie — ojców. Może być, że metryka rozmyślnie cofnęła datę wstecz, ażeby dogodzić życzeniu osoby, wychowanej niewątpliwie w religji katolickiej i pragnącej tę religję wyznawać. Niejasność panuje także co do imienia. Babka, rodzina, znajomi i sama wreszcie przyznawała sobie imię Henryki, gdy Berg, a za nim inni, nazywają ją Anną. We wspomnianym już wypisie z aktów konsystorza wymieniono podwójne imię: Anna-Henryka.

O siostrze i bracie jej nic nie wiadomo. W roku 1863 ci, którzy siedzieli w fortecy kijowskiej na głównym odwachu, pamiętają, że od czasu do czasu obejmował wartę kapitan Pustowójtów (nie wiem, z jakiego pułku), a zapewne w innych pawilonach fortecy, gdzie więźniowie siedzieli, także służbę odbywał. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, silnie zbudowany, ciemny szatyn, trochę szpakowaty, z brodą, o nachmurzonym obliczu i nasępionych brwiach, co nadawało jego twarzy wyraz surowy. Bali się go żołnierze i więźniowie. Żołnierze, bo za każde przewinienie ostro karał, a więźniowie — bo bardzo nie lubił Polaków i uciskał więźniów w najrozmaitszy, często brutalny sposób. W czasie wieczornej rewizji wchodził osobiście z podoficerem do celi więźniów, sam przeglądał książki i najdrobniej-

sze sprzęty, jakie były w celi, a podoficerowi kazał targać kraty dla przekonania się, czy nie są podpiłowane. Nienawidzono go za to wszystko serdecznie. Opowiadano, że był bratem Henryki Pustowojtów. Może surowością osobistą starał się zmyć winę pokrewieństwa z buntownicą?

Co się stało z drugą siostrą i z owym bratem — nie wiadomo, dość, że od roku 1861, t. j. od chwili, kiedy imię Pustowójtówny poczęło być głośnem, mowa bywała tylko o niej, jakgdyby brat i siostra nie istnieli lub wychowywali się osobno. Widocznie w domu państwa Pustowojtów wpływy matki przeważały, a w rodzinie panował akcent polski, gdyż dziewczynkę oddano dla kształcenia się do instytutu żeńskiego w Puławach. Weszła ona do tej szkoły doskonale przysposobiona do dalszej nauki.

Ówczesny instytut kształcenia pańienek szlacheckiego pochodzenia — w siedzibie niegdyś książąt Czartoryskich — cieszył się rozgłosną sławą. Było tam przeszło 300 Polek i zaledwie 50 Rosjanek. Nic dziwnego, że Rosjanki, córki wysokich urzędników w Królestwie Polskiem, otoczone atmosferą polską w pensjonacie i same wśród tej atmosfery wychowane, przy całej swojej odrębności narodowej i religijnej, nie okazywały względem koleżanek ani fanatyzmu, ani nienawiści plemiennej. Był to zakład wychowawczy polski, dla Polek, w którym przeto Rosjanki jak cudzoziemki poniekąd chowane były. Językiem wykładowym był polski, rosyjski wykładano tylko jako przedmiot osobny, jako język obcy, raz na tydzień. Jak wogóle przy wychowaniu kobiet dotychczas się dzieje, tak i wówczas tem bardziej zwracano uwagę na znajomość obcych języków i na ćwiczenia praktyczne; rosyjski zaś do zbyt ukształconych jeszcze się nie zaliczał i nie posiadał literatury, któraby zasługiwała na to, ażeby znajomość jego z trudem zdobywać.

Kobiety zresztą, nie przeznaczone do życia publicznego, mogły doskonale obywać się w Królestwie bez znajomości języka rosyjskiego.

Wpływ ojca na charakter Henryki był bezbarwny, a ograniczał się jedynie na przymuszaniu dziecka do chodzenia do cerkwi. Już wówczas w dziewczynie okazywała się pewna stanowczość i samodzielność: chodziła wprawdzie z jakąś rosyjską damą do cerkwi, ale bardzo niechętnie i głośno tę niechęć manifestowała. „Nie rozumiem — mówiła — dlaczego mnie męczą!“ Odzywała się w niej krew nie ojca, lecz matki.

Śród takich warunków ukończyła instytut w Puławach i wróciła do rodziców — do Żytomierza. Zamieszkanie państwa Pustowojtów w Żytomierzu zapewne miało na celu ułatwienie wydania zamąż córek lub córki. Było to miasto wówczas nawskróś polskie, gdzie dużo rodzin obywatelskich z prowincji zamieszkiwało dla kształcenia synów i córek, a nie brakło i takich, którzy szukali zabawy. Huczno i wesoło bawiono się w mieście, gdy w roku 1859 lub 1860 wróciła do domu rodzicielskiego Henryka. Była to wówczas dziewczyna, która powszechną uwagę na siebie zwracała zarówno salonowem wykształceniem jak i powierzchownością. Miała kasztanowate włosy, czarne wymowne oczy i twarz pełną wyrazu, przytem była obdarzona pięknym głosem, wcale ładnie śpiewała i grała na fortepianie.

Znalazłszy się w sferze osób rozbawionych, otoczona wkrótce rojem młodzieży, która się w niej kochała kolejka, sama wpadła w wir wesołych zabaw. W domu jej rodziców pełno było takiej młodzieży polskiej i rosyjskiej. Jakiemuś oficerowi, o którym powiada Berg, że „namiętnie walczył z Polakami w Płockiem“, tak głęboko zajrzały w duszę czarne oczy Pustowojtówny, że chciał się z nią zenić.

Odmówiła mu jednak. Był to okres silnego i wielkiego rozbudzenia się narodowego. Odmówiwszy, w r. 1861 wyjechała do Lublina, gdzie mieszkała jej babka Kossakowska.

Chwilę tę należy uważać za przełomową w jej życiu.

Ze świata zabaw i rozrywek wstąpiła może po raz pierwszy na pole zadań szerszych i głębszych i poczuła się częścią tej wielkiej całości narodowej, która drgnęła nagle nowem życiem, od tej prawie chwili, kiedy z całą stanowczością utrwał się dogmat: niema dla was życia poza Rosją. Czując się Polką wychowaniem, religją dobrowolnie wybraną, uczuciem wreszcie i myślami, nie mogła stać na uboczu w pochodzie ku nowej zorzy wolności narodu. Nastroj patriotyczny ogarniał i dom babki panny Henryki, lecz donioślejszy wpływ wywarł stosunek z panią Pluszczyńską, żoną urzędnika wprawdzie, lecz Polką duszą i ciałem, oddaną zupełnie wielkiej idei odrodzenia się moralnego narodu, przez którą miała prowadzić droga do odzyskania samodzielności politycznej. Myśl ta, jak wielka i jasna gwiazda, świeciła przed oczyma wszystkich; wiara w możliwość urzeczywistnienia jej była powszechną i niezachwianą; kiedy to nastąpić miało, nikt narazie nie pytał. Zapał religijny uniesienia na tle jakiejś mistycznej wiary udzielał się wszystkim w imię idei, jak niegdyś zapał do odebrania Grobu Chrystusa. Napięcie mistyczno-religijne było olbrzymie. Ludzie wierzyli, że z krzyżem w ręku można dążyć ku idealnym wyżynom ducha i siłą moralną usunąć materjalne zapory na drodze do samodzielnego życia politycznego. W tym nastroju, w tych dążeniach było coś wzniosłego i wielkiego, ale pozbawionego gruntu realnego. Wierzono tylko i łudziło się wiarą, a braku oparcia realnego nikt prawie nie spostrzegał. Złudzenia i nastroje poczęto później dopiero przerażać na plany, mające wkrótce przybrać kontury rzeczywistości.

W ten świat idealno-mistycznych złudzeń, od zabaw i zalotów, weszła Pustowójtówna w Lublinie. Wprowadziła ją Pluszczyńska. Idee poświęcenia się i miłości ojczyzny popchnęły ją za biegiem wielkiej fali narodowej i podniosły na wyżyny zaparcia się i poświęcenia. Wraz z Pluszczyńską należała do gorących organizatorek wszelkich protestów na drodze mistyczno-religijnych wzlotów ducha ku ideałowi pokory i poddania się woli Bożej, z wiarą, że temi środkami zdołamy, jeżeli nie zwyciężyć zupełnie, to upokorzyć Rosję. Żądano ledwie nie cudu dla wyzwolenia ziemskiej ojczyzny. Nie tu miejsce mówić, w jaki sposób powstał i rozwinął się do niesłychanej potęgi ten okres naszych dziejów przed walką r. 1863, który nazywamy manifestacyjnym. Dość, że ogarnął on wszystkie części dawnej Polski, wszystkie uczucia i myśli polskie skupił w jedno i spoił duchowo z niesłychaną przedtem siłą moralną. Było to potężne wzniesienie się duchowe całego narodu, niedocenione dotychczas, a lekceważone przez tych, którzy siebie nazywają niesłusznie „trzeźwymi“, gdyż są raczej ludźmi wyziębionymi przez życie lub cele jego, zbyt samolubne i niedalekie.

W tym okresie manifestacyjnym Pustowójtówna brała gorący udział, uczęszczała na nabożeństwa publiczne, uczestniczyła w procesjach, śpiewała hymny w czasie nabożeństw, a żywości swego temperamentu i płynącej stąd przesadzie, jako też rozmyślnemu wysuwaniu się naprzód zawdzięcza dużą popularność. Można ją było często widzieć w owym czasie przebraną za wiejską dziewczynę, z długimi warkoczami na ramionach, w które wplecione były wstążeczki o trójkolorowych barwach narodowych. Jenerał Chruszczow, ówczesny naczelnik wojskowy okręgu lubelskiego, przywoławszy ją wprost do siebie, powiedział: „że córce jenerała

rosyjskiego nie przystoi brać udziału w manifestacjach polskich“, — ale uwagi te nie mogły powstrzymać jej na drodze patriotycznych uniesień. Czuła się Polką i działała jak Polka, a 25 lipca 1861 uczestniczyła ostentacyjnie w procesji z Lublina do Garbowa.

Wkrótce potem nastąpił wypadek, który popularność jej jeszcze bardziej spotęgował. 31 lipca tegoż roku przypadła rocznica unji Litwy z Polską. W Lublinie postanowiono urządzić manifestację, tem bardziej, iż tam właśnie tę chwilę wielką uczczono już pomnikiem.

Postanowiono urządzić manifestację — bardzo zresztą niewinną, bo na pomniku miano zawiesić kilka wieńców, a u podnóża złożyć kwiaty. Gorącą agitatorką w tej całej sprawie była także Pustowójtówna. Wieczorem, korzystając z pięknej pogody, na skwerze zebrały się tłumy ludności, ale pomnik zastano w oblężeniu: tuż pod obeliskiem stał generał Chruszczow ze sztabem, w otoczeniu licznie zebranych policjantów, którzy razem ze sztabem generała przeszkadzali dostępowi do pomnika. Zawieszenie wieńców okazało się niemożliwem, ale natomiast wszystkie kwiaty rzucono u podnóża — policji i Chruszczowa. Ponieważ Pustowójtówna była na czele manifestującej publiczności, przebrana za wiejską dziewczynę, generał zdał o tem zdarzeniu raport do Warszawy namiestnikowi. Nie znamy całej treści tego raportu, musiał on być bardzo nieprzychylny dla panny Pustowójtówny, gdyż w sierpniu 1861 r., nadeszło rozporządzenie wysłania jej z żandarmami do Moskwy i osadzenia w klasztorze.

Minęło kilka dni. Ani pani Kossakowska, ani Pustowójtówna nie brały tego rozporządzenia na serjo i żadnych przygotowań do drogi nie robiły. Dnia 28 (16) sierpnia zajechała przed dom kibitka z żandarmami i oficerem, kapi-

tanem Globbe, a wkrótce przybył Chruszczow i oświadczył, że daje tylko dwie godziny czasu do spakowania się. Wówczas babka zdecydowała się towarzyszyć wnuczce. Kibitka, żandarmi, hałas i wrzawa ściągnęły w to miejsce mnóstwo ludzi. Rozpoczęły się sceny zwykłe w takich razach — głośne objawy niezadowolenia, żale, skargi, a nawet łzy. Sytuacja była napięta i groziła awanturą. Pustowójtówna zachowała w tej chwili cały spokój ducha. Wyszła na ganek i zwróciwszy się do tłumu, prosiła o spokojne zachowanie się. „Ja poddam się losowi, jadę. Tak trzeba“ — rzekła. Siadając do kibitki, rzuciła w tłum chustkę, którą łzy ocierała. Chustkę w jednej chwili rozszarpano na kawałki. Nie było w tem teatralności ani pozowania. Zachowanie się jej było zgodne z nastrojem chwili. Kibitkę obrzucono kwiatami.

Taki był wyjazd. Z pierwszej stacji pocztowej pani Kossakowska wysłała do namiestnika prośbę o powrót do Lublina. Podróży jednakże przerwać nie można było. Obie zatrzymały się dopiero w Kowlu z powodu choroby panny Henryki. Świadectwo lekarskie głosiło, iż miała zapalenie płuc — co wymagało długiej i pilnej kuracji. Świadectwo było urzędowe, a przy badaniu chorej był obecny także policjant — „horodniczy“ Białeckci. Świadectwo podpisane zostało przez trzech lekarzy: miejskiego Łotoszyńskiego, jakiegoś o niewyraźnem nazwisku okręgowego i lekarza sztabowego Goldenmana.

W tym czasie nastąpiła zmiana namiestnika. Po usunięciu Suchozaneta rządu objął hr. Lambert, Francuz w służbie rosyjskiej — katolik i człowiek miękki. Jednocześnie wysunięto sprawę wyznania Pustowójtówny. Po przeprowadzeniu badań w konsystorzu łucko-żytomierskim okazało się, że jest wyznania katolickiego. Uważano przeto za zgorzienie wysyłanie katoliczki do prawosławnego klasztoru.

Wobec tego namiestnik wydał polecenie Chruszczowowi, ażeby Pustowójtównę zatrzymał w Żytomierzu, w domu matki. Ojciec, jeżeli i żył, mieszkał w owym czasie w Petersburgu. Po otrzymaniu polecenia Pustowójtówna pojechała już wprost do Żytomierza.

Zmiana należenia — że tak powiem — do innego wielkorządztwa nie zmieniła sposobu postępowania Pustowójtówny. Żytomierz był miastem nawskróś polskiem — i poczuwał się do solidarności w sprawach narodowych, w których rej wiodła Warszawa. Henryka znalazła przeto tutaj te same warunki życia i ten sam nastrój patriotyczny, a otoczona aureolą prześladowania, stała się wkrótce równie popularną, jak w Lublinie. Brała przeto bardzo rozgłośnie udział nie tylko w manifestacjach religijnych, stając się gorącą agitatorką, lecz także czynnie występowała przy wszelkich protestach przeciw gwałtom absolutyzmu policyjnego. Do najgłośniejszych należało postawienie krzyża za pięciu poległych w Warszawie.

Książę Wasilczykow, ówczesny generał-gubernator kijowski, podolski i wołyński, wprost odniósł się do cesarza Aleksandra II z zapytaniem: co ma robić z tą niespokojną swawolnicą („prokaznica“)? Z Petersburga nadeszło powtórzenie polecenia, znanego już nam z Lublina: nakazano ją wysłać do jednego z monasterów żeńskich w Moskwie, pozostawiając metropolicie Filaretowi prawo wskazania, w którym mianowicie klasztorze ma być zamkniętą. Tym razem zaproponował metropolita, nie chcąc korzystać z nadanego mu prawa, a w odezwie do Petersburga bardzo ubolewał nad tem, że rząd Moskwę mianowicie — taką prawowierną i świętą — wybrał na miejsce wygnania dla jawnej buntownicy, niepowściągliwej we wszelkich polskich demonstracjach. Opinia metropolity przeważała, więc polecono ją zamknąć w mo-

nasterze żeńskim Troicko-Bielbaskim metropolji kostromskiej.

Nic dziwnego, że wobec takiej sytuacji próbowano wszelkich środków ratowania się. Przymusowe zamykanie w klasztorach w Rosji równa się zawsze skazaniu na śmierć — mniej lub więcej powolną. Matka tedy zrozpaczona zdecydowała się podać prośbę na imię cesarzowej i wysłała ją rzeczywiście dnia 1 grudnia st. st. 1861, oświadczając, że córka ma suchoty i że zdrowie pogorsza się codziennie. Prośba znalazła w Petersburgu prywatne poparcie i odniosła ten skutek, że polecono wstrzymać wyjazd Pustowójtówny do wiosny, a tymczasem pod cichym i ciągłym dozorem policyjnym mieć ją na oku.

Pustowójtówna nie doczekała się wszakże wiosny i umknęła zagranicę.

W ten sposób zamknął się pierwszy okres jej życia. Drugi rozpoczął się z chwilą wzięcia czynnego udziału w pracach przygotowawczych do powstania, zanim na pole orężnej walki wystąpiła.

W jaki sposób i przy czyjej pomocy dokonała się ucieczka zagranicę Pustowójtówny, mało o tem wiemy. Takie sprawy zresztą wychodziły najaw dopiero wówczas, gdy już nikomu z żyjących szkodzić nie mogły, a często wraz ze śmiercią osób interesowanych ginęła i tajemnica.

W czasie pobytu swego w Żytomierzu i głośnego udziału w manifestacjach zetknęła się ona ze Stefanem Bobrowskim, który wkrótce urósł na głównego kierownika powstania. Nie mógł on wreszcie nie zwrócić na nią uwagi, gdy całe miasto powtarzało jej imię. Gdy się zbliżała wiosna, a zatem miał się spełnić wyrok wydany na Pustowójtównę, pozostawały tylko dwie drogi do wyboru: ucieczka albo pod-

danie się wyrokowi. Pustowójtówna wybrała ucieczkę. Stefan Bobrowski był wówczas zajęty zorganizowaniem ucieczki Kryłowskiego z Żytomierza, którą wkońcu do skutku doprowadził. Zarządziwszy wszystko, wrócił do Kijowa przed samymi kontraktami roku 1862. Tymczasem zaszedł wypadek dla niego bardzo groźny, o którym tutaj kilkoma słowy tylko wspomnieć wypada. Było to odkrycie przez policję kijowską tajnej drukarni, aresztowanie jej kierownika i polecenie aresztowania Bobrowskiego. Los tylko zrządził, że owej fatalnej nocy aresztowany nie został. Skorzystał z tego i ukrył się, ażeby zagranicę umknąć, a w owym ukryciu w Kijowie myślał jeszcze o uratowaniu Kryłowskiego.

W końcu lutego, a prawdopodobniej na początku marca opuściła Pustowójtówna wraz z Kryłowskim Żytomierz i przechowywała się tajemnie, czekając stosownej pory do ucieczki zagranicę. Prawdopodobnie zdążyła ona ku granicy mołdawskiej, gdyż w Werbce*) o mało jej nie dopędzili żandarmi. Stało się tak, że do Werbki, w której pisarz gminny należał do organizacji, przyjechał jeden z uczestników organizacji podolskiej dla wzięcia kilkunastu fałszywych paszportów. Paszporty takie wydawało się zwykle na imię osób już nieżyjących, a że były zaopatrzone zupełnie legalnymi pieczęciami i podpisami, nie budziły żadnej podejrz-

*) Relację tę mam z ustnego opowiadania naocznego świadka i uczestnika opisanej awantury, p. (Wróblewskiego). Mowa tu według wszelkiego prawdopodobieństwa o Werbce w pow. Kamieniec-Podolskim, majątności Raciborowskich. Chociaż i Werbka położona w pobliżu Dniestru, na granicy pow. Jampolskiego i Olhopolskiego, mogła być tą samą, przez którą przejeżdżała Pustowójtówna. Zważywszy jednak, że przez pierwszą Werbkę szedł trakt, obsadzony przez organizację, dla wszystkich uciekających zagranicę, tej właśnie Werbce należy oddać pierwszeństwo.

liwości władz policyjnych. Przyjezdny siedział na ganku i rozmawiał z pisarzem.

W tym czasie właśnie przejechała w trójkę koni zaprzężona „powózka“, w której siedziały trzy osoby; w jednej z tych trzech przyjezdny poznał Pustowójtównę, którą znał osobiście, ale pisarzowi ani słówka nie powiedział. Po pewnym czasie tą samą drogą nadjeżdżał drugi pojazd, z żandarmami. Gdy go p. W. dojrzał, domyślił się łatwo, że to pogoń. Wówczas odezwał się do pisarza: „Słuchaj pan, tą bryczką, którą widzieliśmy, pojechał ktoś, o kim żandarmom wiedzieć nie należy; jeżeli nas będą pytali, powiemy, że pojechali w przeciwną stronę“. Pisarz poszedł do kancelarji, p. W. został na ganku. Jakoż wkrótce zajechał tarantas z żandarmami. Wsiadł oficer i wprost do siedzącego p. W. zwrócił się: „Pan tutejszy?“ — „Ja taki jestem tutejszy, jak i pan“ — odpowiedział mu hardo. Żandarm zmiękł trochę i znowu zapytał: „Czy nie przejeżdżało tędy troje ludzi tarantasem we trójkę zaprzężonym?“ — „I owszem, przejeżdżali — widziałem.“ — „A w którą stronę pojechali?“ Pan W. ręką wskazał w przeciwnym kierunku i rzekł: „Tędy“. — Ta sama indagacja powtórzyła się z pisarzem. Żandarmi pojechali i — nie dopędzili Pustowójtówny.

Miała ona zamiar udać się wprost do Rumunji — i nie bez racji. Już wówczas zapewne powzięła zamiar wstąpienia w szeregi powstańcze, a po całej Ukrainie, Wołyniu i Podolu szło rozgłośne echo o formowaniu legjonów polskich w Rumunji przez Zygmunta Miłkowskiego, mieszkającego stale w Michalenach; echo to wzrosło, gdy Tymczasowy Rząd Narodowy nadał mu tytuł naczelnika i organizatora sił zbrojnych trzech powyższych prowincyj.

W tamtą stronę tedy podążyła Pustowójtówna. Było to wczesną wiosną, lody co tylko zaczęły puszczać, roztopy

śniegowe niezmiernie utrudniały podróż. Pomimo to wszystko zdołała dotrzeć do Prutu. Tu przeprawa okazała się narazie niemożliwą. Musiała więc czas jakiś czekać, wśród niebezpieczeństwa wykrycia i aresztowania, sposobniejszej pory. Upatrzwszy ją wreszcie, przeprowiono się wśród ciemnej nocy, z największym niebezpieczeństwem życia, przez Prut do Michalen, wprost do mieszkania pułkownika Miłkowskiego. Miłkowski miał tam wówczas stałą siedzibę swoją, o ile o stałości w takich niespokojnych czasach może być mowa. Właśnie rok przedtem prawie ożenił się z córką właściciela Czortkowa i kilku sąsiednich folwarków, Zofją Wróblewską; prowadził przeto dom familijny. Tam więc Pustowójtówna, w tej nieznaney dotychczas rodzinie, znalazła przytułek i pierwszą pomoc.

Nie posiadając ani funduszków na dalszą podróż, ani zresztą potrzeby podejmowania owej podróży, gdyż był to okres przygotowawczy organizacji, mającej na celu zbrojne powstanie, Pustowójtówna zamieszkała narazie w Michalench, w domu państwa Miłkowskich. Dom ów był ogniskiem skupiającem wszystkie gorące żywioły, rozproszone po całej Europie, wygnane z miejsca bądź chęcią walki, bądź niebezpieczeństwem deportacji wgłąb Rosji. Wszyscy, którym sprawa ojczyzna na sercu leżała, przesuwali się przez Michaleny, dłużej lub krócej tam się zatrzymując. Zaglądał tu także i Stefan Bobrowski, jeden z najdzielniejszych ludzi, jakich podniesienie się ducha narodowego wydało. Pustowójtówna stykała się ze wszystkimi, wiodąc gorące dysputy. Młoda, zapalona, zalotna trochę, mimowoli może budziła nie w jednym młodzieńcu żywsze uczucia miłości. Miano jej to za złe, co było raczej nie tyle winą, ile brakiem panowania nad sobą, może brakiem powagi, a niewątpliwie najwięcej wpływało z chęci pozyskania popularności.

Przybywał wówczas w Michalenach, przejazdem tylko bawiąc, brat pani domu Władysław Wróblewski, człowiek gorącej duszy i, acz niepiękny, odznaczający się wysokimi przymiotami osobistymi. Wkrótce też wybuchła prawdziwa miłość, która byłaby doprowadziła młodą parę do ołtarza, gdyby nie opozycja pani M. Patrzyła ona zbyt blisko we własnym domu na zachowanie się Pustowójtówny i upatrywała w niej — słusznie, czy nie — wadę kokieteryj i chęci podobania się wszystkim. Przymioty te, dobre na pannę salonową, ale złe na żonę, skłoniły p. M. do interwencji, która zakończyła się zaniechaniem zamiaru przez Władysława Wróblewskiego. Działo się to pod jesień, a w styczniu wybuchło powstanie, które w wir swój porwało także Pustowójtównę.

Zachowanie się jej w Lublinie i Żytomierzu, popularność, śmiała ucieczka, zwróciły na nią uwagę Rosji, tem bardziej, że krążyły o niej najrozmaitsze pogłoski. Stała się ona pewnego rodzaju mitem, koło którego grupowały się mniej lub więcej prawdopodobne legendy. Szukano jej wszędzie, nawet w Odesie, a policja nadstawiała ucha, czy gdzie wieści o niej nie zasłyszysz. Oprócz pewnych wiadomości co do pobytu jej na Wołoszczyźnie, w domu państwa Miłkowskich, szczegółów do jej życia z tego okresu braknie. Zresztą czynnej roli nie odegrała żadnej, gdyż w stosunkach osób, które zajęły później wybitne stanowisko w ruchu roku 1863, wzmianki o niej nie znajdujemy.

III.

Wreszcie wybuchło powstanie — i tu dopiero Pustowójtówna znalazła miejsce stosowne dla swojej energii i temperamentu. Przyłączyła się pod Szydłowcem do oddziału późniejszego generała Langiewicza i przebyła z nim

całą kampanję. Rola jej na tem stanowisku była niezmiernie trudna: wszyscy wiedzieli, że jest kobietą, a jednak potrafiła sobie wyrobić taką powagę u współtowarzyszy broni, że poza stosunek stałej koleżeńskiej etykiety nikt posunąć się nie śmiał. Była adjutantem Langiewicza — i z tego powodu szeptano sobie na ucho niejedną plotkę, ale nie był to czas na plotki romansowe i romanse. Nie było na to ani miejsca, ani sposobności. Zawsze w obozie, w tłumie, w pochodach uciążliwych i długich, w ustawicznych starciach się z oddziałami Moskwy, w gonieniu lub uciekaniu od nieprzyjaciela nie było miejsca na gruchania miłosne. I jakkolwiek sama myśl późniejszego dyktatora wzięcia jej do swego boku jako adjutanta była dość oryginalna i narażała ją i jego na obmowy, pokazało się jednak, iż roztropnością, walecznością osobistą i wytrwałością stanowisku temu odpowiadała zupełnie *). Ciesząc się dobrem zdrowiem, zno-

*) Pozwalamy sobie dołączyć tu piękny list pani Z. Miłkowskiej p. t. „W obronie bohaterki“, zamieszczony w „Słowie Polskiem“ Nr. 82 z 19 lutego 1903, z powodu ukazania się „Dyktatora“ przez J. Żuławskiego.

„Smutnego doznałam wrażenia, przeczytawszy sprawozdanie z przedstawienia dramatu „Dyktator“.

Po przeczytaniu sformułowało się w myśli mojej pytanie: Czy godziło się wywlekać z grobu postać do tak niedawnej należąca przeszłości? Czy godziło się w oświeceniu plotek i bajań pod pręgierzem stawiać bohaterkę powstania, która przejście swoje przez krwawy dramat dziejowy, bez względu na to, jakie były inne jej zalety i wady, zaznaczyła gorącą miłością ojczyzny i bezgranicznem poświęceniem?

Była piękną i młodą, w położeniu zupełnie różniącym się od stanowiska, jakie panny jej sfery zajmują, otoczone tłumem uwielbiającej je młodzieży. Złe języki szerokie przeto miały do szarpania jej sławy pole. Szarpały one tak samo Kościuszkę, później Emilję Plater. Żaden jednak poeta ani dramaturg ówczesny nie zbeczcześcił, na mocy plotkarskich dokumentów, panny Plater, nie śmiał tknąć Kościuszki.

siła uciążliwe przechody wojskowe głuchemi i lichemi drogami bardzo wytrwale; deszcze, błoto, po kolana niekiedy, nie szkodziły jej wcale. Ciężkie i niepewne jutra życie obo-

Dziś nie istnieją względy czci dla bohaterów przeszłości. Grzebie się poeta w jakichś zakulisowych dokumentach, o których my współcześni na widownię sceniczną wywleczonej kobiecy nic nie wiemy, a pomija fakty, świadczące o jej szlachetnej duszy, o przysmółach, które serca ludzkie dla niej jednały.

Nie wiem, o ile wymyślona w dramacie „Dyktator“ romansowa intryga ma jakikolwiek podkład prawdopodobieństwa i na jakich spoczywa podstawach, a chociaż miewaliśmy z pola walki bezpośrednie wiadomości, o rzekomym romansie dyktatora nic nie słyszeliśmy. Natomiast rzeczą jest pewną, że bohaterka dramatu jedna z pierwszych na pole pośpieszyła i wytrwale, póki jej sił starczyło, służbę pełniła. Mimo niewieściej natury, mimo nerwów, wyrobiła w sobie podziw wzbudzającą odwagę.

Jesteśmy przekonani, że ta postać mogła i powinna była zupełnie inaczej, a zgodnie z prawdą, w narodowym zajaśnieć w dramacie, w dramacie ku uczczeniu 40-ej rocznicy. Ku uczczeniu?... Jakaż to smutna ironja!...

Znalazszy się po pogromie w Paryżu, bohaterka nasza nie wpadła na myśl wykorzystania na własny pożytek rozgłosu, jaki otaczał jej imię. Nie tracąc czasu, jęła się zarobkowej pracy, a że była nadzwyczaj zręczną i pracowitą, wiodło się jej w sztucznych kwiatów robocie; stanęła niezależnie, lecz zawsze chętnie dzieliła się zarobionym groszem z potrzebującymi. Prowadziła się wzorowo, otoczona sympatją rodaków, entuzjastycznie wielbiona przez starszka Rettla, dziejopisarza i towiańczyka.

Wkrótce usłyszeliśmy, że została żoną doktora L. Po kilkoletnim małżeńskim pożyciu zgasiła młodo i niespodziewanie na udar sercowy. Okryła żałobą męża, osierociła drobne dzieci, zostawiając po sobie wspomnienie dobrej matki i żony.

A gdy nie spopieliały jeszcze jej kości, gdy żyje jeszcze jej pamięć w sercach rodziny i przyjaciół, godziło się zdzierać z tej postaci poetyczny otaczający ją urok? Godziło się, żeby to uczynił — poeta?...

Zurych, w lutym.

Zofja Miłkowska.

zowe znosiła wytrwale i bez szemrania, a jakie to było życie, ci tylko zrozumieć mogą, którzy sami niem żyli pod grozą kul. Nieregularna dostawa pożywienia do obozu czyniła je zależnem od przypadku, a częściej trzeba było walczyć z brakiem chleba, niż opływać w dostatki. Niewybredność jej i tu się okazała godną podziwu: spała, gdzie sen ją rzucił, najczęściej na gołej i wilgotnej ziemi, jadła byle co — najczęściej zadowalała się paroma pieczonemi przy ogniu obozowym kartoflami. Zdarzyło się raz, że straciwszy od kuli konia, ośmnaście mil wędrowała wraz z innymi piechotą — bez skarg i narzekań. Taki hart fizyczny, takie znoszenie spokojne ciężkiej równości żołnierskiej jednalo jej zasłużony szacunek. Zapominano, że pod krakowską czapką i kożuszkim bije serce kobiety. Widziano w niej dobrego kolegę, pełnego poświęcenia i wytrwałości żołnierza.

Wszędzie prawie nieodstępnie towarzyszyła Langiewiczowi. Partyzantka, czyli — jak ją Langiewicz nazywał — „latanie“, nie podobała mu się. Dążył on do utworzenia wojska regularnego, ufny nie tyle we własne siły, ile w miłość własną. Urzeczywistnienie tej myśli było narazie niemożliwe, czemu jednakże Langiewicz nie bardzo wierzył. Pierwszą próbą do utworzenia jakiegoś większego oddziału, któryby do armji miał podobieństwo, była chwila połączenia się jenerała z oddziałem pułkownika Jeziorańskiego. Wracał on wówczas z gór Świętokrzyskich, przedzierał się ku południowi i stanął obozem w blisko tysiąc ludzi pod Małogoszczem. W tej samej okolicy, w milę niespełna od Małogoszcza, w Ropocicach, w pobliżu obszernych ropocickich lasów, stał obozem pułkownik Jeziorański. Langiewicz przyjechał do obozu Jeziorańskiego i zaproponował mu zjednoczenie sił. Propozycja, połączona z pewnego rodzaju rozkazem Rządu Narodowego, przyjęta została. W misji tej

Langiewicza uczestniczyła także Pustowójtówna, która wraz z jenerałem i księdzem Kotkowskim do obozu Jeziorańskiego przyjechała. — Ksiądz był naczelnikiem cywilnym województwa krakowskiego, a wkroczenie w to województwo Jeziorańskiego oddawało go niejako pod komendę jenerała.

Gdy połączenie się dwóch oddziałów, nie bez niechęci Jeziorańskiego i jego sztabu dokonane, nastąpiło, nadeszły również wiadomości, że Rosjanie ściągają siły z Kielc, Jędrzejowa i Chęcina, aby na polskie oddziały uderzyć. Przy planie obrony zarysował się ukryty antagonizm dowódców. Jeziorański odradzał przyjęcia bitwy w kotlinie małogoskiej; przeciwnie, radził rozdzielić siły na cztery części, przez co mógłby uzyskać łatwiej wyżywienie żołnierza i rozbudzenie większego ruchu powstańczego przez drobne oddziały. Langiewicz utrzymywał, że chce bić nieprzyjaciela, ażeby stworzyć armję, i na rozdział sił nie godził się.

D. 24 lutego Rosjanie nagle zaatakowali Małogoszcz. Bitwa ta, jakkolwiek uchodzi za wygraną przez Langiewicza, była bardzo smutną wygraną. Przedewszystkiem zaznaczył się antagonizm dowódców: sztab Jeziorańskiego bokiem patrzył na sztabowców Langiewicza, a we wspólnej akcji wobec wroga obaj ambitni dowódcy dopomagali sobie — gdy chcieli — z grzeczności. Kawalerja Jeziorańskiego nie służyła rozkazów Langiewicza i niewątpliwie to samo działo się odwrotnie. Był to bolesny obraz niesubordynacji żołnierzy, z których każdy chciał być co najmniej jenerałem i nie pozwalał snuć dodatnich wniosków na przyszłość.

Popłoch wśród naszych szeregów wszczął się ogromny. Gdy Rosjanie wpadli w środek miasta — nasi poczęli się cofać. Pustowójtówna, siedząc na małym kasztanowatym koniku, z pałaszem w ręku, gorącemi słowy wzywała, ażeby szli naprzód. Wielu zawstydzonych jej słowami—

pisze świadek współczesny — wróciło. Wejście w środek miasta piechoty pod dowództwem Śmiechowskiego dało przewagę naszym i Rosjanie po godzinnej walce zaczęli cofać się, podpaliwszy miasto. Mały park artylerji naszej robił także podobno szkody Rosjanom, ale gdy w czasie przeprowadzania jej na inną pozycję pod armatkami zabito trzy konie, Rosjanie rzucili się na nie i byłiby niewątpliwie zdobyli, gdyby z pomocą nie pośpieszyli kosynierzy. Oni — straszni zawsze dla Moskwy — uratowali armatki i zakończyli owo smutne, bezplanowe zwycięstwo. Rosjanie mieli wówczas 6 tysięcy żołnierza i 12 dział, a nasi 3 tysiące żołnierza i 3 działka wiwatowe. Dzielność żołnierza, lecz nie rozum wodzów odniósł zwycięstwo.

Mała armja odstąpiła już nieatakowana.

Sforsowany marszami, bitwą, utarczkami z moskiewskimi rekonesansami, żołnierz Langiewicza potrzebował gwałtownego odpoczynku. Zatrzymano się przeto obozem pod Pieskową Skąłą dnia 2 marca. I tu powtarzały się gorszące sceny niesubordynacji wojskowej. Oficerowie Jeziorańskiego, gdy otrzymali od Langiewicza nominacje na wyższe stopnie, żądali kontrasygnowania przez swego najbliższego naczelnika, utrzymując, że to do Langiewicza nie należy; a gdy 4 marca Rosjanie również nagle zaatakowali obóz polski, a część ich wojska brała tyły naszym oddziałom, Jeziorański nie przeszkadzał temu, utrzymując, że to należy do Langiewicza. Dopiero po wahaniu się pewnem zaatakowano Moskwę i szalę zwycięstwa przeważono na naszą stronę. Właściwie w takich utarczkach nie może być mowy o zwycięstwie, tak ono bywało zwykle niezdecydowanym i niewyraźnem.

Dzieje udziału Pustowójtówny w walce o niepodległość związane są ściśle z losem Langiewicza. Towarzyszyła mu

ona wszędzie, we wszystkich bitwach, dając dowody zarówno odwagi osobistej jak i roztropności wojskowej. Jako o kobiecie, piszą o niej współkoledzy, że umiała nadać sobie taki takt i ton, że wśród kilkutysięcznego obozu różnorodnego żołnierstwa każdy ją poważał; nikt nie śmiał przystąpić do niej z zartem nieprzywoitym, a z czasem zapomniano, że kolega Pustowójtów jest kobietą*). Wypadnie mi tedy pokrótce przebiec tę drogę, jaką postępował Langiewicz aż do przejścia granicy.

Po cofnięciu się od Małogoszcza oddział ruszył na Skalę, a 6 marca stanął w Goszczy, gdzie mała armja przyszłego dyktatora, zmęczona i trochę zdeorganizowana, zatrzymała się na dłuższy odpoczynek. Przesadnie tłumaczone i opisywane jego zwycięstwa były wszakże niewątpliwie dowodem wybitniejszych zdolności. Już samo utrzymanie się przez czas dłuższy wśród ciągłej walki z żołnierzem niewyćwiczonym, źle odżywianym i źle uzbrojonym, świadczyło o zdolnościach wojennych. Nagłe wyniesienie się ponad poziom innych dowódców przypadło w czasie rozterek w łonie Rządu Narodowego w Warszawie i skutkiem tego zapewne myśl o dyktaturze wojskowej silniej przemawiała do umysłów ludzi do rządu zbliżonych**). Widmo dyktatury Mie-

*) To wszystko, co pisze autor „Wspomnień kapitana wojsk polskich” z roku 1863 (Lipsk, 1866) o Pustowójtównie przed powstaniem, jest legendą, utworzoną koło popularnego imienia. Na Sybir skazaną nie była; nie wożono jej tam; oficera nie policzkowała i t. d.

***) Według pogłosek, niewyjaśnionych jeszcze, dyktatura Langiewicza miała być stanem przejściowym, ułatwiającym inny, donioślejszy akt: ofiarowanie korony polskiej Maksymiljanowi, bratu cesarza Franciszka Józefa, a tem samem objęcie naczelnej władzy wojskowej przez późniejszego cesarza meksykańskiego. Byłoby to zatem oddanie jednej władzy naczelnej w ręce drugiej. Ofiarowanie korony przez nieznaną Rząd Narodowy uważać miano za niemożliwe.

rosłańskiego, człowieka niespokojnego i awanturniczego, także popychało ku temu, ażeby kryzys rządowy co rychlej zakończyć. Myśl dyktatury podsunięto Langiewiczowi. Nie tu miejsce na szczegółowe opisywanie powstania dyktatury, bo to należy nie do życiorysu Pustowójtówny, lecz do dziejów roku 1863 wogóle. Wspomnieć jednak o tym wypadku należy.

Już 10 marca 1863 zjawiała się w Goszczy deputacja z Krakowa, z propozycją dyktatury Langiewiczowi. Poprzednio mianowany generałem, Langiewicz propozycję przyjął. Po rozmaitych marszach i kontrmarszach, przez Chroberz i Wałecz, kiedy trzeba było staczać ciągle utarczki z Moskwą, zjednoczone oddziały zatrzymały się nareszcie 18 marca pod Grochowiskami, a właściwie na polance leśnej, wśród stosów drzew, i poczęto gotować strawę.

Pustowójtówna dzieliła wszystkie trudy żołnierskie, a przykładem posłuszeństwa i rozwagi nieraz potrafiła zażegnać burzę obozową. W ciągłych marszach robiono zasadzki. Przed bitwą grochowską rozłożono się na folwarku Antolka w nocy ze wszelkimi ostrożnościami: nie wolno było nie tylko ogni rozpalać, lecz nawet papierosa. Śnieg sypał. Zimno. Głód dokuczał. Ani kupić, ani wziąć niema co i niema gdzie. Spostrzeżono wkrótce, że zasadzka nie udała się. Moskale poszli inną drogą. Zmęczony żołnierz nasz pozostał na miejscu. Wówczas Pustowójtówna podjęła się roli gospodyni. Poszła do pobliskiej karczmy, dostała trochę herbaty, ugotowała i wróciła do folwarku, gdzie czekała na nią głodna starszyzna. Tymczasem wojsko stało pod bronią. Ktoś puścił pogłoskę, że wolno rozniecić ognisko. Ogień zapłonął w bataljonie Czachowskiego. A trzeba wiedzieć, że bataljon ten składał się z samej prawie młodzieży uniwersyteckiej. Czachowski przybiegł rozgniewany, zwołał wszystkich do szeregów i zwymyślał od huncwotów i drabów.

Ogień zgaszono. Po odejściu Czachowskiego powstało szemranie i niezadowolenie. Głód jest złym doradcą. Mało brakło, a byłoby doszło do wybuchu. Wówczas Pustowójtówna odezwała się po obozowemu: „A cóż to wy za wielcy panowie jesteście? Skoro Czachowski jest dzielnym żołnierzem, nieprzyjaciół bije, to cóż nam do tego, jak nas nazywa? Ja także gorszą od was nie jestem, a gdyby mnie nazywał nawet burą suką, a wrogów bił, tobym go słuchał!” Mowa ta uspokoiła obrażonych i ruszono dalej, mając przed sobą nowe trudy i nowe bitwy.

Tymczasem Czengiery podążył z Wałcza i przeszedłszy drogą do Galowa, stanął w dwóch kolumnach frontem do armji Langiewicza, która już zdołała w szyk marszowy uformować się i podążyła ku Galowu. Czengiery zostawił dragonów na drodze z Wałcza, na tyłach Polaków i mały oddziałek Szachowskoja, a sam we dwie kolumny frontowe, z artylerją w środku, stanął naprzeciwko Polaków i ogień rozwinął. Z tej strony najmniej, jak się zdaje, oczekiwał ataku Langiewicz i dlatego szedł w kolumnie marszowej. W tej bitwie, jako żołnierz, brała także udział Pustowójtówna, zachęcając przykładem swoim kosynierów do ataku. Pomimo dzielnego oporu tu lub tam, wytrwałego trzymania się Rochebrun'a z żuawami, nieład panujący w całej bitwie złe świadectwo dawał głównemu wodzowi. „Byliśmy zupełnie rozbici, rozproszeni — pisze uczestnik tej bitwy, człowiek rycerskiego rzemiosła, — a co gorsza, na duchu bardzo upadli. Żadnego oddziału lub spoistej kupy nigdzie nie było widać, tylko spłoszone, pomieszane na los szczęścia, a w gąszczu lasu i trzęsawisk przypadkowo spotykające się indywidua“. Cofnięto się jako tako i zebrano się w części za Grochowiskami. Czengiery, spotkawszy opór Rochebrun'a, a nie znając dokładnego stanu naszej armji i ciosu,

jaki jej zadał, począł się cofać ku Galowu. Gdy nasi zajęli już obozowe stanowisko, dwie rotę, dążące ze Stobnicy do połączenia się z Czengierem, natknęły się na Polaków i rozpoczęła się druga część bitwy grochowskiej, w której owe dwie rotę doszczętnie prawie zniszczono. Ale też i polskie wojsko zostało bez ładunków i bez pożywienia, mocno zdemoralizowane upadkiem ducha.

Już w czasie bitwy pod Grochowiskami Langiewicz zwrócił się do swego szefa sztabu Bentkowskiego z prośbą o wyszukanie najkrótszej drogi do Krakowa, nie mówił tylko, w jakim celu. Po bitwie zdeorganizowana i zmęczona armja cofnęła się do Wałcza, ale tam Rosjanie już wszystko splondrowali. W leśniczówce wałeckiej, w nocy z dnia 18 na 19 marca, zgromadził się cały sztab Langiewicza. W pierwszej większej izbie, kto mógł i znalazł kącik, chrapał; w drugiej, mniejszej, przechadzał się Langiewicz i rozmawiał z Borzysławskim, Waligórskim i Jeziorańskim, podkomendnymi generałami. W tej izbie także, przykucnięta w kącie, spała Pustowójtówna. Dyktator odbywał naradę wojenną, w której i Bentkowski, szef sztabu, uczestniczył. W czasie debat Jeziorański najzarliwiej kładł nacisk na to, ażeby armję podzielić. Pomimo zwycięstw pod Chrobrzem i Grochowiskami, nie było furazu i żywności, tabor z zapasami i amunicją przepadł, większa część piechoty wcale już ładunków nie miała. Podzieliwszy oddziały, łatwiej to było wszystko zdobyć. Langiewicz zdecydował się wkońcu i podzielił całą armję na trzy oddziały, a sam powziął tajemniczy zamiar udania się na trzy dni do Krakowa, w celu uregulowania rządowych i cywilnych stosunków. Potem, po powrocie, projektował udać się w Kaliskie i Lubelskie. Chodziło jeszcze o to, ażeby zebrać pluton ułanów do eksporty Langiewiczowi do granicy.

Była godzina 3-a rano. Przeznaczeni do odjazdu poczeli przygotowywać się do drogi. Bentkowski, widząc Pustowójtównę śpiącą w kącie, a przeczuwając, że zmarnować się może wśród nowo uformowanych trzech oddziałów, obudził ją. „Gotuj się, moje dziecko, do drogi — rzekł — nic nikomu nie mów i trzymaj się osoby dyktatora. Zresztą, może on ci sam co powie“.— Pustowójtówna przerażona i zdziwiona odpowiedziała: „Jakto, dyktator odjeżdża? To źle!..“

Około 4-ej szarżę poczęto. Ci, którzy byli przeznaczeni do odprowadzenia dyktatora, mieli prawo zabrać swoich adjutantów. Ażeby nie budzić popłochu wśród armji, postanowiono mówić, że dyktator przed świtem wyjeżdża na rekonesans. Gdy wreszcie eskorta ułańska, przeznaczona do asystowania dyktatorowi, była gotowa, orszak, składający się blisko z 40 koni, ruszył w drogę, kierując się na Wiślicę i Nowe Miasto ku granicy galicyjskiej. Było około 6-ej rano 19 marca. Otóż i włościanie już się budzić zaczęli i wiadomość o wycieczce dyktatora rozniosła się szybko. Cały orszak wyruszył konno. Eskortą ułańską dowodził pułkownik Ulatowski, a orszak składał się z jenerałów Wali-górskiego i Jeziorańskiego z adjutantami, z pułk. Borzysławskiego, z intendenta jenerałnego Tomasza Winnickiego, z Pustowójtówny, szefa sztabu Bentkowskiego i kilku oficerów, którzy bądź z rozkazu, bądź też dobrowolnie przyłączyli się do hufca dyktatorskiego. W takiej asystencji wyruszył orszak z Walcza *).

*) Jeziorański („Pamiętniki“ etc. z r. 1863. Część II. Lwów 1886, str. 263) pisze: „Na bryczce jechał jenerał Langiewicz z panną Pustowójtówną, przebraną po męsku“, o czem ani słówkiem nie wspomina Bentkowski („Notatki osobliste Wład. Bentkowskiego“. Wydawnictwo materjałów do historii powstania r. 1863 — 64 t. II, od -str.

Po krótkim odpoczynku w Wiślicy, gdzie żydzi zaalarmowali miasteczko fałszywą pogłoską o zbliżaniu się Rosjan, orszak puścił się w dalszą drogę ku Nowemu Miastu. Nie było jednak pewności, czy tam był przewóz, i dlatego dyktator zarządził skierować się ku Opatowcu. Na pół mili przed Opatowcem, około południa, zatrzymano się w jakimś dworku szlacheckim. Tu doszła bardzo smutna wiadomość o rozprężeniu w wojsku, o zupełnem jego rozbiciu, a raport Śmiechowskiego z Wącza doniósł, że w obozie niema Czachowskiego i Czapskiego. Wyjazd dyktatora przybrał wszystkie cechy sromotnej ucieczki z pola bitwy po ciężkich zwycięstwach i stał się hasłem odwrotu ku granicy całej armji powstańczej. Langiewicz wydał surowy rozkaz Śmiechowskiemu, zakazujący cofać się do Galicji. Około godz. 4-tej po południu cała armja znajdowała się w Wiślicy, podążając za Langiewiczem. Dyktator wydawał rozkazy, ale sam z drogi obranej nie cofał się i własną stanowczością nie potrafił rozbudzić męstwa żołnierza. Była to sromotna i samowolna ucieczka armji i dyktatora z powodów bliżej nieznanych.

Gdy o godz. 5-ej tegoż dnia orszak wsiadł na koń, podążając ku granicy, już o przebyciu granicy przez dyktatora incognito mowy być nie mogło. Władze austriackie, uwiadomione przez szpiegów o tem, co się dzieje, rozciągnęły nadgraniczny kordon huzarów węgierskich, którzy,

101 — 107). Ponieważ Bentkowski był nieodstępny od Langiewicza aż do chwili przeprawy przez Wisłę, a okazał się pisarzem bardzo sumiennym, bardzo gruntownym i ścisłym w swoich relacjach, musimy przeto jemu oddać pierwszeństwo. Być może, że relacja Jeziorańskiego odnosi się do innej jakiej chwili, gdy mógł siedzieć na wózku dyktator; całą drogę jednak odbywał konno aż do przeprawy.

stojąc w pogotowiu, oczekiwali przybycia dobrowolnych rozbitków. Wisła pod Opatowcem była bardzo szeroka, wprawdzie na przewozie czynne były dwa promy, ale powstańcy ze wszech stron cisnęli się tłumnie, opanowując promy i przeprawiając się na drugą stronę. Langiewicz przeprawił się w maleńkim czółenku wraz z Pustowójtówną, przebraną po męsku. Dyktator miał — według relacji Jeziorańskiego — legalny paszport na imię Waligórskiego z synem. Paszport na komorze Baran już był awizowany przez komisarza, a dyktator z Pustowójtówną wychodzili, ażeby wsiąść na bryczkę i odjechać do Krakowa, gdy zbliżył się do nich jakiś młody człowiek i uchyliwszy czapki, rzekł: „A, to pan dyktator ze swoim adjutantem!“

Tego było dosyć. Aresztowano ich natychmiast i pod eskortą zaprowadzono do Ujścia Jezuickiego, gdzie był najbliższy posterunek wojskowy nadgraniczny. Inna relacja naocznego świadka brzmi odmiennie. Komendę nadgraniczną trzymał kapitan węgierskich huzarów Szarlay, który stał załogą w Siedliszowicach, majątności hr. Załuskiego, oddalonej o pół mili tylko od Ujścia. Był to człowiek bardzo zacny, wyrozumiały, miłujący Polaków i jakkolwiek służył w wojsku austriackim, gorąco sprzyjał usiłowaniom Polaków. Gdy już powstańcy poczęli wielkimi kupami przeprawiać się na stronę galicyjską, kordon austriacki nakazał wszelką broń rzucać na kupę. Langiewicz, nie chcąc się jakoby dać poznać, odpasał swoją szablę i rzucił ją na wspólną kupę. Miała to być szabla Kościuszki, bogato sadzona brylantami, którą wręczyła dyktatorowi deputacja krakowska. Narazie nikt na to uwagi nie zwrócił. W Ujściu poznano Langiewicza i odprowadzono wraz z Pustowójtówną do Siedliszowic, gdzie stał kwaterą Szarlay.

Mieszkał tam rządca dóbr hr. Załuskiego Zielonka. Tu zwieziono wszelką broń powstańczą*). Pustowójtówna wraz z dyktatorem przybyła do domu pp. Zielonków przed południem i natychmiast przebrała się w suknie kobiece. Tegoż dnia jeszcze przyszedł telegram z rozkazem wysłania ich do Tarnowa. Rozkaz jednak spełniony nie został, prawdopodobnie z tego powodu, że starano się ułatwić ucieczkę dyktatorowi. Rotmistrz Szarlay patrzył na wszystko przez palce, przekonany przez p. Zielonkę o potrzebie ułatwienia ucieczki Langiewiczowi. W tym celu ułożono się, że dyktator otrzyma pokój do przenocowania w oficynie, a straży od ogrodu, dokąd wychodziło okno z pokoju Langiewicza, nie będzie. W ten sposób można było do ogrodu wyskoczyć z łatwością, a stamtąd pół kilometra tylko do Dunajca, gdzie już byli gotowi przewoźnicy. P. Zielonka robił propozycję dyktatorowi, ale on z początku wahał się, a potem wręcz oświadczył, że nie ma dla czego ratować się, gdyż całą sprawę uważa za przegraną. Rotmistrz huzarów węgierskich ogromnie z tego powodu irytował się, a gdy mu później wspomniano Langiewicza, odzywał się z niechęcią: „dajcie wy mnie spokój z waszym Langiewiczem!”

*) Bentkowski pisze, że broń składano do worków, opatrzywszy każdy swoją kartką, przed przeprowadzeniem przez granicę („Materiały do hist. powstania” t. II, str. 104). Niewątpliwie część powstańców w ten sposób broń złożyła; czy i Langiewicz do nich należał? O tem nie zostawił żadnej wiadomości pamiętnikarz, musimy przeto, jako prawdopodobną, przyjąć relację ustną, która utrzymuje, że organista z Opatowca Stohansel sam niósł worek, w którym znajdowała się szabla Langiewicza. Henryk Otowski widział tę szablę, jakoby należącą niegdyś do Kościuszki, i wspomniął o niej, opisując żywot Kościuszki w czasopiśmie ludowem *Chata*. Miała ona być na przechowaniu czas jakiś w Siedliszowicach, majątku hr. Załuskiego. Co się z nią później stało — niewiadomo.

Na drugi dzień dopiero, po przenocowaniu w Siedliszowicach, wysłano Langiewicza wraz z Pustowójtówną, przebraną w suknie kobiece, pod eskortą do Tarnowa, gdzie pod strażą przebywał w hotelu. Nikomu nie wolno było z nim się widzieć, oprócz Pustowójtówny, która, jakkolwiek sama była pod strażą, zdołała jednakże wyrobić sobie prawo widywania się z upadłym dyktatorem w miarę potrzeby. W tym samym hotelu zatrzymał się także dawny szef jego sztabu Bentkowski, który, nie przedstawivszy się nikomu w czasie urzędowego niejako meldunku po przejściu granicy, sam, proprio motu, do Tarnowa przybył.

Po wyjeździe dyktatora z Siedliszowic, po rozejściu się powstańców, p. Zielonka począł przeglądać broń złożoną na kupę i tu zwrócił uwagę jego pałasz czy karabela, nie umiem tego powiedzieć, brylantami wysadzany. Kilku brylantów brakło, które wypadły zapewne skutkiem rzużenia go na kupę, a następnie przerzucania. Miał to być ów pałasz Kościuszki, ofiarowany dyktatorowi pod Goszczą *). Pan Zielonka zabrał go, za pozwoleniem rotmistrza Szarlaya zatrzymał u siebie, a następnie osobna deputacja odwiozła go do Krakowa. Jakie są dalsze losy owego pałasza i czy istotnie była to pamiątka po Kościuszcze? nie umiem powiedzieć.

Pustowójtówna dzień czy dwa dni bawiła tylko w Tarnowie. Eks-dyktor za jej pośrednictwem wręczył karteczkę do Bentkowskiego z prośbą o wydostanie 10.000 reń-

*) Wiadomość o tem posiadam z ustnej relacji dziś już nieżyjącego Kazimierza Zielonki, naocznego świadka tego wszystkiego, co się działo z Langiewiczem po przejściu granicy. Żadnym innym dowodem lub relacją nie dało mi się utwierdzić w absolutnej prawdziwości opowiadania.

skich — „zdaje się na przekupienie dozorców i wydostanie się na wolność“ — tak pisze pamiętnikarz. Ale szef sztabu, nieobecny w Siedliszowicach, nie wiedział o tem, że już tam robiono wszystko, ażeby dyktatorowi ucieczkę ułatwić, lecz — nadaremnie. Bentkowski pieniądze wydostał, przywoził, ale tejże nocy, zdaje się 22, a najpewniej 23 marca, dyktatora wraz z Pustowójtówną wywieziono do Krakowa, gdzie osadzono go na zamku od strony północnej. Pustowójtówna siedziała wówczas w policyjnym areszcie „pod Telegrafem“, przy ulicy Kanonicznej, skąd widać było okna eks-dyktatora. Można było z nią porozumiewać się bardzo łatwo. Czynność i energja nie opuszczały jej nigdy, nawet w więzieniu. Zdołała też nawiązać stosunki z Langiewiczem, który — jak się zdaje — pragnął wydostać się narzeczcie z więzienia, bo za pośrednictwem Pustowójtówny zakomunikowano do miasta, że jest sposób wydobycia na wolność eks-dyktatora, ale trzeba złożyć na jego ręce 10.000 zł. Jakkolwiek ówczesny Rząd Narodowy nie rozporządzał nigdy zbywającemi sumami, jednak jakaś osoba prywatna zdecydowała się na tę ofiarę, lecz z warunkiem, aby Langiewicz na przyszłość zrzekł się dyktatury. Zdaje się, że o objęciu władzy na nowo on sam najmniej myślał. Warunek ten, zakomunikowany Pustowójtównie, bardzo się jej nie podobał; przyrzekła jednak powiedzieć o tem Langiewiczowi. Po dwóch czy trzech dniach oświadczyła w imieniu eks-dyktatora, że ponieważ robią tyle ceremonji z tą pomocą, zrzeka się jej zatem, a znajdzie gdzie indziej. Nazajutrz wywieziono Langiewicza do Tyrnowic w Czechach, dwie mile od Berna.

Działo to się pod koniec marca.

Pustowójtównie pozwolono odjechać, gdzie się jej podoba; wzięto od niej tylko słowo, że nadal do ruchu zbroj-

nego mieszać się nie będzie. Słowo takie dała — i z przyjaciółką swoją, śpiewaczką Zawiszanką, wyjechała do Tyrnowic.

W czasie pobytu w Krakowie wiele osób odwiedzało ją — pisma rozbrzmiewały jej imieniem. Między innymi złożył jej wizytę korespondent *Kölnische Zeitung*, którą tak opisał: „Urzędnik policyjny zaanonsował naszą wizytę i w parę minut potem wrócił, wskazał ręką drzwi, dając poznać, że możemy wejść. Gdyśmy weszli, kobieta szczupła i niska grzecznie nas powitała. Ubrana była w suknie narodowe, w których obok Langiewicza walczyła, a które dodawały uroku tej interesującej osobie. Włosy czarne, krótko ostrzyżone, otaczały ładną twarzą gęstymi z obu stron lokami. Ubranie jej składało się z krótkiej polskiej czamary z potrzebami, obłożonej barankiem, na nogach miała długie buty, sięgające do kolan, i szare spodnie. Dalej miała czerwoną koszulę z maleńkim kołnierzykiem stojącym dokoła szyi. Gdyby kto mógł wątpić, że pod tem męskim odzieniem kryje się panna, to grzeczność i wdzięk, z jakim nas przyjęła, oraz delikatny kobiecy głos usunęłyby wszelkie pod tym względem wątpliwości. W pokoju jej znajdował się tylko stół, komoda i dwa krzesła. Izba byłaby dość wygodna, gdyby była nieco wyższa. Na nieszczęście, była ona tak niska, że Pustowójtówna, paląc nieustannie papierosy, musiała ciągle mieć okno otwarte, co narażało ją na spojrzenia osób ciekawych i współczujących jej losowi. Przez dwa dni przed oknem jej przesunęły się setki mężczyzn i kobiet, a od natrętnych wejrzeń broniły tylko doniczki z kwiatami, ofiarowane prawdopodobnie przez przyjaciół. Kwiaty tworzyły kontrast z żelazną kratą. Pustowójtówna, na wyrażone współczucie dla jej losu, odrzekła, że „szanuje Prusaków, lubi ich i ufa im“. Była to niewątpliwie kurtuzja dla współpracownika pisma pruskiego, bardzo zresztą zro-

zumiała. Rozmowę prowadziła w języku francuskim, prawdopodobnie z powodu obecności w pokoju dozorca więziennego, ale tylko wówczas, gdy o polityce była mowa. O innych rzeczach rozmawiała po niemiecku dość biegle, chociaż z akcentem cudzoziemskim. Na twarzy jej znać było ślady ciężkich przeżyć. Oblicze miała blade, wychudłe; jedynie czarne ogniste oczy nie utraciły swego blasku i jak się wydawało korespondentowi — jaśniały, gdy mowa była o Langiewiczu. Czoło miała wysokie, nos prosty, ostro zakończony, podbródek okrągły; ubiór podnosił oryginalność jej postaci. Gdy korespondent pokazał jej fotografię, którą z trudem zdołano wynaleźć w Krakowie, spojrzała na nią i rzekła smutno: „to już nie ja!” Wogóle była zmartwiona niepewnością losu własnego i eks-dyktatora, o którym wyrażała się zawsze z zapałem i uznaniem.

Gdy jednak Langiewicz internowany został w Tyrnowicach, nie zawahała udać się tam i zamieszkać prywatnie w mieście. Mieszkając tu, robiła częste wycieczki w okolice, a nawet do Wiednia, z myślą, jak się zdaje, wydobyć z więzienia Langiewicza. Gdy zamiar ucieczki nie udał się, wyjechała do Pragi, a eks-dyktatora wywieziono do Josephstadtu. O zamiarze tej ucieczki i sposobie, w jaki miała być dokonana, nie rozpisuję się, gdyż dokładnie nie wiadomo, jaki mianowicie udział w tej sprawie brała Pustowójtówna.

Jakkolwiek zachowanie się Langiewicza co do ucieczki było bardzo niewyraźne, a przed wywiezieniem do Tyrnowic dał słowo, że uciekać nie będzie, zdaje się, że się namyślił i ucieczki próbował. Po niefortunnej próbie i wywiezieniu go do Josephstadtu Pustowójtówna podążyła do Pragi. I tu, jak wszędzie, niezwykle jej losy i sława budziły ciekawość tłumów, gdzie się tylko pokazała. Gdy jeszcze

z Tyrnowic jeździła do Wiednia, poznali ją wiedeńscy i w jednej chwili zgromadziły się tłumy przed hotelem, krzycząc: Hoch! Trzeba jednak przyznać, że tego rodzaju popularności Pustowójtówna nie szukała. To samo stało się w Pradze. Gdy się dowiedziano, że zatrzymała się w Hôtel de Saxe, przez kilka dni gromadziły się przed hotelem tłumy, pragnące ją oglądać, ale nie pokazywała się wcale, złożyła tylko wizytę jakiejś starej poważnej Polce, która naówczas mieszkała w Pradze. Przez cały czas mieszkania w hotelu Saskim chodziła w sukniach kobiecych, czarnych, a na piersiach nosiła krzyżyk złoty. Na twarzy jej, według relacji współczesnych, panowały stanowczość i smutek.

Zmęczona trochę bezustannem, bezowocnem targaniem się i bezowocnem życiem, zapragnęła powrócić na pole walki. W tym celu wróciła znowu do Galicji i zamieszkała w majątności Dąbiu, należącej do hr. Romerowej. I tu, jak wszędzie, przymioty towarzyskie i osobiste zjednały jej życzliwość i przyjaźń. Łatwa, przyjemna, towarzyska, bardzo była lubiana w całym domu, a hr. Romerowa otaczała ją miłością jak córkę. Po zdjęciu munduru kobiecość wróciła zupełnie, a ujmujące i miłe obchodzenie się jednało jej serca wszystkich. Otoczona aurołą sławy i popularnością, stała się przedmiotem westchnień i miłości, zarówno ukrytych jak i jawnych. Najbardziej może był w niej zakochany, jak mówiono, młody syn właścicielki Dąbia, Zygmunt, z którym Pustowójtówna była nawet, jak powiadano, zaręczona. Zaręczyny nie doprowadziły jednak do małżeństwa i zerwane zostały przez nią samą. Mocno miano jej to za złe, ale stosunki poprawić się nie dały.

Przyczyną tego zerwania był, jak się zdaje, Czachowski, który już dawniej poznał Pustowójtównę w czasie jej pobytu w oddziale Langiewicza. Teraz występował wpraw-

dzie w roli opiekuna, ale przytem i roli konkurenta nie zrzekał się. Jako opiekun, przebywał często w Dąbiu i durząc się w dziewczynie, bałamucił ją niewątpliwie. Namawiał mocno, ażeby proponowany związek z Romerem zerwała, gdyż, oderwawszy ją od właściwego jej przeznaczenia — wojny, stałby się grobem jej sławy. Może pod wpływem tych perswazyj zawahała się i odmówiła Romerowi. Pomimo jednak odmowy przemieszkała jeszcze kilka miesięcy w Dąbiu, lubiana bardzo przez całą rodzinę, a stamtąd do Zurychu wyjechała, gdy już nie było nadziei dalszej skutecznej walki.

W Paryżu znalazła się dopiero w r. 1865 wśród rodziny państwa Janowskich.

Zarówno w Zurychu, jak i po przybyciu do Paryża, odbierała od babki swojej, hrabiny Kossakowskiej mieszczającej w Lublinie, pomoc pieniężną. Dochodziła ona jednak nieregularnie i była niewystarczającą na zupełne utrzymanie, ale dochodziła aż do śmierci Kossakowskiej. Energia jej i na tem polu okazała się żywotną. Mieszkając w Zurychu, nauczyła się szyć krawaty i robić kwiaty, a w ten sposób zarobkiem dopomagała sobie do życia.

Przyjechawszy do Paryża, otrzymała od rządu francuskiego małą pensję, 60 franków miesięcznie, i zaraz też otworzyła pracownię kwiaciarską. W Paryżu wśród emigracji roku 1863 panowało mniej więcej takie życie, jakie w gorszący sposób objawiło się w tem samem ognisku po r. 1831. Wzajemne skargi, szukanie win, wzajemne poniżania się, obelgi, plotki, a nawet denuncjacje. Nie mogła uniknąć tego Pustowójtówna. Zawiadomiono tajemnie naczelnika sekcji wygnańców politycznych (chef du bureau des réfugiés politiques) p. Gaboura, iż Pustowójtówna jest za-
można, rządowej pomocy zatem nie potrzebuje. Gabour

zasięgnął wiadomości co do tej sprawy, a przekonawszy się, że rzekoma zamożność płynie z pracy rąk własnych, nie tylko pensji rządowej nie cofnął, lecz przeciwnie podniósł ją do 100 fr. miesięcznie. Popularność jej imienia była tak ogromna, że jakiś właściciel wielkich magazynów proponował jej dużą pensję, byleby tylko zechciała pełnić u niego obowiązek panny sklepowej. Szczery Francuz nie ukrywał tego, że obecność tak popularnej osoby w magazynie przyczyni się niewątpliwie do zrobienia dobrego interesu. Pustowójtówna odrzuciła jednak propozycję, która nie godziła się z powagą jej przekonań, gdyż nie chciała patriotyzmu i poświęcenia się osobistego używać jako szyldu dla cudzych interesów kramarskich.

Jak wśród obozu, wśród najróżnorodniejszych żywiołów, potrafiła sobie zjednać szacunek powszechny, zjednała go także wśród rzeszy emigracyjnej. Jakkolwiek nie brak było oszczerców, a kobieta zwykle łatwiej i częściej od innych na oszczerstwo narażona bywa, ogół emigracyjny otaczał ją szacunkiem i życzliwością. Jednym z najmilszych dowodów tej życzliwości było ofiarowanie jej przez kilkudziesięciu emigrantów wiersza „Do Polek“. Wiersz, napisany na pergaminie, posiadał artystyczne ozdoby, wykonane przez Teofila Dąbrowskiego, a u spodu mieścił podpisy ofiarodawców*).

Wśród pracy i ciężkiego życia emigracyjnego zbliżyła się wojna francusko-pruska. W wojnie tej Pustowójtówna nie wzięła udziału jako żołnierz, ale równie bohaterską i wytrwałą okazała się jako siostra miłosierdzia. Głównie czynną była w czasie oblężenia Paryża. Odwagą, pracą i przy-

*) Zczasem wiersz ten znalazł się w zbiorach w Rapperswilu wraz z medaljonem Pustowójtówny.

tomnością umysłu zwróciła na siebie uwagę kierownika ambulansów, a „Towarzystwo niesienia pomocy morskiej i lądowej“ uczciło ją krzyżem zasługi i dyplomem dziękczynnym.

Przy ambulansach Pustowójtówna odnowiła znajomość z d-rem medycyny Lewenhardtem, z którym znała się jeszcze w okresie służby wojskowej pod Langiewiczem. Zbliżenie to zakończyło się małżeństwem w r. 1873.

Na tej nowej drodze życia Pustowójtówna okazała wszystkie dodatnie cechy swego charakteru: energję i rzutkość męską z miękkim i dobrem sercem kobiety. Po obowiązkach żołnierza przyszły obowiązki żony i matki. Wszystkie piękne cechy kobiecości: łagodność, miłość, poświęcenie, nie odstępowały jej; przeciwnie, zdawało się, że w tym nowym świecie, który otworzył się przed nią, odnalazła nowe zasoby swojej miękkiej, niewieściej natury. Gdy przyszły dzieci, oddała się ich pielęgnowaniu z całym poświęceniem sił. Nie znała prawie innego towarzystwa oprócz rodziny. Pokój sypialny dzieci był jej światem, a przechadzki z dziećmi jedyną nieomal rozrywką.

W roku 1881 zaszedł nieszczęśliwy wypadek w rodzinie dr. Lewenhardta. Siostra jego, zamężna za Leonardem Rettlem, spadła z okna i zabiła się. Pozostało dwoje dzieci, ośmioletni chłopczyk i siedmioletnia dziewczynka, bez opieki macierzyńskiej. Lewenhardtowa, jakkolwiek miała już czworo własnych dzieci, zabrała je bez wahania do siebie i otoczyła taką samą opieką, jak swoje. Mając w domu sześcioro dzieci drobnych, z których najstarsze zaledwie ośm lat liczyło, w niczem nigdy nie zdradziła ciężaru pracy i kłopotów domowych.

Wkrótce po nieszczęśliwym wypadku w domu Rettlów zachorowała najstarsza jej własna córeczka na dyfterję.

Matka z niezwykłą troskliwością pielęgnowała chorą, spędzając przy niej kilkanaście bezsennych nocy. Bezustanne czuwanie do tego stopnia, że w nocy nie rozbierała się nawet, ażeby być gotową do usług dziecka, osłabiło ją i wycieńczyło ogromnie. Zbliżyła się ciepła pora roku. Mąż począł przemyślać nad tem, dokądby ją wysłać dla pokrzepienia sił, gdy właśnie śmierć stała już przy progu. Było to 1 maja. Nic nie zapowiadało katastrofy. Henryka, zdrowa zupełnie, robiła porządki domowe, a wieczorem zawiesiła świeże firanki u okien. Nazajutrz była rocznica śmierci p. Rettlowej. Rozmawiano o niej i miano właśnie zamiar dać na mszę za jej duszę.

Rano o 6-tej godzinie, 2 maja, wbiegła siedmioletnia córeczka do ojca, wołając, ażeby szedł do matki, która „jest bardzo zimna“. Wszedł mąż; Henryka leżała na łóżku, przy niej paliła się świeca i leżała przy stoliku otwarta książka. W przedpokoju nocowała służąca, ale ani mąż, ani ona nie słyszeli najmniejszego znaku, zdradzającego jakiegokolwiek cierpienia zmarłej. Gdyby śmierć tę poprzedzało jakiegokolwiek cierpienie, byłaby niewątpliwie zawołała na służącą lub zadzwoniła, gdyż dzwonek elektryczny miała pod ręką. Zresztą na twarzy nie było śladu agonji. Prawdopodobnie przyczyną śmierci, jak sądzi mąż, było zemdlenie śmiertelne (syncope mortelle). Wieczorem rozmawiano o zmarłej nagłą śmiercią siostrze *čr.* Lewenhardta; być może, że miała jakiś sen straszliwy lub przykry, może o Rettlowej, wśród snu dostała omdlenia, z którego już się nie obudziła.

„Była to — mówi o niej człowiek znający ją bardzo blisko — osoba nie wielkiej egzaltacji, lecz głębokich przekonań. Młoda, żywa, nie dbająca o siebie, lecz nie z tych, które wzbudzają ogień słomiany, gasnący rychło. Nie szu-

kała sławy, biorąc udział w ruchu narodowym, a nawet bardzo mało opowiadała o swej roli w powstaniu“.

Spoczywa na cmentarzu Montparnasse. Na pomniku grobowym znajduje się popiersie, a pod niem słowa:

HENRYKA LEWENHARDT
Z DOMU PUSTOWÓJTÓW
PEŁNA ODWAGI, ENERGJI, POŚWIĘCENIA
W KRAJU I NA WYGNANIU
NA POLU BITWY I W RODZINIE.

III.

FRANCISZEK ROCHEBRUN

Francuz w walce o wolność Polski.

Kartka z powstania w r. 1863.



Motto.

*Niemasz to wtary, jak w naszym znaku;
Na bakier fezy, do góry wąsy,
Śpletw i manterek brzęk na biwaku,
A gdy do boju, to jakby w płasy.
Marsz, marsz, żuawy,
Na bój na krwawy!
Marsz, marsz, marsz!*

(Marsz Żuawów, r. 1863).

Zanim przejdziemy do naszkicowania działalności Rochebruna w r. 1863, należy kilka słów wstępnych powiedzieć.

Urodził się 1 czerwca 1830 r. we Francji w Vienne, w departamencie Isère, w parafji św. Andrzeja de Bas (St. André de Bas). Pochodził z ubogiej warstwy ludzi i przeszedł twardą szkołę życia. W 14-ym roku wstąpił jako uczeń do drukarni Timon. Zdaje się, że niezbyt sobie upodobał to zajęcie, bo jeszcze przed wstąpieniem do wojska odbył praktykę sztukatorską, a później prowadził na własny rachunek takie przedsiębiorstwo. W wojsku zapisał się do 17 pułku linjowego, a następnie przeszedł do 62.

Po ukończeniu służby wojskowej już się nie oddawał rzemiosłu, ale śladem wielu poprzedników szukał baka-

łarskiego chleba w Polsce. Znalazł go w Krakowskiem, w rodzinie Tomkowiczów. Jak długo tam był — niewiadomo. Ale niespokojny duch pędził go znowu do Polski. Tym razem w grudniu r. 1862 przyjechał do Warszawy — nie bez pewnego impulsu wewnętrznego, gdyż wróżka przepowiedziała mu wielką przyszłość. Miał zamiar i w Warszawie dawać lekcje języka francuskiego. Wkrótce jednak przekonał się, że nie było kogo uczyć: młodzież przygotowywała się do walki. Udał się tedy do Krakowa, gdzie już miał zapewne jakie-takie stosunki. Ale i tu nie lepsze panowały widoki i nastrój był taki sam, jak w Warszawie.

Tymczasem wybuchło powstanie i przed Rochebrunem otworzyła się nowa karjera, a raczej powrót do dawnej. Konieczność niepoślednią odegrała tu rolę. Wstąpił tedy do szeregów walczących.

Walka o wolność nie rozstrzyga się tak łatwo, ani też rychło, jak szczęśliwie lub nieszczęśliwie stoczona bitwa. Długo walczyła o nią Grecja, długo Włochy. Ale gdy im z pomocą przychodziła matka-natura, otoczywszy z trzech stron morzem, a wewnątrz zamiast twierdz mocnych najeżyła kraj cały górami — Polska stała otworem dla wrogów. Z każdej strony przedrzeć się mogły obce wojska, a intryga i chciwość sąsiadów dokonywała reszty. My przeto nic więcej prócz własnych piersi i poświęcenia nie mogliśmy przeciwstawić wrogom. Z historji naszej o wolność, tem chętniej potępianej, że nieszczęśliwej, znamy tylko wysiłek narodu na polu walki. Żołnierzy i stoczone bitwy nie trudno obliczyć; rozsianych po całej Rosji wygnańców, zmarłych pod knutem, w kazamatach, w kopalniach sybirskich także obliczyć można. Ale żaden historyk nie próbował obliczyć tego olbrzymiego wysiłku moralnego i materjalne-

go jakie naród poniósł w obronie swojej niezależności i wolności*).

A któż to składał ten naród? Chłop, jeśli co mógł dać w ofierze, to chyba życie tylko, niesiony raczej falą temperamentu i chęcią do wojenki — rzadko rozumiejąc, o co walczył. Dziś dopiero budzić się zaczyna. Nikt mu nie odebrał ziemi, jego i wszystkich karmicielki, nikt go nie zubożył. Cierpiał najczęściej sam, ale późniejsze pokolenia

*) Korzystałem z następujących materiałów:

1. „Szkłce z niedawnej przeszłości” 1863—1864. (Hr. Koziebrodzki?) Lwów 1867.
2. Feliks Borkowski: „Przejścia i wspomnienia uczestnika powstania polskiego w r. 1863 — 1864”. Lwów 1903.
3. Kazimierz Sokalski: „Żuaw z pod komendy Rochebrun’a”. Pamiętnik z r. 1863. „Straż polska” nr. 28, nr. 29-30, nr. 31, nr. 32.
4. „Wydawnictwo materiałów do historii powstania 1863—1864”. Tom II. Lwów 1890. Notatki osobiste Władysława Bentkowskiego z roku 1863.
5. „Materiały do historii powstania w r. 1863”. T. III. Lwów 1890.
6. „Réponse à Son Excellence Monsieur le Comte de Bismarck au sujet de la protestation des députés Polonais du Parlement du Nord, dans la Séance du 18 Mars 1867,” par Rochebrun. Po tym długim tytule wytlóczony czarny krzyż. Na górnem ramieniu jego jest napis „Union”, na lewem „Persévérance”, na prawem „Travail”. Pod krzyżem: Chambéry. Typographie Ménard et Compagnie, rue Inverie, hôtel d’Allinges, 1867 Nr. 6. Wkońcu podpis Rochebrun (nad u dwa punkty, tak samo w tytule) Chambéry, le 22 Mars 1867.
7. Lemer cier de Neuville. „Galerie polonaise”. Notices bibliographiques. Paris 1863, str. 24.
8. Z korespondencji prywatnej Jana Czarneckiego — „Uwagi o Rochebrunie”.
9. Z korespondencji prywatnej dr. Romana Dallmajera.
10. Dr. R. Dallmajer: „Moje wspomnienia z powstania 1863—1864”. Lipsk 1912.

nie pokutowały za jego domniemane winy wobec zaborców. Mieszczanin płacił jeszcze mniej osobistem niebezpieczeństwem, a jakkolwiek żywił żołnierza, bezpłatnie nie-raz, jakkolwiek często za broń porywał, po skończonej walce wracał do rzemiosła, warsztatu, do lady kupieckiej i pracował dalej. Jeżeli mu własny warsztat zamknięto, pracował w cudzym, często dorabiał się forluny lub dobrobytu, a pracując pamiętał o ojczyźnie i do ofiar dla niej zawsze był ochoczy. Największe straty ponieśli ci, dla których niegdyś ojczyzna była hojną macierzą. Prawda, że szlachecka Polska zginęła bezpowrotnie, a raczej znaczenie jej historyczne nie wróci nigdy, ale czy to zmniejsza jej zasługi wobec ojczyzny? Już przed utratą samoistności politycznej przysłała ona do przekonania, że ażeby bronić ojczyzny i lepszą dla niej zgotować przyszłość, trzeba prawa obywatelskie rozszerzyć na cały naród, a walki jej w roku 1794, 1830—31 i 1863—4, jakkolwiek rozpoczęte i prowadzone przez nią, miały jednak na celu całość narodową. To już nie jej wina, że w kraju pojęcia uczuć i obowiązków obywatelskich rozwijały się powoli. Pracowali nad tem nasi wrogowie. Jeśli szlachta winną była — z poważnemi okolicznościami łagodzącemi, — że utraciła wolność i samodzielność ojczyzny, a raczej przyczyniła się do tego, — to winy te odpokutowała tak wielkimi ofiarami poświęcenia się osobistego i materialnego, że równie pięknych przykładów trudno znaleźć w dziejach ludzkości. Nie dość, że na polu walki stawała zawsze pierwsza, ile razy wypadki dziejowe powołały ją, — ale i nie szczędziła pracy, ofiar materialnych, gdy trzeba było ująć w ręce swoje ster na każdym polu działalności prywatnej i publicznej. Ona dała z siebie wszystko, co najpiękniejszego posiadał duch narodu, więcej nawet, bo z duszy jej poetów, mistrzów,

uczonych, pisarzy wytrysnął źródł nadziei na przyszłość, wzmocnienie na dziś i wytyczoną została droga pracy pozytywnej dla następnych pokoleń. W jej łonie zrodziła się idea demokratyczna, od niej przeszła do innych warstw, w niej znalazła obrońców i wodzów. Z tą ideą szlachta zbliżyła się do ludu, a wśród niego i z nim razem rozpoczęła nową pracę dla nieznanej przyszłości.

Nie piszę apologii szlachty, a daleki jestem od tego, abym jej wad dawnych i dzisiejszych nie widział; ale nie łączmy plutokracji, powstałej z mieszanin międzynarodowych, z tą częścią narodu, która od prawieków na naszej ziemi mieszka, powstała z siermięgi chłopskiej i zbliżyła się wkońcu do tej siermięgi we wspólnej pracy dla wspólnej Ojczyzny.

Można wiele i ciężkich zarzutów robić rokowi 1863, ale to zaprzeczyć się nie da, że szlachta, kierująca całym powstaniem, ideę demokratyczną przeszczepiła w lud i mieszczaństwo i zdołała ich pociągnąć do wspólnej walki o wspólną wolność. Próby pod tym względem podjął Kościuszko. Gdy w r. 1830/31 walczyło jeszcze regularne wojsko, w r. 1863 stanęli pod bronią podwspólnym sztandarem chłopci i mieszczaństwo, szlachcice i rzemieślnicy, a nie brak było i tej garstki, która ubierała się jeszcze w tytułowe łachmany arystokracji. Pod hasłami demokratycznymi szlachty poczęła się wytwarzać jedność narodowa, a proces ten przetwarzania się sił narodowych trwa dotychczas. Że usiłowania w tej sprawie nie były próżne, świadczy dzisiejsze spajanie się różnych warstw społeczeństwa w jednolity naród — warstwy różne, ale całość polityczna jedna, — wydobywanie się z głębi nowych sił ludowych, coraz gęściej, coraz liczniej. Z pod strzechy wiejskiej wysuwają się na czoło narodu, na czoło pracy i zasług nowi ludzie, a za-

stęp ich wzrasta codziennie. Do tych nowych ludzi przechodzi przewodnictwo w narodzie. Dziejowa rola szlachty skończona, przyszłość zaczynają budować nowi ludzie. Nie wiem, czy będzie ona lepszą, wiem tylko, że będzie inną. Przywileje stanowe ustępują miejsca rozumowi i zasłudze obywatelskiej.

Próby zorganizowanego powstania, szczególnie w województwie krakowskiem za granicą austriacką, zapowiadały się wcale nieźle. Czasy były ciężkie. Młodzież wystąpiła na pole walki bez broni, a trzeba było walczyć naraz z dwoma wrogami: zimą i Moskwą. Jedyłą nieomal bronią, przeważającą w oddziałach, były lasy i strzelby myśliwskie. W lepszą trzeba się było zaopatrywać dopiero po bitwie: odbierano ją od jeńców i od zabitych, ażeby dalej walczyć wśród forsownych marszów, niepogody, obawiając się na każdym kroku zasadzek, a sypiać, zamiast w koszarach, na śniegu i lodzie.

Mimo to ochotników nie brakło. Na odgłos walki o wolność przybywali do obozów powstańczych nietylko nasi ochotnicy, ale także Włosi i Francuzi. Szczególnie dla Włochów wyraz wolność miał jakieś symboliczne znaczenie: sami posiadali potężne państwo, utracili je, szczątkami swojej kultury wzbogacili całą Europę aż po brzegi Dniepru, a zwyciężeni przez barbarzyńców, najlepiej potrafili zrozumieć nieszczęście Polaków. W szeregu z nimi stawali Francuzi, ażeby bronić Polski, jakby przeczuwając, że wkrótce wypadnie im bronić własnego kraju wobec najazdu cywilizowanych barbarzyńców i ponieść klęskę, mniejszą od tej, która nas dotknęła — utratę części kraju.'

Jednym z takich, którzy pierwsi pośpieszyli w szeregi walczących, był Rochebrun. Był on żołnierzem z duszy

i temperamentu i te przymioty oddał na usługi walczącej Polski. We Francji nie miał stopnia oficerskiego, ale posiadał niewątpliwie rycerską duszę i tego dowiódł niejednokrotnie.

Stanął z zamiarem utworzenia oddziału, któremu później nadano nazwę „Żuawów śmierci“. Był to wówczas mężczyzna około trzydziestki mający, średniego wzrostu, brunet, o smagłej twarzy, z wyrazem energii i śmiałości. Na szabli opierał się śmiało i widać było, że nosił ją nie od parady. Usługi swoje zaproponował generałowi Wysockiemu, ówczesnemu dyrektorowi Wydziału Wojny, a w lutym już go spotykamy na polu walki. W pierwszych dniach lutego Kurowski formował pod Ojcowem oddział. Na pierwszy apel do broni przybyła tam młodzież z Tarnowa i utworzyła oddział, zwany „Strzelcy“ albo „Dzieci Tarnowskie“. Na czele ich stanął żołnierz wypróbowany, kapitan Uhma, a w szeregach tej młodzieży spotykamy nazwiska ludzi, którzy później na czele pracy twórczej stanęli — Tadeusza Skałkowskiego, Feliksa Kudelkę i in.

W obozie Kurowskiego Rochebrun począł formować swój oddział, szumnie nieco zwany pułkiem. Był to, można powiedzieć, oddział wyborowy pod względem żołnierzy. Wybór skuteczniał sam Rochebrun, a widocznie znał się na ludziach, bo pułk jego, ciągle na oku nieprzyjaciela, ciągle w ogniu, dawał niezwykle dowody wytrwałości i męstwa. W szeregu ze sobą stali hrabiowie, szlachta i wyćwiczeni żołnierze wojska austriackiego, którzy nie zawahali się stanąć w obronie ojczyzny. Pułk Rochebruna był dobrze zorganizowany, uzbrojony, wyćwiczony i prowadzony w karności — co było, niestety, rzeczą nader rzadką. Żołnierz ochotniczy trudno się godzi z karnością. Sztandar pułku był czarny i posiadał z jednej strony wizerunek Mat-

ki Boskiej, a z drugiej krzyż biały. Pułkownik z całą znajomością natury ludzkiej traktował swoich żołnierzy, starając się obudzić w nich szlachetne uczucia. Przysięgę otaczał pewną uroczystością, bo kazał ją składać pod sztandarem. Był to żołnierz w najszlachetniejszym znaczeniu tego wyrazu, a szlachetność jego wzmacniała idea, o którą walczył. Jego żołnierz szanował swój sztandar i nigdy go nie splamił okrucieństwem i dzikością. Po każdej skończonej bitwie uszczęśliwiony dowódca całował żołnierzy i płakał z radości, zachęcając do walki o wolność. Umiał on budzić zaufanie ku sobie — i to była jedna z największych zalet wodza. Znający go bliżej opowiadali, że nie miał wyższego wykształcenia, ale posiadał duże zalety wojskowe.

Oddział żuawów miał osobne umundurwanie, składające się dla żołnierzy z szarej kurtki do pasa, szerokich spodni, ujętych w białe kamasze, a na piersi rodzaj kamizelki z wielkim białym krzyżem. Czerwony fez z czarnymi jedwabnymi kutasami, spadającymi prawie do ramion, uzupełniał strój. Zamiast płaszczów mieli burki z ciemnobronzowego sukna. Uzbrojeni byli wszyscy w najlepszą broń belgijską z długimi bagnetami.

Oddział żuawów — pisze Stary Żuaw — składał się narazie z dwóch kompanij i liczył tylko do 300 ludzi wraz z oficerami. Pułkownik Rochebrun nie umiał po polsku, przeto miał przy sobie tłumacza, oficera wojsk austriackich, hrabiego Wojciecha Komorowskiego, który zarazem był kapitanem nad obiema kompanjami. Kapitanami w oddziale byli dwaj kapitanowie ze służby rosyjskiej, Czaterski i Postelski, tudzież porucznicy Wierzbicki i Wład. Sokołowski, także z armji rosyjskiej, zwany Iskrą, który później za różne przekroczenia został rozstrzelany. Podoficerami byli uczniowie szkoły wojskowej w Genui i Cuneo. Kapelanem był

ksiądz Kamiński, duch bardzo niespokojny i do intryg pochopny; lekarzem wojskowym był rodowity Rosjanin.

Pułk żuawów stanowił częśćkę oddziału Langiewicza, który na początku marca liczył już około 6000 żołnierzy. Pułk był doskonale zorganizowany, posiadał zdolnych oficerów i podoficerów, dobrą broń i był umundurowany jednostajnie. Jakkolwiek nieliczny, ale że panował rygor wojskowy i pewna zewnętrzna marsowata prezentacja, wywierał duże wrażenie. Należać do żuawów stało się pewnego rodzaju zaszczytem. Sam Rochebrun cieszył się ogromną popularnością; łatwy, dostępny, uprzejmy, jednak sobie żołnierzy i oficerów, tylko na punkcie honoru i rygoru wojskowego był nieubłagany i tutaj nie zawsze się rozumieli z naszymi generałami.

Oddziałek Rechebruna począł się formować w obozie Kurowskiego pod Ojcowem. Według powszechnej opinii, Kurowski nie odznaczał się talentem wojskowym i karjera jego nie należała do szczęśliwych. Po kilkudniowym wypoczynku, niezbędnym dla wprawienia w jaki-taki szyk wojskowy niesfornej i niewycwiczonej gromady ochotników, postanowiono zrobić napad na Miechów, gdzie było półtora do dwu tysięcy Moskali (17 lutego). Chodziło głównie o to, ażeby nieoczekiwanym atakiem zaskoczyć nieprzygotowanych Moskali i zdobyć na nich broń i amunicję. Nie wiadomo, w czyjej głowie plan ten powstał, poparty złudzeniem, że się udać może. I o to zapewne chodzić mogło, ażeby otrzaskać trochę żołnierzy z prochem i niebezpieczeństwem. Trzeba było albo atakować, albo być przygotowanym na atak. Wybrano pierwsze.

W południe zawiadomiono żołnierzy, że pod wieczór nastąpi wymarsz z obozu i prawdopodobnie spotkanie z nieprzyjacielem. Wystrzelano stare ładunki, przysposobiono za-

pas nowych, powtórzono przysięgę wojskową. Rozpoczęła się defilada przed sztabem, obok którego stojąca muzyka zagrzmiała znaną pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Przodem szli żuawi z rozwiniętym sztandarem, potem strzelcy kieleccy, młodzież z Królestwa, uzbrojona w dubeltówki lub pojedynki bez bagnetów, a jednak idąca na zdobycie bagnetów, oddział Dzieci Tarnowskich pod dowództwem Antoniego Uhmy, kompanje strzelców, kosynierów, złożone z włościan sąsiednich wsi, i wreszcie garstka młodzieniaszków, źle uzbrojona, a wiedziona do boju jedynie miłością ojczyzny, zwana „Dzieci Warszawskie“. Cały ten korpusik mógł liczyć półtora tysiąca ludzi. Najefektowniejszym był oddziałek konnicy, połyskujący różnobarwnymi czapczkami i chorągiewkami. Była to młodzież z najzamożniejszych i arystokratycznych rodów. Znalazła się na jednym poziomie z chłopem, mieszczaninem, proletariuszem ulicznym i zbiegiem z wojska moskiewskiego lub austriackiego.

Przed północą korpusik zatrzymał się na wypoczynek we wsi Czaple, a po dwugodzinnym ledwie postoju ruszono gościńcem murowanym ku Miechowu. Moskale nie byli jednak tak nieprzygotowani, jak się naszym wodzom zda wało. Śród ciemnej nocy, oświetlonej tylko białością śniegu, spotkano na szosie miechowskiej patrol moskiewski, który po krótkiej wymianie strzałów cofnął się do Miechowa. Moskale wiedzieli już oczywiście o zbliżaniu się napadu. Dowodem tego były rakiety sygnałowe, pękające na tle ciemnej nocy nad Miechowem.

Było już około 4-ej nad ranem. Czy wobec tego, że tajemnica napadu przestała być tajemnicą, że Moskale już się przygotowali do odporu, nie należało zaniechać wykonania planu, a może i zmienić go, trzymając w alarmie zamkniętych w Miechowie Moskali? — nie wiem, to tylko

ludzie fachowi rozstrzygnąć mogą. Dość, że korpusik polski, mimo zdradzenia tajemnicy, postępował naprzód, zmęczony bezsennością, forsownym marszem, brakiem przyzwyczajenia do wytrwałego i długiego chodu. Na trzy kilometry przed Miechowem poczęto się sposobić do starcia. Zmęczeni żołnierze przecierali sobie oczy śniegiem lub skórką cytrynową, ażeby odzyskać świeżość i rozbudzić osłabioną energję. Wzdłuż gościńca rozciągnięto łańcuch tyraljerski, a główna kolumna postępowała wprost na Miechów. W przedniej straży szli żuawi. Po strzałach słychać było, że już się starli z forpocztą moskiewską. Moskale oczekiwali przybycia Polaków. Od miasta dolatywały ponure odgłosy tarabanów i wrzawa rozbudzonych ludzi. Łatwo się było domyślić, że zajmowali wskazane im stanowiska. Od przedniej straży dolatywały strzały — to żuawi przekomarzali się z Moskalami. Na gościńcu, gdzie byli w linję rozstawieni nasi strzelcy, ukazała się grupa żołnierzy; prowadzono do ambulansu rannego żuawa. Szedł ledwo włócząc nogami i ślady swoje krwią znaczył. Pochód ten wywarł ogromne wrażenie na żołnierzy — z szeregów podniósł się jak burza jeden okrzyk: „Niech żyją żuawil“. W ściśniętych szeregach postępowano powoli naprzód. Odgłos tarabanów coraz bardziej ginął w odgłosie i świstach kul. Polacy jednak, zasłonięci niewielkim pagórkem, niezbyt byli na skuteczność strzałów narażeni. Dopiero gdy główna kolumna znalazła się na szczycie pagórka, strzały moskiewskie stawały się coraz gęściejsze i niebezpieczniejsze. Ażeby jak najrychlej minąć sferę strzałów, Polacy pędem ruszyli na miasto, chcąc je szturmem zdobyć. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą, jak się zdawało. Na cmentarzu Moskale zrobili zasadzkę, a gdy część naszego korpusu zbliżyła się do cmentarza, zaczajeni za nagrobkami Moskale przywitani

powstańców ogniem rżęsimym. Wówczas rozległa się komenda kapitana Uhmy: na cmentarz! Rozpoczęła się tedy na cmentarzu krwawa walka, dość szczęśliwa, bo zdołano wyprzeć ukrytych za nagrobkami i za kościołem Moskali, którzy cofnęli się do miasta. A tymczasem i nasi coraz gęściej wdzierać się poczęli do miasta i walka toczyła się między domami. Nasi przez ogrody i parkany zdążali do środka miasta. Moskale, ukryci w domach, mocno razili naszych. Najżartowszy bój odbywał się w rynku. Po długiej obustronnej wymianie strzałów na rynek przybyła świeża rota posiłków. Żuawi i strzelcy rzucili się na bagnety. Niezależnie od walki w rynku, odbywały się starcia między domami i w ogrodach, tak że trudno było doprowadzić do skupienia sił walczących. Najdzielniej i najdłużej trzymali się żuawi Rochebrun'a, stawiając czoło świeżym siłom moskiewskim. Rochebrun powoli cofać się począł, a wsparty niewielkim oddziałem, miał jeszcze dość czasu, ażeby lżej rannych zabrać z placu boju.

Tu zaszedł wypadek, nie dający się dokładnie wytłumaczyć. Nasi musieli się cofnąć na całej linii, co było zresztą do przewidzenia, — ale co się stało najbliższym powodem do tego? Jeden z pamiętnikarzy powiada, że gdy wycofał się z ogrodów podmiejskich, gdzie Moskale ukryci w domach strzelali do naszych, widział już, jak Polacy długim a bezkształtnym pasmem snuli się na całej linii, cofając się i idąc w rozsypkę. Inny zaś utrzymuje, że gdy zwycięstwo przechyliło się na naszą stronę, niedołączny dowódca Kurowski, który stał pod miastem, zobaczywszy kozaków z miasta pierzchających, przysłał do nas adjutanta z okrzykiem: „Uciekajcie, kto w Boga wierzy, bo Moskale zachodzą tył“ Nic dziwnego, że okrzyk taki mógł wywołać panikę i stać się najbliższą przyczyną odwrotu żuawów.

Najprawdopodobniej jednak popłoch wszczął się w szeregach ochotników, którzy pierwszy raz stawali do boju, a najpewniej z powodu braku jednolitej akcji wojskowej, jako też braku orientacji naczelnego wodza wyprawy.

Nie można tej wycieczki pod Miechów nazwać przegraną, ale raczej odwrotem z dużymi stratami. Tak czy inaczej, zdobycie Miechowa nie udało się. Było ono trudniejszym, niż myśleli wodzowie. Moskale sami śnać niezbyt byli pewni zwycięstwa, skoro po wycofaniu się z miasta Polaków nie śmieli wyjść, ażeby zwyciężonych ostatecznie rozgromić. Najbardziej pokiereszowanym z walki wyszedł oddział Rochebrun'a. Ze 150 żuawów pozostało tylko kilkunastu. Gdy po skończonej bitwie Rochebrun skupił i zobaczył tę garstkę, zakrył ręką oczy i płakać począł, wyrzekając na Kurowskiego. Moskale pozostali nadal w Miechowie, który stał się do pewnego stopnia osią ich operacyj wojennych w całej okolicy.

Pod Miechowem ranieni zostali Tadeusz Skałkowski, Kudelka i inni, których odwieziono do Krakowa.

Po utarczce miechowskiej korpusik Kurowskiego poszedł częściowo w rozsypkę. Zdaje się, że wódz, przeciwniejszy doniosłość nieudanej wyprawy, stracił głowę i nie zdołał rozproszonych żołnierzy skupić. Napadający i broniący się obawiali się siebie wzajemnie. Skutkiem tego oddział Kurowskiego rozproszył się nieścigany wcale. Jądro korpusiku Kurowskiego, cofając się, przybyło do Raławic, skąd dopiero rozchodzili się w różne strony — najwięcej do Rątkowa, gdzie Jeziorański formował oddział. W tamtą stronę udali się także rozbitkowie żuawów, wśród których znalazł się i Rochebrun, gdyż go tam niezadługo spotykamy. Był to zwykły los żołnierzy w wojnie partyzanckiej, że, rozproszeni w jednym miejscu, skupiali się

w drugim koło innego dowódcy i dalej próbowali szczęścia w walce z wrogami.

Twarde to było życie obozowe takich partyzantów: ciągle wśród czujności, wśród niewygód, wśród niebezpieczeństw. Regularne odżywianie najmniejszego oddziału było niemożliwe — trzeba było nieraz ogień gasić pod kotłem, gdy pożywienie było już gotowe, i chwytać za oręż, by o kilkadziesiąt kroków od ogniska stoczyć o głodzie krwawą walkę i wprost z pola bitwy pędzić dalej na nocleg wśród śniegu i lasu bez odrobiny pożywienia. A pożywienie trzeba było także zdobywać ostrożnie, gdyż Moskale przekupywali szpiegów lub zmuszali pod grozą kul sprzedawać żołnierzom polskim chleb zatruty.

Po kilkudniowym organizowaniu się oddział Jeziorańskiego połączył się z Langiewiczem.

Po szczęśliwej potyczce pod Małogoszczem połączone oddziały Jeziorańskiego i Langiewicza zbliżyły się ku granicy galicyjskiej i rozlokowały się główną kwaterą w Goszczy. Znalazł się tu także Rochebrun ze swoim pułkiem, czyli (jak go Bentkowski słuszniej mianuje) bataljonem. Zdołał go już po miechowskiej rozsypce przekształcić, powiększyć i doprowadzić ilość żołnierzy do najwyższej cyfry 300, a dbał zawsze o dobrą sławę i bitność swego pułku, sam wybierał do niego ochotników. W małej armji Langiewicza, która pod Goszczą doszła najwyższej liczby — 6.000 żołnierzy, żuawi Rochebrun'a zawsze zasłaniał cały oddział: w przedniej straży postępowali o pół mili przed armją, po bitwie szli o pół mili w tylnej straży.

Kiedy 10 marca armja Langiewicza już została doprowadzona do znośnego porządku wojskowego, wódz jej kazał nazajutrz ustawić cały korpus w wielki czworobok z licznym i dość świetnym sztabem pośrodku i zwrócił się do

żołnierzy z przemówieniem. Było to wezwanie do męstwa, do wytrwałości w przyjętych na siebie dobrowolnie obowiązkach, zapewniając, że mimo trudnego i ciężkiego położenia, zwycięstwo może się przechylić na naszą stronę. Poczem rozwinięto czworobok i kolumną we czwórki skierowano pochód na Słomniki.

W jakim celu i w jakim dalszym kierunku ruszy korpusik zjednoczony, dość silny i już mający za sobą sławę zwycięstwa? zdaje się, że oprócz głównych wodzów nikt nie wiedział. Langiewicz nie bez przyczyny jednak rozwinął ten pochód, mający nieco charakter tryumfalnego. Uroczyste nastrój głównego wodza i jego przemówienie wpływały stąd, że Langiewicz wiedział o tem, co się postanowiło naprzód w Krakowie, a potem w Goszczy, i szedł na spotkanie z dyktaturą.

Po odpoczynku w Słomnikach, gdzie ludność życzliwie przyjęła powstańców, wyruszono w dalszą drogę do Sosnowki. Okolica wolna była od Moskali, mała armja przeto po wielotygodniowym tułaniu się nocowała po raz pierwszy nie pod gołym niebem, lecz w chałupach chłopskich i na słomie.

Już w Goszczy, dokąd przyjechli na naradę członkowie Rządu Narodowego: A. Grabowski, Chrzanowski, komisarz rządowy na województwo krakowskie Wojciech Biechoński, na zuawów Rochebrun'a zwrócił uwagę Bentkowski, żołnierz fachowy i późniejszy szef szabu Langiewicza. Śród nieładu, panującego w obozie dyktatora, jaki się niestety spostrzegać dawał w ciągu całej niedługiej kampanji Langiewicza, wyróżniały się dwa oddziały: pułkownika Rochebrun'a i kosynierska kompanja kapitana Wierzbińskiego. Oddział Rochebrun'a po rozsypce miechowskiej był znowu prawie umundurowany i uzbrojony regularnie, a kosynierzy

Wierzbńskiego, bez broni palnej, bez mundurów i prawie bez butów, byli wszakże karni, wyćwiczeni i najlepszym ożywieni duchem.

Dwaj dowódcy samodzielnych oddziałów, którzy połączyli się z Langiewiczem, Waligórski i Jeziorański, zostali posunięci na stopień generałów. W obozie pod Sosnowką odczytany został przez generała Jeziorańskiego manifest dyktatora, wzywający naród do walki z wrogiem, przez wojsko przyjęty radośnie. Nazajutrz w południe zgromadziła się w obozie sosnowskim cała niewielka armja dyktatora, złożona według jednych z 4.000, według drugich do 6.000 żołnierzy, i po mszy polowej wojsko złożyło uroczystą przysięgę w ręce dyktatora.

Dzień ogłoszenia dyktatury był, można powiedzieć, ostatnim dniem chwały Langiewicza.

Czy miał on jakie plany wojenne i jakie? — z pewnością nie wiemy. Jedyną myślą przewodnią jego działalności, przyjętą z zapalem przez większość Rządu Narodowego, była świadomość potrzeby utworzenia z rozproszonych oddziałów armji, jako siły zbrojnej, ażeby w ten sposób łatwiej można było opierać się naporowi Moskwy. Zdołał istotnie skupić koło siebie samorzutnie działające oddziały i wytworzyć jaką-taką armję, ale, o ile późniejsza akcja dowiodła, na naczelnego wodza nie posiadał ani dość talentu, ani siły. Kilka szczęśliwych potyczek wysunęły go na czoło, ale na tem stanowisku utrzymać się nie umiał i wkrótce siebie i całą armję doprowadził do klęski. Zwykły obserwator jego ruchów wojennych widzi raczej przypadkowość, niż jasno wytknięty plan konsekwentnie wykonywany.

Wpobliżu obozu Langiewicza, stał jeszcze w Miechowie silny posterunek Moskali, liczący do 2.000 żołnierzy, który, nie mając widocznie odwagi wystąpić samodzielnie, przy-

patrywał się skupieniu się polskich oddziałów i oczekiwał na posiłki.

12 marca szefostwo w sztabie dyktatora objął Bentkowski i jemu też zawdzięczamy fachowe, wyczerpujące sprawozdania z dalszej działalności armji Langiewicza. Wspomnieliśmy już, że w obozie dyktatora brakło zupełnie dyscypliny wojskowej. Najbardziej może odczuwali ten brak ci, którzy, w twardej szkole żołnierskiej i oficerskiej wychowani, nie mogli pogodzić się z niesubordynacją, będącą najlepszym sojusznikiem nieprzyjaciół. Okazało się to jaskrawo w dniu objęcia szefostwa przez Bentkowskiego.

Pod wieczór tego samego dnia nadeszło do głównej kwatery od Rochebrun'a pisemne żądanie dymisji. Przyczyna leżała właśnie w rozprzężeniu wojskowem. Jednocześnie z żądaniem dymisji Rochebrun zwracał dyktatorowi szarfę jako oznakę dowództwa. Jeden z żołnierzy oddziału dopuścił się krnąbrności wobec dowódcy. Rochebrun kazał go wziąć pod straż i zwołał sąd; sędziowie, zamiast na śmierć, skazali zuchwalca na lekką karę. Oczywiście, że to podkopywało powagę dowódcy i demoralizowało żołnierza. Dyktator, zamiast wziąć ten wypadek na serjo, jak na to zasługiwał, skarać niesubordynację i zmusić w ten sposób żołnierzy do karności i posłuszeństwa, przyjął tę wiadomość z oznakami niecierpliwości.

Na szczęście, spojrzął na tę całą sprawę szef sztabu. Rozumiał on doskonale drażliwą impetyczność wodza, którego żołnierz słuchać nie chce, a jednocześnie wysoko cenił zdolności militarne Rochebrun'a i dzielność wytrawnego żołnierza. Pozycja istotnie była drażliwa: z jednej strony nieposłuszny żołnierz, z drugiej dowódca, zgłaszający swoją dymisję wobec nieprzyjaciela. Przyjęcie dymisji byłoby to pozbycie się jednego z najdzielniejszych oficerów. — po-

trzeba było przeto całą sprawę załagodzić. Zadania tego podjął się sam Bentkowski. „Uderzyło mię — powiada — przeciwieństwo nieładu i wirwaru głównej kwatery oraz kwater polskich dowódców z porządkiem militarnym kwatery Rochebruna: przede drzwiami chłopskiej chałupy stał zuaw na szyldwachu, w sieni czuwał adjutant, w izbie zaś chłopskiej siedział sam Rochebrun przy stoliku, zaimprovizowanym z deski, opartej na dwóch próżnych beczkach, i przeglądał, przy świetle łożówki w butelkę wetkniętej, z uwagą dzienne raporty i służbowe papiery“.

Bentkowski przemówił do jego rozumu i serca, przedstawił całą niewłaściwość tego kroku wobec nieprzyjaciela, znajdującego się w pobliżu, że cały ten wypadek jest tylko następstwem drażliwości z jego strony. Wszystko było nadaremnie. Rochebrun oświadczył stanowczo, że słowa swego nie cofa, bo nie umie służyć tam, gdzie niema karności. I trzeba przyznać, że miał słuszość. Po zdaniu sprawy z przebiegu petraktacyj, Langiewicz już się był zgodził na przyjęcie dymisji. Ale Bentkowski pragnął zatrzymać tak dzielnego oficera i kazał sobie pokazać akty sądowe. Po rozpatrzeniu ich przekonał się, że wyrok wydany był o tyle lekkomyślnie, o ile nieformalnie. Odpisał tedy Rochebrun'owi, że wyrok musi ulec rewizji w głównym sztabie, że w tej formie, w jakiej wydany został, nietylko potwierdzonym być nie może, lecz że z pewnością ulegnie kasacji. Dymisja nie może zatem być przyjęta do chwili rewizji wyroku. Odesłano z listem szarfę służbową przez adjutanta sztabowego z prośbą pełnienia nadal służby. Rochebrun zgodził się na to. Wkrótce wir wypadków porwał wszystkich i nie było czasu myśleć o dymisji.

Jakkolwiek bataljon Rochebrun'a powinien był zajmować przednią straż, rozlokowany był prawie cały w Sośni-

kach, a tylko kilkudziesięciu żuawów stało od strony Miechowa dwójkami w odległości 150 kroków od siebie.

O świcie 13 marca nadszedł raport od Rochebruna, że posterunek żuawów wysunięty ku Miechowu został zaatakowany przez Moskali. Był to, zdaje się, rekonesans, który, przekonawszy się, że obóz jest strzeżony, po wymianie kilkudziesięciu strzałów cofnął się. W potyczce tej jednak padło dwóch żuawów i było kilku rannych.

Wystrzały zaalarmowały obóz. Żuawi, spodziewając się napadu, opanowali folwark, a porobiwszy w zabudowaniach strzelnice, oczekiwali przybycia nieprzyjaciela. Alarm na tem wreszcie się zakończył. Rozpoznanie pozycji i zorientowanie się z powodu ciemnej nocy i mgły było nader trudne. Dopiero około godziny 8-ej z rana sytuacja wyjaśniła się o tyle, że przednie straże od Miechowa doniosły o nadciąganiu Moskali. W obozie zapanował rozgwar.

Ponieważ pozycja na wsi nie wydawała się dogodną do stoczenia bitwy, Langiewicz nakazał całemu wojsku cofnąć się do lasu, obsadzonego piechotą. Jazda i artylerja, składająca się z dwóch armatek, raczej wiwatowych, niż zdolnych do walki, zajęły wschodnią krawędź lasu, tabor z wozami uszykował się na drodze wiodącej ku Raławicom. Rochebrun z żuawami zajął owczarnię folwarczną, stanowiącą narożnik od strony Miechowa. Rochebrun stał na stanowisku najniebezpieczniejszem, mimo to rozstawił swoich ludzi zimno, z rozwągą i znajomością rzeczy. Wszystko tchnęło tam determinacją i wojskowem wyrobieniem, w przeciwieństwie do bezradności i braku wszelkiej znajomości elementarnych prawideł rzemiosła, które panowały w głównym korpusie. Takie świadectwo wydał o oddziale Rochebruna szef sztabu Langiewicza.

Po jakim-takiem uszykowaniu się całej armji dyktatora w oczekiwaniu napadu Moskali, przeszło kilka go-

dzin spokojnie—prawie do południa. Mgła zaczęła opadać, horyzont rozjaśniał się i widać było pod Miechowem wyciągniętą tyraljerkę Moskali. Zdaleka otrzymywało się wrażenie, że tyraljerzy stoją na miejscu i tylko od czasu do czasu słychać było wystrzały na wiatr. Grunt był falisty. Na pagórku ukazywały się postacie konne dragonów lub kozaków, ale pagórek zakrywał dalszy widnokrąg. Pułkownik Borzysławski zaproponował, żeby pluton konnicy zjechał na szczyt i przekonał się, czy nie kryje się za nim poważniejsza siła nieprzyjacielska, ale jazda nie uznawała widocznie Borzysławskiego za uprawnionego do dawania sobie rozkazów, bo nikt się nie ruszył. Na zachętę ruchu jego ruszyła grupka sztabowców, około 10-ciu, z dobytymi szabłami i przekonali się, że za pagórkem nieprzyjaciela nie było. Garść kozaków wysłana była widocznie tylko na rekonesans. Moskale ściągnęli linję tyraljerską i cofnęli się ku Miechowu. Wobec tego Langiewicz nakazał zwinąć obóz i ruszono ku Raławicom.

Około północy obóz stanął w Markopicach w największym nieładzie. Na uciążliwej drodze wiosennej wozy obozowe grzęzły w błocie, w ciemności nocnej gubiły się oddziały i każdy szedł, gdzie chciał i jak chciał. Rozłożono się nareszcie na wypoczynek częściowo w chałupach, częściowo w ogrodzie dworskim. Dyktator ze sztabem zajął dworek. I tak przemęczono się do świtu. Świtem 14 marca, rozglądawszy się po okolicy, przekonano się, że położenie jest fatalne; wioska leżała w kotlinie, dokoła otaczały ją wzgórza, a obok wsi biegł gościniec z Miechowa do Skalbmierza. I tu i tam były posterunki moskiewskie. A dyktator miał zamiar właśnie w tej miejscowości odbyć dniówkę. Skłoniono go jednak do tego, że w towarzystwie Waligórskiego, Jeziorańskiego, Czachowskiego, Śmiechow-

skiego, Bentkowskiego wyjechał obejrzeć dokładnie miejscowość i zdecydował się opuścić tę niebezpieczną pozycję, w której cała armja, nie mogąc rozwinąć się, byłaby w wąwozie doszczętnie zniszczona.

W Markocicach Bentkowski z wielkim trudem zdołał nareszcie obliczyć armję dyktatora. Pokazało się, że powiększono ją zwykle dwukrotnie, doliczając do niej nie tylko czeladź luźną i obozową, ale także gromady próżniacze, włóczące się za obozem. Według ścisłego rachunku okazało się, że jest tylko 3.000 żołnierzy.

14 marca tedy około godziny 9 rano cała kolumna wyruszyła w kierunku zachodnio-północnym. Jaki był bliższy plan dyktatora, nikt w otoczeniu jego nie wiedział, a nawet podejrzewają, że on sam jasno określonego planu nie miał. Chodziło, jak się zdaje, o to, aby armję jak można najdłużej w całości utrzymać, wyćwiczyć, wzmocnić i od rozgromu zachować. W tym celu trzeba się było przede wszystkim wycofać z okolicy bezleśnej w stronę bardziej zalesioną. Podążano więc w tym kierunku.

Zdaje się, że miasteczko Książ Wielki było najbliższym punktem, ku któremu narazie zdążano. Tymczasem armja dyktatora cała znalazła się na szosie miechowsko-jędrzejowskiej. Poczęto naradzać się w sztabie, czyby nie lepiej było przenocować na tem miejscu — w lesie. Jakkolwiek nie było to bardzo bezpiecznie, zdaje się, że skłonił Langiewicza do tego kroku szpieg, jego faworyt, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa faworyt także Moskali. Po odjeździe szpiega dyktator kazał obóz wytyczyć. Bentkowski wyznaczył stanowisko po wschodniej stronie szosy o 20 kroków od gościńca. Na froncie 200 kroków długości w pierwszej linii stanął pułk piechoty, w drugiej drugi, w trzeciej kawalerja, w czwartej tabor wozów.

W karczmie zwanej Antolka i w sąsiednich chałupach rozlokował się bataljon Rochebruna. Oprócz tego żuawi zajęli posterunek na gościńcu od Jędrzejowa, ażeby jadących do Miechowa nie przepuszczać, a był tylko o ćwierć mili oddalony od obozu polskiego. Boczne drogi do Miechowa były także obsadzone piechotą. Całe to rozlokowanie się przy Antolce było wzięte przez żołnierzy za dobrą monetę: uważano je za zasadzkę na Moskali, którzy tędy jakoby przechodzić mieli z Miechowa. Zasadzka wydawała się tem prawdopodobniejszą, że dyktator zabronił palić ognie. Tak więc żołnierz marzył noc całą pod gołym niebem i na ziemi.

Około godziny 8 rano obóz wyruszył powrotną drogą na wschód ku Giebułtówu. Trzeba było przedewszystkiem odsunąć się od Moskali i Miechowa, tem bardziej że dyktator trwał zawsze w zamiarze przebicia się w lasy stobnickie. Plan ten pokrzyżował podobno ów żyd, szpieg faworytalny Langiewicza. Nie dochodząc do Giebułtowa, przez chłopów jadących w tamtą stronę usłyszano alarmującą pogłoskę, że w Giebułtowie gospodarują Moskale. Chłopi nie umieli powiedzieć, ilu ich tam być może, można było wreszcie wykombinować, że wgląb wsi leżącej na ustroniu, daleko od drogi, nie zapuścił się oddział Moskali, a mały łatwo było zgnieść poważną siłą. Tak rozumiejąc, dyktator podążył ku Giebułtówu kolumną marszową, długą, przerywaną, zmieszaną z różnych rodzajów broni. Taki pochód nie mógł być przygotowaniem do groźnego ataku, przeciwnie, mógł się zakończyć klęską całej armji.

Szef sztabu jako-tako sprawił armijkę. Na skrzydłach stanęli strzelcy rozsypani w tyraljerkę i przez gaje i zarośla mieli się spuszczać ku wsi. W pierwszej linii rozwinęła się piechota, w drugiej rezerwa, jazda i artylerja zostały odpowiednio ustawione, kosynierzy pozostali przy taborze.

Gdy w bojowym szyku zbliżono się do wsi, chłopci donieśli, że Moskale wymykają się drugą stroną. Posłany dla przecięcia im drogi oddziałek ułanów przybył za późno. Moskale już się chyłkiem wynieśli.

Minąwszy Giebułtów, armja dyktatora podążyła na Przesławkę i Góry. W Górach był krótki wypoczynek. Dyktator nie wchodził nawet do pałacu, pomimo zaprosin, aby przykładem nie dawać zachęty innym. Jednakże nie obeszło się bez zaglądania do piwnicy dworskiej. Nic dziwnego, że zgłodniały, zziębnięty, niewywczasowany, opadający ze znużenia żołnierz pozwolił sobie wziąć parę butelek wina. Właściciel wina w tym samym czasie odpoczywał w ogrzonym pokoju w Krakowie.

Godzi się podnieść, że w pochodzie tym przeszło trzydniowym ze wszystkich dowódców jeden tylko Rochebrun szedł piechotą przed frontem swego bataljonu, bo już poprzednio stracił był konia. Dopiero przed Chrobrzem dał mu Bentkowski swego luzaka.

Dnia 16 marca późnym wieczorem armja polska stanęła na nocleg w Chrobrzu, posiadłości margrabiego A. Wielopolskiego, — ale jednocześnie poczęły chodzić pogłoski, że Moskale otaczają małą armję i że wkrótce przyjdzie do krwawego starcia. Żuawi rozkwaterowali się w jednym budynku, nanieśli słomy i siana z folwarku i na posadzkach układli się do spoczynku. Wogóle trzeba było wielkiego wysiłku, ażeby żołnierzy od rabunku powstrzymać, gdyż wszyscy zionęli nienawiścią ku Wielopolskiemu, a nienawiść tłumów zawsze się objawia niszczeniem. Padła ofiarą przede wszystkim piwnica. Jeden z żuawów, Stroński, dowcipnie zauważył, że w takim pałacu musi być także wielka piwnica. Nie trzeba było zachęcać nikogo. Wyważono drzwi od piwnicy i każdy nabrał sobie tyle butelek, ile chciał

i mógł unieść. Były tam stare wina, miody, koniaki. Wytoczono także beczki i oddano do użytku powszechnego. Na puste żołądki wino działało rychło, ale obeszło się bez awantur. Jednemu z oficerów, który przebrał miarę w swawoli, Rochebrun odebrał szarżę oficerską i zdegradował go na prostego szeregowca, który miał walczyć za karę bez broni. Młodzieniec poprostu wpadł w rozpacz. W pałacu znalazł siekiere i tak uzbrojony wyruszył nazajutrz do walki. Niewiadomo, czy temu dzielnemu chłopakowi Rochebrun wrócił potem szarżę i pałasz.

Nazajutrz rano, 17 marca, dyktator oświadczył, że chciałby w Chrobrzu wypocząć dni parę. Trzeba się było jednak rozpatrzyć w ogólnej pozycji. Uczynił to na własną rękę szef sztabu Bentkowski i zdał bardzo niepomyślny raport, że pozycja jest fatalnie niedogodna: główna linja odwrotu prowadziłaby przez wąski most na Nidzie, zewnętrzna część wsi prawie nieobronna, a główna kwatera zupełnie odkryta dla nowego napadu. Wystarczyć do tego mogło kilkunastu rezolutnych kozaków.

Dyktator lekko sobie zbywał te obawy. Ale w czasie obiadu przyjechał bryczuszką ów faworytalny szpieg i oświadczył, że Moskale ruszyli z Pińczowa, ażeby dyktatora zaatakować w Chrobrzu. Langiewicz nadrabiał brawurą, odgrażał się, że ich czeka, że tego nie może być wiele. Ale sytuacja była poważna. Po pewnym namyśle, po rozpatrzeniu się w mapach, dyktator oświadczył, że trzeba będzie wyruszyć tak, ażeby na nocleg zdążyć do Grochowisk, wsi leżącej po lewej stronie Nidy, w pozycji lesistej i, jak się zdawało, mocnej. Oddziały zaczęły się szykować do opuszczenia wsi, gdy coraz gęściej zaczęły przybiegać wiadomości, że Moskale zbliżają się od Pińczowa i już są prawie pod Chrobrzem. Zachowanie się Langiewicza było

dziwne — niepewne i prawie apatyczne. Zamiast osobiście kierować wycofaniem armji z wąwozu chrobberskiego, całą czynność w tym względzie zlecił Bentkowskiemu, który, acz chory i pozbawiony zupełnie głosu, musiał się tej czynności podjąć, gdyż dyktator nie zadał sobie trudu nawet zbadania osobiście pozycji Chrobrego.

Na szczęście, uczynił to szef sztabu. Armja miała przede wszystkim wycofać się z Chrobrego i przejść przez most na lewą stronę Nidy. Ażeby zasłonić jej tyły, Bentkowski polecił Rochebrunowi rozsypać tyraljerów w okolicy pałacu i na krańcach wsi od drogi pińczowskiej, główną zaś siłą ażeby obsadził rów, przecinający wieś półksiężycem. Bataljon piechoty w odwodzie stanął na cmentarzu. Najlepiej wykonywane były polecenia przez Rochebruna, którego bataljon zajął stanowisko doskonałym ożywionym duchem. Pod przykryciem tedy piechoty i zuawów armja przechodziła bezpiecznie most na Nidzie. Ale, jak najczęściej bywało, tak i teraz tylko Rochebrun utrzymał się na stanowisku. Piechota, rozstawiona na cmentarzu, nie czekając rozkazu szefa, zeszła z posterunku i podążyła za armją.

Po przejściu całej armji przez Nidę i po ściągnięciu bataljonu Rochebruna, oddział saperów miał most spalić. Rochebrun otrzymał polecenie zajęcia posterunku przy moście i utrzymania się na tem stanowisku, dopóki most nie spłonie zupełnie, ażeby w danym razie przeszkodzić Moskałom gasić ogień i przedostać się na lewy brzeg Nidy. Za Nidą ciągnęła się obszerna płaszczyna, oparta dwoma ramionami o las. Pozycję tę bardzo wygodną zajęli już byli Polacy pochodem całej prawie armji swojej. Była ona tylko według znawców za obszerna na szczupłą armję Langiewicza. Rochebrun, zajmując stanowisko wskazane mu przez szefa sztabu, jako ostrożny dowódca, zapytał: „Et si

les Russes m'attaquent par ici, que ferai-je tout seul au champ découvert?" Na co otrzymał odpowiedź: „D'abord les Russes ne vous attaqueront pas par ici parcequ'ils arrivent par la rive droite; et même, s'ils vous attaquaient, je vous donnerais la main. Comptez et soyez tranquille“.

Ledwie most spłonął i żuawi ruszyli się za główną kolumną wojska, która już się była znacznie oddaliła w kierunku ku Zagościowi, a tylko obóz i maruderzy ciągnęli ztyłu, spostrzeżono na lewym brzegu Nidy, gdzie wcale nie oczekiwano Moskali (faworytalny szpieg Langiewicza dyskretnie o tym ruchu zamilczał), że zbliża się, o ile można było przypuszczać, 1.500 — 2.000 Moskwy — silny oddział, wsparty dragonami, kozakami i dwoma działami artylerji. Bentkowski, spostrzegłszy nadciągających Moskali, chciał cofnąć konnicę Czachowskiego, aby wesprzeć Rochebruna, ale Czachowski mu odrzekł, że konie zmęczone. W szeregach maszerującej armji powstał także popłoch. Rozkaz Langiewicza, ażeby zwrócić się frontem do Moskali celem przyjęcia bitwy, wykonywano powoli i w ogromnym nieładzie. Na szczęście, dyktator spostrzegł także posuwanie się Moskali wprost na Rochebruna, który rozwinął się w linię bojową, wzięwszy więc bataljon strzelców, ustawił ich w zaroślach leśnych i z boku strzałami zaatakowano Moskali. Jednocześnie prawie rozwinęła się walka na froncie Rochebruna. Moskale, widząc przed sobą tylko garstkę żuawów, na nią przedewszystkiem skierowali ogień działowy, ale bezskutecznie, gdyż kule przelatywały tylko nad głowami żołnierzy i pękały za szeregami bez szkody. Spostrzegłszy błąd, poczęli strzelać na krótszą odległość, ale i tym razem prawie bez szkody. Ubito tylko bułanego konia Rochebruna, który znowu piechotą, lecz dzielnie, swój oddział prowadził. Widząc mały skutek strzelaniny,

Moskale postanowili zaatakować bataljon Rochebruna kawalerją, Rochebrun dopuścił kawalerję na 300 kroków od siebie, a potem dopiero przywiatał ją regularnym ogniem. Skutek był doskonały. Dragoni moskiewscy skłębili się, zmieszali i zaniechawszy dalszego ataku, cofnęli się. Utarczki te odbywały się na płaskowzgórzach Zagościa, stąd nosiły nazwę bitwy pod Zagościem. Moskale, zaalarmowani przez strzelców z boku, wstrzymani w pochodzie zuchwałem zachowaniem się Rochebruna, zaniechali dalszych ataków, bojąc się zasadzki. Noc nadchodząca rozbroiła walczących.

Rochebrun, wstrzymawszy atak dragonów moskiewskich, zoranem polem cofał się w porządku do głównej armji i zajął znowu stanowisko obronne na jej tyłach. Tu zetknął się z Bentkowskim. „Vous m'avez joliment donné la main!“ — odezwał się z żartobliwym wyrzutem, uspokojony wyjaśnieniem szefa.

Główna siła armji nie brała udziału w utarczce, chociaż była na nią przygotowana, a nawet armatki żelazne wysunięte były na czoło. Daremnie szef sztabu zachęcał do dania strzałów, choćby na znak gotowości: kapitan dowodzący baterijką nie mógł się zdecydować. Utrzymawał, że mogą pęknąć. A jednak dyktator włączył je za sobą.

Pod noc Czachowski ściągnął strzelców, Rochebrun zbliżył się do korpusu, a kiedy Moskale z oczu znikli, armja Langiewicza kolumną marszową ruszyła przez Zagość do Wełcza. W Zagościu zatrzymano się na wypoczynek. Żuawi stanęli przed zabudowaniami dworskiemi.

Nastrój panujący w wojsku najlepiej maluje pamiętnikarz współczesny. „Staliśmy — powiada — ze dwie godziny na wietrze gwałtownym, a że byliśmy zmęczeni i zgrzani, tak bojem stoczonym, jak i pochodem szybkim, wiatr mroził nas do szpiku kości. Tymczasem Langiewicz biesiadował ze

swym sztabem we dworze, a wiwaty i toaęty dolatywały do nas.“ Najwiarogodniejszy i najbardziej kompetentny w sprawach wojennych uczestnik tych wypadków, szef sztabu Bentkowski nic o tym bankiecie nie wspomina. Może był to krótki wypoczynek, który fantazji zmęczonego żołnierza przedstawiał się jako „bankiet“. Bentkowski nieraz wspomina o takich bankietach, które składały się z chleba, kieliszka wódki i rzadko czego więcej. Rochebrun i Komorowski w bankiecie tym nie brali udziału. W pułku żuawów, najbliżej dworu stojącym, pojawiła się niechęć, która rosła stopniowo z każdą chwilą. Z początku głosy oburzenia szeptem się odzywały, a w miarę dokuczającego zimna pomrukiem, aż wkońcu wrzawą i burzą wrogich okrzyków: „Rozstrzelać Langiewicz! Rozstrzelać! On nas źle prowadził“ We dworze wszystko ucichło, a Langiewicz z całym sztabem opuścił dwór i w ciemnościach nocy zniknął.

Należy przypuszczać, że Rochebrun nie rozumiał znaczenia tych okrzyków, które były dowodem braku rygoru wojskowego. Żołnierz polski posiadał zawsze wielką odwagę, ale nie zawsze odznaczał się karnością. Często wygrywaliśmy wielkie bitwy, ale rzadko niekarność żołnierza pozwalała ze zwycięstw korzystać.

Prawda, że pochód do Zagościa odbywał się w bardzo ciężkich warunkach. Szef sztabu, który miał na oku zawsze całość armji, prościej, ale silniej ten pochód opisał. Główna kolumna maszerowała z różnemi przerwami spowodowanemi błędzeniem po nocy wśród ciemności i przeraźliwego zimna, blisko do godziny 10-ej z wieczora. Od czasu do czasu spostrzegano woddali łunę ognisk biwaków rosyjskich, co dowodziło, że się odbywa pochód flankowy. Ciemność była taka, że co chwila niemal jeden oddział tracił ślad drugiego, wozy się wywracały, przewoźnicy, prowadzeni

u czoła kolumny pod pistoletami dwóch ułanów, wymykali się i nowych łapać musiano, a z drogi tyle tylko widać było, ile zapalone łuczywa lub latarnie chwilowo na parę kroków oświecały. Nadzwyczaj silny wiatr marcowy tak był przejmujący, że konie i ludzie od zimna drżeli.

Nie dochodząc do Wełcza, dyktatorze względu na męczący pochód i zimno zdecydował się przenocować, ażeby ruszyć do Grochowisk. Wojsko jako-tako rozlokowało się. Sztab miał główną kwaterę w malutkim dworku dzierżawcy.

Po krótkim wypoczynku, rano 18 marca, ruszył się obóz ku Grochowiskom. Tylną straż dyktator zlecił pułkownikowi Borzysławskiemu.

Opowiemy w krótkości przebieg tego marszu i potyczki według relacji szefa sztabu Langiewicza.

Przed wejściem do lasu spostrzeżono Moskali, podążających za Langiewiczem w kilkuwiorstwowem oddaleniu. Łatwo się było domyślić, że do starcia przyjść musi. Na skrócie drogi, wiodącej od lasu do Grochowisk, przy budce przydrożnej Borzysławski ustawił bataljon Czachowskiego dla zastąpienia tyłów armji na wypadek nadejścia Moskali z Wełcza. Gdy armja weszła już wgłąb lasu i rozłożyła się koło leśniczówki obok ułożonych sągów drzewnych, było już niedaleko południa. Rozpalono ognie i rozesłano do Wełcza i do Galowa wozy dla rekwirowania furazu i pożywienia dla ludzi. Z Wełcza i innych wsi nic nie przywieziono — Moskale już byli, zabrali wszystko. Z Galowa przybyło trochę żywności. Jakkolwiek obozowisko zdawało się dobrze wybranem i bezpiecznem, tak że Langiewicz pragnął dać kilkudniowy wypoczynek koniom i ludziom, jednak brakło prawie zupełnie wody i pożywienia dla koni i ludzi. Moskale zrabowali wszystko dokoła. Można było w krótkim czasie całą armję ogłodzić. Zdecydowano się

przeło na czasowy wypoczynek. Ale nie zanosiło się na to.

Gdy wojsko polskie rozłożyło się obozem niedaleko leśniczówki i zajęte było gotowaniem obiadu, Moskale otaczali je powoli. Od Wełcza, ażeby przeszkodzić odwrotowi, ustawiono przy karczmie na wzgórku oddział dragonów, od północy przy budce przydrożnej do Galowa z Wełcza stał oddział piechoty, od Galowa zaś drogą do Wełcza zbliżał się silny oddział moskiewski z artylerją, a od północ-wschodu kilka rot Zwierowa. Wprawdzie przy budce z drugiej strony drogi stał bataljon Czachowskiego, ale sam dobrowolnie opuścił posterunek. Ażeby wypoczywające wojsko polskie zasłonić na wypadek zaatakowania od Galowa, Bentkowski ustawił niedaleko drogi z Wełcza żuawów Rochebruna. Żołnierze, którzy brali udział w tej potyczce, mocno obwiniali dyktatora o niedołęstwo, brak ostrożności i dobrą wiarę, z jaką przyjmował wiadomości o ruchach wojsk moskiewskich. I teraz był on przekonany, że główne siły moskiewskie nadciągają z Wełcza, a od strony Galowa ma tylko niewielki oddziałek furazujących Moskali.

Mając tedy północną stronę prawie zupełnie odkrytą, bo prócz żuawów Rochebruna nie było tam żadnego oddziału, Langiewicz postanowił iść dalej ku Galowu. Z południa poczęto już szykować się do marszu. Między godziną 2-ą a 3-ą już obóz począł wchodzić na drogę do Galowa i kolumna marszowa poczęła się wyciągać, gdy od posterunku Rochebruna dały się słyszeć pierwsze strzały.

Sytuacja była groźna. Grozę powiększał jeszcze zamęt, panujący skutkiem wyciągnięcia się linii marszowej. Strzały wywołały popłoch. Oddział moskiewski, który dążył z Wełcza i stał przy budce, ruszył lasem, minął obozowisko

polskie i ustawił się z północy w szyku bojowym, pewnym będąc, że drogą tą Polacy iść muszą. Następnie nadeszły dwa oddziały z Galowa i w szyku bojowym z artylerją ustawiły się tak, że zamykały zupełnie przejście drogą wefecką i do Galowa.

Pierwszy atak wypadło wytrzymać żuawom Rochebruna. Zdaje się, że i tu nie oczekiwano ataku od Galowa. Chodziło o to, ażeby wstrzymać napór głównych sił moskiewskich i dać możność sformowania się w szyk bojowy głównemu korpusowi armji. Rochebrun zorientował się bystro. Ponieważ siły moskiewskie działały dwiema kolumnami i z dwóch stron odezwały się strzały, Rochebrun podzielił swój bataljon na dwie części. Na czele pierwszej, która miała przed sobą piechotę moskiewską, sam stanął, druga część pod Komorowskim poszła na północo-wschód, gdzie stała artylerja moskiewska i dragoni. Artylerja nie była groźna dla tyraljerki w lesie. Natomiast konie dragonie kłębiły się i padały pod strzałami żuawów. Moskale, napotkawszy opór, lękali się zapuszczać w las, prawdopodobnie nie będąc pewnymi sił i położenia. Celne strzały waliły z nóg konie dragonów i artyleryjskie. Powstał popłoch. Nadspodziewanie Moskale zaczęli się cofać, co nie było rzeczą łatwą, gdyż armatki stały na mokradle. Cofając się, musieli dwie armatki w błocie zostawić. Widząc cofanie się Moskali, Komorowski pośpieszył do Rochebruna, który pieszo dowodził, i stanęli razem przeciwko piechocie moskiewskiej, która w zwartych szeregach posuwała się naprzód. Żuawi nie tylko wytrzymali atak z niestęchaną brawurą, ale przeszli sami do pozycji zaczepnej. I znowu stała się rzecz najmniej oczekiwana — kolumny piechoty moskiewskiej zaczęły się cofać. Dalszy atak już byłby szaleństwem. I tu zwyciężyła raczej niepewność i zbytńia ostrożność Moskali, niż siły żuawów.

Powstrzymanie jednak naporu głównych sił moskiewskich dało możność armji Langiewicza wycofać się z niebezpiecznej pozycji, posunąć się wgląd lasu w kierunku wschodnim i przejść do porządku bojowego w oczekiwaniu dalszego ataku Moskali. Bez strat jednak wielkich nie obeszło się, jakkolwiek do starcia bezpośredniego nie przyszło. Zabitych było mało, rannych dużo. Największą stratą było zdemoralizowanie armji zmęczonej, głodnej, przeziębionej do szpiku kości. Żołnierz musiał walczyć z wrogiem i z naturą. Gdyby chciał nawet zginąć od kuli, to nie miał sił zbliżyć się do strzału. W takich warunkach mogliby walczyć nie zwykli żołnierze, lecz jacyś idealni bohaterowie. Wszystkim brakło sił do podążania naprzód, w kierunku strzałów. Nic nie pomagały wezwania niektórych oficerów, zachęty księży, nawet obelgi przełożonych. Żołnierz głodny, zmęczony kilkudniowym marszem, kilkudniową bezsennością, wyczerpany czuwaniem, tracił wszelkie poczucie obowiązku żołnierskiego, opuszczały go siły moralne. Naprężenie tylko do pewnej granicy wytrzymać może. Nie było to tchórzostwo, ale niemoc. Wielka duchem i siłą, zawsze zwycięska armja Napoleona, raz wybita z regularnego trybu żołnierskiego życia, — armja, która potrafiła zwyciężać armje i państwa, nie mogła zwyciężyć natury. Bohaterowie z pod Jeny i Friedland nie byli tchórzami pod Berezyną, ale byli głodni, bezsilni, zziębnięci.

Gdy oddziały Czengierego usunęły się na północy, armja zaś Langiewicza po cofnięciu się bez boju stanęła na odpoczynek, zjawił się Rochebrun i w najgwałtowniejszy sposób począł napadać, że go zostawiono bez pomocy, nazywając wszystkich zdrajcami i tchórzami. Był to człowiek niewątpliwie wielkiej osobistej odwagi, wielkiej wytrzymałości, niezwykle silnej duszy żołnierskiej, ale nie umiał

być wyrozumiałym i nie znał, czem jest partyzancka wojna w zimie dla żołnierza bez koszar, bez jedzenia, bez odzieży cieplej, bez wypoczynku, ściganego ze wszech stron i zmuszonego wszędzie stawiać czoło. Nie musiał to być żołnierz zły, kiedy rząd rosyjski prowadził z nim wojnę przez półtora roku prawie i miał armję 200-tysięczną, aby zgnieść 30.000 powstańców.

Wróćmy do dalszego opowiadania.

Gdy armja Langiewicza w największym nieporządku zatrzymała się, niepewna, w którą stronę udać się wypadnie, nagle od strony Buska odezwały się strzały i zwiastowały nową potyczkę. Były to dwie rotę majora Zwierowa. Słyszac strzały w lesie grochowiskim, Zwierow wyruszył w kierunku odgłosów. Zanim stanął w lesie naprzeciwko pozycji polskiej, strzały ustały: Czengiery już się był cofnął. Zwierow o tem nie wiedział. Osłabioną i zmęczoną do ostateczności armję Langiewicza, głodną, a co ważniejsza, nie posiadającą już dostatecznej ilości amunicji, opanowała apatja, jaką tylko bezbrzeżne wyczerpanie spowodzić może. Mimo wszystko jednak, mimo niewiadomości o siłach nowego nieprzyjaciela, trzeba było stoczyć walkę.

Gdy sygnały strzeleckie Moskali odezwały się w lesie, Rochebrun począł zachęcać do utworzenia ochotniczego oddziału, gdyż żadnego zwartego, całego oddziału już nie było. Komorowski był ciężko ranny. Niektórzy z oficerów, dotknięci w patryjotycznych uczuciach wymówkami Rochebruna, a także z obowiązku wojskowego, poczęli zachęcać do sformowania ochotników. Skupiło się kilkuset dzielnych młodzieńców, najwięcej z inteligencji, przyłączyło się do nich trochę kosynierów, i oddział, pod dowództwem Dąbrowskiego, Rochebruna i innych, stanął na linii bojowej. Walka rozpoczęła się tyraljerką, ale co chwila przychodziło

do starcia oko w oko. Szczególnem zacięciem odznaczyli się kosynierzy, którzy z szaleństwem rzucali się na Moskali i siekli, nie dając nikomu pardonu. Zabitych z obu stron było dużo. Moskałe jednak ponieśli tak wielkie straty, że ledwie garstka uratować się zdołała.

Tak więc pod Grochowiskami w ciągu kilku godzin trzeba było stoczyć dwie bitwy.

Czengiery cofnął się do Stobnicy i Pińczowa, strona od Buska była wolna, od Wełcza także. Dyktator postanowił wrócić do Wełcza i przenocować.

Już pod Grochowiskami Langiewicz zwrócił się był do szefa z prośbą, aby mu wskazał na mapie najkrótszą drogę do Krakowa. Ale nie było czasu o tem mówić. W Wełczu nad ranem, już 19 marca, przy współudziale Waligórskiego, Jeziorańskiego, jako też pułkownika Ulatowskiego, podp. Borzysławskiego, szefa sztabu Bentkowskiego i in., odbyła się rada wojenna. Langiewicz przedstawił położenie swojej armji, przemęczonej, ogłodzonej, nie posiadającej żywności i amunicji, a ściganej ze wszęch stron, i zapytał, co robić. Zdaje się, że była to tylko formalność, bo co do siebie, już to wiedział i niedaremnie już przedtem zapytywał o najkrótszą drogę. Najmocniejszym argumentem była wiadomość, że z Radomia wyruszyła na ściganie 10-tysięczna dywizja Urusowa. Ktoś radził oprzeć się o granicę galicyjską. Langiewicz zaprotestował bardzo słuszną uwagą, że wówczas cały korpus jego przejdzie granicę i stopi się zupełnie. Waligórski utrzymywał, że armję trzeba rozbić na oddziały, które i przemykać się łatwiej będą mogły, i łatwiej się wyżywić a trzymać siły nieprzyjacielskie w szachu. Pobyt dyktatora przy głównym korpusie nie będzie prawie niezbędnym, da mu więcej swobody do zajęcia się sprawami zarówno cywilnemi jak i wojskowemi, pozwoli mu prze-

nosić się z jednego oddziału do drugiego. Były inne projekty mniej praktyczne. Langiewicz przychylił się do podziału armji, oświadczył, że dla spraw politycznych musi udać się na kilka dni do Krakowa, i wydał rozporządzenie, aby wyjazd jego przygotować w cichości, żeby nie wywoływał zamieszania.

Wyjazd naczelnika rozstroił do reszty całą armję. Prawie większość znalazła się w Krakowie, który stał się niejako podstawą operacyjną o tyle, że tu organizowały się oddziały, stąd wychodziły, tu wracały, wypoczywały i znowu szły na plac boju.

W Krakowie tedy znalazł się i Rochebrun. Był to okres wielkiego zamieszania wogóle. Rządu w ścisłym znaczeniu nie było. Jeden rozwiązał się, drugi z dyktatorem na czele nie utworzył się jeszcze. Ścieranie się zdań i osób, intrygi, wzajemne niezadowolenie panowały powszechnie. Były to następstwa niepowetowanych trudności organizowania tajnego rządu cywilnego w czasie walki. Z jednej strony trzeba było broń w rękę trzymać, z drugiej — ostrożnością i tajemnicą stawiać czoło policji moskiewskiej. Porozumiewanie się członków rządu było trudne i niebezpieczne. Jedni po drugich zwisali na szubienicy. Wysuwali się na czoło intryganci i awanturnicy, żądni władzy.

Przyjazd Langiewicza do Galicji, aresztowanie jego, rozpadnięcie się prawie zupełne jego armji, zdepopularyzowanie tego nazwiska, niewyraźne i niejasne zachowanie się ex-dyktatora — wszystko to dawało powód do ciągłego wrzenia. Taki stan rzeczy, można powiedzieć, bywa normalnym we wszystkich walkach, mających charakter rewolucyjny lub posługujących się środkami i metodami rewolucyjnymi. Siła duchowa w takim położeniu albo się stopi bez pożytku we własnym ogniu, albo wydaje szereg dziel-

nych ludzi, którzy, kierowani genialną ręką, poprowadzą naród do zwycięstwa. Ale Napoleonowie rzadko i na krótko zjawiają się ludzkości.

Po przyjeździe Langiewicza do Krakowa zapanował rozgardjasz. Każde stronnictwo, a raczej każda grupa pragnęła z łona swego rząd wydzielić. Gorliwie zakrzętał się koło tego ks. Kamiński, ex-kapelan z oddziału Langiewicza. Dyrektorem Wydziału Wojny był wówczas generał Wysocki, przeciwko niemu tedy skierowała się głównie agitacja Kamińskiego, który zdołał wciągnąć do tej roboty Rochebruna. Dzielny i popularny żołnierz, który miał za sobą już kampanję pełną chwały, źle się orjentował w stosunkach panujących i stał się narzędziem w ręku ks. Kamińskiego. Zbyt szybki awans z wachmistrza armji francuskiej na pułkownika, a wkońcu generała wojsk polskich, niewątpliwie zawrócił mu głowę. Chodziło Kamińskiemu o to, ażeby z Wydziału Dyrekcji Wojny usunąć Wysockiego; zdołał przeto nakłonić Rochebruna do odegrania roli naczelnego wodza wojsk polskich. Świeżo mianowany generałem za dzielne sprawowanie się w czasie krótkiej kampanji Langiewicza, widząc, że rządu niema, że dyktator w więzieniu, Rochebrun zgodził się na pewnego rodzaju zamach stanu. Przyjął tedy samowolnie tytuł generała naczelnie dowodzącego armją powstańczą, a 22 marca wystosował do Dyrekcji Wydziału Wojny na ręce jen. Wysockiego polecenie z zawiadomieniem, że wszelkie władze ustanowione przez dyktatora ustają, armja otrzyma nową organizację, oficerowie nowe potwierdzenie swoich stopni, od Wysockiego zaś, jako ministra wojny, żądał oddania w swoje ręce kasy, kancelarji, pieczęci i szczególnych sprawozdań od rozmaitych wydziałów wojny. Sprzeciwiającym się rozkazowi groził wyjęciem z pod prawa i karami.

Wysocki oczywiście był niezmiernie zdumiony tym krokiem Rochebruna. W nowej roli było więcej lekko-myślności, niż złej woli, gdyż brak fachowego wykształcenia, według zdania znawców, nie pozwalał mu na zajęcie tak wysokiego stanowiska, tem bardziej, że niezajomość języka i kraju, nieumiejętność posługiwania się mapami wojskowemi, utrudniały jeszcze znacznie to zadanie. Bentkowski, dojrzawszy za kulisami tej całej akcji rękę Kamińskiego, a jak inni utrzymywali — Mierosławczyków, podjął się przedstawić Rochebrunowi całą niestosowność jego kroku. Rochebrun dał się łatwo przekonać, przyznał się do winy i do tego, że nawet nie rozumiał, co podpisał. Tak więc jedynym śladem tego wybryku pozostała pieczęć z herbem Orła i Pogoni z koroną i napisem w otoku: „jenerał-major głównie dowodzący“.

Rochebrun z otwartością, świadczącą dobrze o jego charakterze i rozumie, przyznał się do winy i przeprosił Wysockiego. Po wspólnem porozumieniu został mianowany dowódcą sił zbrojnych w województwie Krakowskiem t. j. na tym terenie, który mu najbliżej był znany.

Zdaje się, że po tej awanturze wyjechał na czas jakiś do Francji. Na terenie województwa Krakowskiego nie widzimy go wcale, natomiast zjawia się na terenie Galicji Wchodniej, gdzie jenerał Edward Różycki, po przejściu granicy austriackiej, na nowo organizował wyprawę na Ruś.

Rząd Narodowy około połowy lipca (13) mianował Różyckiego naczelnym wodzem ziem ruskich. W tym też czasie mniej-więcej rozpoczęło się organizowanie oddziałów, przeznaczonych na Ruś. Miało ich być osiem. Różycki mianował Rochebruna naczelnym dowódcą trzech oddziałów: IV, V i VI. Oddziałem IV dowodził kapitan Robert Sienkiewicz z Kijowa. Jako kapitan wojska włoskiego, mający

dobrze polecenie, dowodził on oddziałem pod Radziwiłłowem, ale pomiędzy kolegami z pola bitwy nie zostawił sławy odważnego żołnierza. Mimo to Różycki polecił mu sformować osobny oddział z niedobitków radziwiłłowskich. Oddziałem V miał dowodzić jakiś Węgier, który nosił potrójne nazwisko Adalar, Novec i Palfy. Przebył on kampanję 1848 roku na Węgrzech, służył pod Wysockim, a po bitwie radziwiłłowskiej zaproponował Różyckiemu sformowanie oddziału z 400 Węgrów. Ale zdołał zebrać tylko kilku, resztę trzeba było uzupełniać siłami krajowemi. Komisarz pełnomocny na Galicję wschodnią bardzo niepoehlebnie maluje go barwami, jako człowieka małej odwagi. Oddziałem VI, zarazem zaś naczelnie i dwoma poprzedniemi, dowodzić miał Rochebrun. Z mocy oczywiście takiego dowództwa wynikała potrzeba subordynacji wojskowej wobec najbliższego zwierzchnika, — czego zdaje się obaj panowie, Sienkiewicz i Adalar-Novec-Palfy, nie rozumieli. Rochebrun, pragnąc wprowadzić ulepszenia w regulaminie piechoty, żądał raportów od podwładnych sobie oddziałów. Przyszło tedy między Adalarem a Rochebrunem do nieporozumienia na punkcie dyscypliny i sprawa oparła się o Różyckiego. Rochebrun wniósł skargę do naczelnego wodza armji wołyńskiej na Adalara, który od chwili niemal powierzenia mu dowództwa oddziału nie uznawał nad sobą władzy Rochebruna i obiecywał słuchać go tylko wtenczas, kiedy mu się podoba. Rochebrun, ze stanowiska wojskowego, traktował to nie tylko jako nieposłuszeństwo, lecz jako bunt. Adalar zabierał bez ceremonji konie, przeznaczone dla Rochebruna. Kiedy 20 września Rochebrun rozesłał do oddziałów instrukcję, dotyczącą wojny partyzanckiej, Adalar odesłał instrukcję zpowrotem, oświadczając, że on nie należy do lewego skrzydła — choć istotnie należał. Rochebrun żądał tedy odwo-

łania Adalara ze stanowiska dowódcy oddziału. Różycki dość miękko i niesłusznie potraktował ten wypadek. Zamiast odwołać Adalara i dać przykład skarcenia niesubordynacji, poszedł drogą pośrednią. Kazał odpowiedzieć Rochebrunowi, że dowództwo będzie należeć do niego dopiero po przejściu granicy. Rochebrun, wysłuchawszy tej odpowiedzi, odrzekł spokojnie: „Proszę powiedzieć generałowi, że nie mam chęci dowodzić bardzo wielkim oddziałem, lecz proszę, aby w częściach, które mi będą oddane, słuchano mnie bez żadnych uwag, gdyż wtedy tylko mogę odpowiadać za poruczoną część, jeśli jestem jej panem. Nie chcę nominalnego dowództwa, a jeżeli generał Różycki myślał odznaczyć mnie, dając większy oddział, dziękuję mu za to, ale wolę pozostać przy moim tylko, niż nie mieć władzy nad tem, za co odpowiadać nie mogę.“

Były to słowa — powiada Struś w swoim pamiętniku, sam żołnierz i znający się na karności — prawdziwego żołnierza, pojmującego znaczenie dyscypliny i subordynacji w wojsku, i dobrze charakteryzują Rochebruna. A jednak względem niego nie działano otwarcie. Rochebrun wprowadził w oddziale swoim dyscyplinę i porządek wzorowy, lecz zarazem zbyteczną biurokrację, która, przy braku ostrożności, często kompromitowała różne osobistości. Rochebrun lubił bardzo teatralność, dekoracje i przywiązywał do tego zbyteczną wagę, a to utrudniało umundurowanie jego oddziału, lecz i w tym względzie był bardzo wyrozumiały, bo nawet jeżeli czego nie otrzymał, nie narzekał.

Najlepszym dowodem, jak wzorowo pojmował karność żołnierską, posuniętą do samozaparcia się, świadczy wypadek przed wyprawą na Poryck. Głód, mróz, niewygody były nieodstępniemi towarzyszami polskiego żołnierza. Dzielili te trudy bez szemrania ci wszyscy, którzy w obronie wol-

ności stanęli w jednym szeregu z Polakami. W oddziale Rochebruna był porucznikiem Czech Przybyła. Trzydniowy głód dokuczał mu bardzo, a wkońcu, jakby na ukoronowanie zmartwienia, skradziono mu pistolet. Rozdrażniony, prosił jednego z kolegów, który mówił po francusku, aby oświadczył Rochebrunowi, że pragnie opuścić oddział. Takie zachowanie się do głębi poruszyło generała: „Faites-le fusiller, et plus vite que çal“ — zawołał. „Nous sommes les zouaves de la mort. Chez nous on meurt, on ne s'en va pas“. (Rozstrzelać go w tej chwili! My jesteśmy żuawami śmierci; my umieramy, a nie uciekamy z pola).

Gwałtowny temperament jego i surowość żołnierska, jak widzieliśmy, były nieraz powodem zatargu. Wyniknął podobno spór pomiędzy nim a rotmistrzem Rozwadowskim. Sprawa wytoczyła się przed jen. Kruka, który stanął po stronie Rozwadowskiego. To ubożyło do żywego Rochebruna. Zdarł z siebie mundur jeneralski, oddał pałasz, ofiarowany mu przez Francję, i zrzekł się dowództwa. Złożył je w ręce Komorowskiego, przemówił do żołnierzy w swoim stylu: „Héros! je vous rends au commandant Komorowski.“

Z obozu wyjechał wprost do majątku p. Chwalibogowej, skąd udał się zapewne do Francji, bo od tej chwili na arenie walki już go nie spotykamy.

Wyprawa na Ruś, jak wiadomo, do skutku nie przyszła, skończyła się na przygotowaniach.

Rochebrun należał bezsprzecznie do najdzielniejszych dowódców w 1863. Wybił się na to stanowisko zaletami dobrego żołnierza i dobrego człowieka. Samoistnej akcji na większą skalę, gdzieby jego talent wojskowy mógł zabłysnąć, nie prowadził, ale na tym posterunku, na jakim

w danej chwili stanąć mu kazano, okazywał dzielność, roztropność, odwagę, wytrzymałość i posłuszeństwo. W wojnie partyzanckiej, jaką prowadzono w r. 1863, był wodzem nieocenionym. Żołnierze lubili go — miał też zawsze najwybitniejszy oddział. Nie otrzymawszy wykształcenia wojskowego (pisze Struś - Sawicki), już jako generał, ślęcząc nad mapą i nad taktyką wojenną, starał się dopełnić to, czego mu brakowało. Był to mężczyzna w sile wieku, około 34 lat, z okiem pełnym ognia, przenikliwym, z rozsądkiem naturalnym, z gorącym sercem i energją w ruchach. Umiał słuchać, ale umiał i rozkazywać.

Ludzie wykształceni w wojennem rzemiośle nie szczędzili mu pochwał i uznania. Bentkowski, szef sztabu Langiewicza, uczeń szkoły francuskiej, mówił o nim, że w polu był dobrym żołnierzem, wybranym instruktorem i organizatorem, jako też doskonałym dowódcą małego pułku. Tacy właśnie w powstaniu byli najpotrzebniejsi.

Po powrocie do ojczyzny swojej Rochebrun nie zapomniał o Polsce. Bronił jej słowem, gdy nie mógł bronić orężem. Bismark w sejmie pruskim wystąpił przeciw Polakom, którzy protestowali przeciwko przyłączeniu W. Ks. Poznańskiego do Rzeszy Niemieckiej. Utrzymywał on, że polska ludność wiejska jest zupełnie ze swego położenia zadowolona, że do walki przeciwko rządowi rwie się tylko szlachta i duchowieństwo. Rochebrun wystąpił publicznie przeciwko takim twierdzeniom kanclerza. Przypominał mu, że w r. 1848 dwadzieścia tysięcy chłopów poznańskich stanęło pod Mierosławskim, na granicy Księstwa, — że w r. 1863 pod Taczanowskim i Jungiem de Blankenheim było 20.000 chłopów i robotników poznańskich; że w Krakowskim, Sandomierskim i Lubelskim było 15.000 powstańców, a z tej liczby 10.000 włościan i robotników. Ro-

sja wieszala ich i wysyala na Sybir. To nie sa dowody zadowolenia ludnosc.

Znany ze swej niezyczliwosci dla Polakow Bismark radzil im zapomniec o dawnej wolnosci i odbudowaniu ojczyzny. Rochebrun, jakkolwiek nie polityk, ale tylko dzielny zolnierz, odpowiedzial mu trafnie: „Przeciwnie, powinni duzo myslec nietylko Polacy, ale i Niemcy takze“. Tworzyla sie wtedy za plecami bagnetow rosyjskich jednosc Niemiec. Francja nie bez obawy patrzyla na to, tem bardziej, ze zjednoczone Niemcy reprezentowaly potege militarna zaczepna. Obawiano sie sojuszu Niemcow z Rosja. Wkrótce okazalo sie, ze obawy byly sluszne. Rochebrun dostrzegł niebezpieczenstwo dla Europy w zjednoczonych Niemcach, popartych przyjaznia Rosji. Dla unikniecia grozby, wiszacej nad Europa, radzil odbudowanie Polski. Nie jednosc Niemiec byla niepozadana, ale przyjazn ich z Moskwa—dwóch państw z instynktami zaborczemi i dzikiemi.

Nie uchronily losy od klęsk takze Francji.

Jaka role tam odegral, jaka koleja poszlo zycie Rochebruna — to juz do nas nie nalezy. Szlachetny jego zapal zolnierski nie pozwolil mu byc bezczynnym. Gdy sie rozpoczela wojna franko-pruska, stanal przeciw najezdnikowi tak samo, jak i w Polsce. Na polskiej ziemi oszczedzila go kula moskiewska, los natomiast pozwolil mu polozyc zycie za wlasna ojczyzne: zginal od kuli pruskiej 19 listopada 1870 roku w bitwie pod Montretout.

Moze mu kiedy wolna Polska u siebie pomnik postawi i napisze: „Walczył za wolnosć narodów i zginal w walce z barbarzyncami Pólnocy“.

Pisalem w Łozinie, r. 1911.



1992-12-15

05.05.1999

* **Włodzimierz Antonowicz.** Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej. Lwów 1912.

* **Emil Ollivier.** Ze wspomnień ministra. (R. 1863). Lwów 1911.

* **Andrzej Towiański i I. A. Ram.** Kartka z historii mistycyzmu religijnego w Polsce. Lwów 1911.

Z różnych sfer. Studja. Szkice z podróży. Lwów 1912.

* **Kwestja ruska wobec Austrii i Rosji.** Kraków 1913.

Studja i szkice historyczne. Serja III. Kijów, Legendy, podania, dzieje Kijów — Warszawa 1913.

Treść: Biskupstwo rzym.-katol. w Kijowie Zakon o. o. Dominikanów. Złota Brama. Czy biskup krak. Stanisław był synem Włodzimierza, księcia kijow.—? W jakim miejscu był zameczek Rów, zrujnowany przez Tatarów w XV w.? Dzikie konie na Poniżu Czarnem. O wygasłym rodzie Stupiców. Kijów—Warszawa—Kraków 1915.

Wyprawa Wołyńska w 1863. Warszawa 1914.

Książę Kozacki. Monografia. 1640—1679. Poznań (ilustr.).

Kozaczyzna ukraińska w Rzplitej Polskiej. Zarys polit.-historyczny. Mapy. Gebethner i Wolff. (1923).

Ślady kultury starego świata na Rusi kijowskiej. Kraków 1917.

Kobiety na tronie carów moskiewskich do końca XVIII wieku. Warszawa 1921.

Żydzi na Rusi. Monografia. Gebethner i Wolff.

Geneza i rozwój Kozactwa i Kozaczyzny. Kraków. J. Czernecki.

Moje przygody w roku 1863—1864 w Kijowie. Warszawa. „Księgarnia Polska“. 1922.

W rękopisie:

Wojna o Księstwo ruskie (1667—1676).

Powstanie Styczniowe. Nabyty przez Związek zawodowy literatów polskich.

Stare rusko-polskie rody na Wołyniu do końca XVI w.

(Kisiele, Woronicze, Olizarowie-Wołoskowicze, Polozy-Położowicze, Książęta Rohowiccy-Różyńscy, Myszkwi-Chołoniewscy, Niemirowie, Hulewicze, Kozarynowie, Książęta Nieświescy-Wisznowiecscy, ks. Prońscy, ks. Ostrogscy, Korotkowie). Druk rozpoczęto przed wojną i przerwano.

Niektóre dzieła historyczne tegoż autora.

(Książki oznaczone gwiazdką są wyczerpane).

- * **Słarbczyk polski.** Krótka historia polska dla dzieci (M. Ilnicka i F. Rawita) Poznań 1895.
- * **Ustrój państwowo-społeczny Rusi w XI. i XII. wieku w zarysie.** Lwów 1898.
- * **Zorjan Dołęga ChodaKowski, jego życie i praca.** Lwów 1898.
- * **Sadyk Pasza (Michał Czajkowski).** Zarys biograficzno-literacki. Petersburg 1899.
- * **Historja ruchów hajdamackich.** 2 tomy. Brody 1899.
Wydanie II-gie także 1913.
- * **Rok 1863 na Rusi.** I. Ruś Czerwona i Wschód. Lwów. 1899.
II. Ukraina, Wołyń i Podole. Lwów 1903.
- * **Studja i Szkice historyczne.** Serja I. Lwów 1903.
Treść: Rzut oka na stosunki w Ks. Warszawskiem. Uposażenie rzymsko-katolickiego duchowieństwa na kresach ukraińskich. Ostatnie lata Sadyka Paszy. Kartki z historii szkolnictwa w Rosji. Rodzina Hurków. Uprawa wina w Polsce. Adam Mickiewicz na Wschodzie. Wycieczki historyczno-archeologiczne po Ukrainie. Józef Oleszkiewicz. Liberali i polityk ze szkoły rosyjskiej.
— Serja II. Lwów 1900.
Treść: Losy wielkiej fortuny na kresach ukraińskich. Filip Orlik, nieuznany hetman kozacki. Kartki z życia społeczeństwa kresowego. Prawo bratne XVI wieku. Pogląd na historję rolnictwa w Polsce. Siabrostwo, jako forma władania ziemią. Ludowe sądy kopne na Polesiu. Przygoda Imci Pana Sieńkiewicza. Kilka słów o rodzinie i miejscu rodzinnem T. Szewczenki.
- * **Bohdan Chmielnicki.** T. I. do elekcji Jana Kazimierza. Lwów 1906.
— T. II. do śmierci Chmielnickiego. Lwów 1909.
- * **Próba ugody z Rusią (Poselstwo Bieniewskiego).** O śmierci Chmielnickiego do ugody Hadziackiej. Lwów 1907.
- Konfederacja narodu polskiego 1876 r.** Lwów 1910. Wyd. II. Poznań 1920.
- * **Materiały do historii polskiej XIX w.** Działalność emigracji z r. 1831 na terenie Turcji.

Dalszy ciąg patrz str. 3 okładki.